

Tajemnica
seryjnego mordercy z Łodzi
Nigdy nie udało się go dopaść.
Do dziś

OSTATNI

Zuzanna Bukłaha Kacper Sulowski

OSTATNI

Zuzanna Bukłaha

Kacper Sulowski

Redakcja: Paweł Goźliński

Korekta: Danuta Sabała, Hanna Jagodzińska

Projekt okładki: Michał Pawłowski

Zdjęcie na okładce: Archiwum Grażyny Rutowskiej/Narodowe Archiwum Cyfrowe

Opracowanie graficzne, skład: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf

Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Copyright © by Zuzanna Bukłaha & Kacper Sulowski, 2023

Copyright © by Agora SA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-268-4261-0



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ I. „Zabójca z Pikiety”

ROZDZIAŁ II. Stefan Wawros

ROZDZIAŁ III. Jacek Cieszowski

ROZDZIAŁ IV. Bogdan Jeżyk

ROZDZIAŁ V. Belial

ROZDZIAŁ VI. Andrzej Starak

ROZDZIAŁ VII. Jakub Lanc

ROZDZIAŁ VIII. Jan Gąszcz

ROZDZIAŁ IX. Kazimierz Kamiński, część 1

ROZDZIAŁ X. Krzywy palec

ROZDZIAŁ XI. Kazimierz Kamiński, część 2

ROZDZIAŁ XII. Twój Rozbójnik

ROZDZIAŁ XIII. Kazimierz Kamiński, część 3

ROZDZIAŁ XIV. „Nie”

EPILOG

Upiory, wampiry i bestie. Na takie przydomki w historii polskiej kryminalistyki zasłużyło niewielu. Media nazywały tak najbardziej brutalnych i bezwzględnych przestępców, których bała się cała Polska.

Pierwszy i najgłośniejszy był „Wampir z Zagłębia”. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku na Śląsku przypisywano mu zamordowanie czternastu kobiet. Choć prasa zdawkowo informowała o kolejnych ofiarach, mieszkańcy Śląska przez kilka lat żyli w strachu. Na podwórkach odrapanych kamienic krążyły podsycane niewiedzą i strachem plotki, że „Wampir” chce zabić tysiąc kobiet na tysiąclecie Polski.

Przełom w śledztwie przyniosło zabójstwo osiemnastoletniej Jolanty Gierek, bratanicy ówczesnego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR. W Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach powołano wówczas specjalną grupę, która miała ustalić, kto stoi za morderstwami. Milicja wyznaczyła milion złotych nagrody za pomoc w ustaleniu sprawcy. Głównego podejrzanego zatrzymano dopiero dwa lata po ostatnim zabójstwie. Był nim Zdzisław Marchwicki. Pod presją przełożonych i władz partyjnych postawiono mu zarzuty. Efektem śledztwa, mimo nieprzekonujących dowodów, było oskarżenie Marchwickiego o zabójstwo czternastu kobiet i usiłowanie morderstwa sześciu kolejnych. Oskarżony nigdy nie przyznał się do winy, ale po trwającym dwa lata poszlakowym procesie sąd uznał go za „Wampira z Zagłębia” i skazał na śmierć.

Z biegiem lat na światło dzienne wychodziły kolejne fakty, które przeczyły ustaleniom służb. W cyklu dokumentalnym Paragraf 148 – kara śmierci Telewizja Polska ujawniła relacje ówczesnych oficerów milicji, którzy m.in. podważali rzetelność śledczych przy gromadzeniu dowodów. Tezę o tym, że Marchwicki był niewinny, postawił też w swoich filmach Maciej Pieprzyca – w 1998 roku w dokumencie Jestem mordercą i w filmie fabularnym o tym samym tytule z 2016 roku.

O tym, że „Wampirem z Zagłębia” mógł być ktoś inny, milicjanci wiedzieli dwa lata przed zatrzymaniem Marchwickiego. Do popełnienia wszystkich zbrodni przyznał się Piotr Olszowy, malarz pokojowy z Sosnowca. Jednak jego zeznania były niespójne, leczył się psychiatrycznie, a milicjanci stwierdzili, że nie było wystarczających dowodów, by postawić mu zarzuty. Mężczyzna został zwolniony z aresztu.

Po ostatnim zabójstwie, w marcu 1970 roku, milicja dostała anonimowy list: „To było już ostatnie morderstwo, więcej już nie będzie i nigdy mnie nie złapiecie”.

Trzy dni później Olszowy zamordował żonę i dzieci, a potem popełnił samobójstwo. Wcześniej podpalił mieszkanie, więc nie zachowały się żadne dowody. Nie można było pobrać odcisków, bo ciało było doszczętnie spalone.

Kiedy mały Zdzisiek Marchwicki w śmierzącym papierosami mieszkaniu dopiero uczył się chodzić, trzysta kilometrów dalej, w okolicach Włocławka, dwudziestojednoletni Tadeusz Ensztajn przekonał dwie dużo młodsze koleżanki do ucieczki z domu. Po całodziennej tułaczce we troje nocowali w opuszczonej stodole w Aleksandrowie Kujawskim. Ensztajn zmuszał tam jedną z dziewczyn do współżycia. Kiedy dwunastolatka próbowała się opierać, groził, że zrobi z nią to samo, co z poprzednimi. Z kieszeni wyjął grubą sprężynę z ołowianą kulką na końcu i zaznaczył, że to jego narzędzie zbrodni. Powiedział, że zabił już wiele kobiet. Przerażone dziewczyny uciekły mu dopiero dwa dni później. Najpierw schroniły się w przypadkowym domu, potem jedna z nich zawiadomiła policję.

Okazało się, że mundurowi poszukiwali Ensztajna od siedmiu miesięcy. Był on jednym z pierwszych seryjnych zabójców w polskiej historii. W 1933 roku w Łowiczu zabił siedem kobiet, kolejne trzy zgwałcił. Gdy w trakcie śledztwa przewieziono go na wizję lokalną do Łowicza, na stacji kolejowej tłum próbował go zlinczować. Jego proces toczył się w Sądzie Okręgowym we Włocławku. Choć podejrzany podczas przesłuchania przyznał się do zbrodni, w trakcie procesu wszystkiego się wyparł. W sierpniu 1934 roku

sąd skazał go na piętnaście lat więzienia i dziesięć lat utraty praw obywatelskich. Za okoliczność łagodzącą uznano „moralne zaniedbanie oskarżonego”.

W pracy mówili, że jest sympatyczny i pracowity. Sąsiedzi też go lubili. Bogdan Arnold był elektrykiem, mieszkał w Katowicach. Pierwszą ofiarę poznał w barze w 1966 roku. Miał wtedy trzydzieści trzy lata. Po paru kieliszkach zaprosił ją do mieszkania. Dopiero na miejscu, kiedy kobieta za wspólną noc zażądała zapłaty, zorientował się, że jest prostytutką. Wpadł w szal, sięgnął po młotek i uderzał, aż roztrzaskał jej czaszkę. Potem rozczłonkował jej ciało, wrzucił do wanny i zalał substancją, która miała je rozpuścić. To, co zostało, próbował spalić, pozostałe fragmenty ciała zostawił w wannie.

Pół roku później popełnił kolejne zabójstwo. Do dziś nie zidentyfikowano, kim była zamordowana kobieta. Śledczy wysnuli hipotezę, że też była prostytutką, którą mężczyzna zwabił do mieszkania.

W ciągu kolejnych trzech miesięcy zgwałcił i zabił jeszcze dwie kobiety. Po czwartym zabójstwie wyprowadził się z kawalerki w Katowicach, bywał tam tylko po kryjomu, by przewietrzyć mieszkanie, bo sąsiedzi narzekali na smród. W końcu jeden z nich zauważył rój much w oknie Arnolda. Spod drzwi jego mieszkania wychodziły robaki. To dlatego prasa ochrzciła go „Władcą Much”. Sąsiedzi byli pewni, że Bogdan Arnold zmarł w swoim mieszkaniu, i zawiadomili milicję. Funkcjonariusze wyważyli drzwi. W łazience znaleźli rozczłonkowane fragmenty kilku ciał.

Arnold przyznał się do wszystkich zbrodni. Podczas procesu nie okazał skruchy. Psychiatrzy nie dostrzegli w jego zachowaniu niczego, co wskazywałoby na zaburzenia emocjonalne. Po krótkim procesie w 1968 roku Bogdana Arnolda skazano na czterokrotną karę śmierci. Ciało mężczyzny pochowano na cmentarzu w Katowicach-Panewnikach, tuż obok Zdzisława Marchwickiego. Oba groby podpisano „N.N.”.

Wszyscy polscy zabójcy, których określa się mianem „seryjnych”, zostali zatrzymani i osądzeni.

Oprócz jednego.

W latach 1988-1993 w Łodzi nieznanymi sprawcami zamordowano siedmiu mężczyzn. Wśród nich byli m.in. pacjent poradni zdrowia psychicznego, przewodnik PTTK i aktor łódzkiego teatru. Mieli od trzydziestu pięciu do sześćdziesięciu dwóch lat. Zginęli od uderzeń twardym narzędziem, ciosów nożem lub przez uduszenie. Niemal wszystkich, z wyjątkiem jednego mężczyzny, którego ciało leżało w lesie, znaleziono martwych w ich mieszkaniach. W większości przypadków ciała były związane i roznegliżowane, ze śladami tortur. Wszystkich łączyło jedno: byli homoseksualistami.

Choć zabójca mordował systematycznie, co kilka miesięcy przez pięć lat, służbom nie udało się ustalić sprawcy. Działał głównie w nocy. Przesłuchiwanie sąsiadów zeznawali, że nic nie słyszeli, a znajomi homoseksualiści niechętnie rozmawiali z mundurowymi.

Dopiero po ostatnim zabójstwie sporządzono portret pamięciowy typowanego. Jego twarz pokazano w telewizji, ogólnopolskiej i regionalnej prasie, a na ulicach Łodzi rozklejano plakaty z jego wizerunkiem. Policjanci wiedzieli, że zabójcą gejów z Łodzi jest mężczyzna o imieniu Roman. Przystojny ciemny blondyn, mniej więcej trzydziestoletni, z kilkoma znakami szczególnymi. Funkcjonariusze brali pod uwagę wiele hipotez. Jedną z nich był motyw rabunkowy, bo z mieszkań często ginęły cenne przedmioty. Brano pod uwagę, że mężczyzna nienawidzi gejów, chociaż, jak dowiedzieli się po ostatniej zbrodni, sam był homoseksualistą.

Jednak żadna z tych informacji nie doprowadziła ich do ustalenia sprawcy.

W 1993 roku seria zabójstw się skończyła. Policja podejrzewała, że sprawca mógł umrzeć na AIDS lub odsiaduje wyrok za inne przestępstwa.

„Zabójca z Pikiety”, bo tak okrzyknęła go prasa na początku lat dziewięćdziesiątych, jest uznawany za jedyne w Polsce seryjne zabójcę, który nie został zatrzymany i osądzony, a seria zabójstw gejów z Łodzi do dziś jest największą niewyjaśnioną zagadką kryminalną w historii polskiej kryminalistyki.

PROLOG

Miejsce: Katowice
Czas: 21 sierpnia 2021

Od progu czuć starym papierosowym dymem. Szacuję, że w środku nie palił trzy dni, a nie wietrzył przynajmniej od wczoraj. W mieszkaniu jest czysto. Tylko w łazience nie ma światła, bo żarówkę szlag trafił. – I, widzi pan, jakoś nie było czasu.

Zaprasza do kuchni, pyta, jak podróż, i jedną ręką stawia na kuchence ciężki, żeliwny czajnik. Z szafki wyjmuje dwie filiżanki z malutkimi uszkami i pudełko herbaty ekspresowej.

W rogu, za kredensem pamiętającym masakrę w pobliskiej kopalni Wujek, zmieściły się jeszcze lodówka i drewniany stolik. Ściany pomalowane na adriatycki lazur dodają skromnej kuchni bajkowego kolorytu.

– Zapraszam – wskazuje kolejne drzwi.

Wchodzimy do pokoju z kanapą i płaskim telewizorem. Na jednej ścianie wisi brązowy dywan z frędzlami. Z drugiej na wewnątrz pokoju z troską spogląda Matka Boska Częstochowska.

Siadam w wypolerowanym na błysk skórzanym fotelu. Przedemną ława przykryta świątecznym obrusem, na środku samotny talerz z sernikiem. Ciasto pokrojone na równiutkie kawałki.

– Sam upiekłem – uśmiecha się nerwowo, odsłaniając braki w uzębieniu. Ma pięćdziesiąt sześć lat, ale zmarszczki i szara cera dodają mu co najmniej piętnaście. Po tatuażach nie ma śladu.

Nosi wytarte dzinsy i flanelową koszulę w czarno-białą kratę z rękawami naciągniętymi równo do nadgarstków. Kiedy szybko mówi,

w kącikach ust zbiera mu się ślina, którą odruchowo wyciera zewnętrzną stroną dłoni.

Dwa tygodnie wcześniej rozmawiamy przez telefon.

Mówię, że piszę reportaż o byłych więźniach i sprawdzam, jak sobie radzą na wolności. Co robią, by nie wrócić na dawną drogę.

– No wie pan, łatwo nie jest. Raczej pod górkę i pod wiatr. Ale proszę przyjechać, chętnie opowiem więcej – proponuje od razu. – Ale zaraz... – wtrąca po chwili. – Skąd pan ma mój numer?

– Dotarłem do dokumentów...

– Pewnie z zakładu karnego?

– Tak – kłamię.

– Ja nie mam nic do ukrycia. Proszę przyjechać.

Po rozmowie wysyła jeszcze SMS: „Dziękuję, że się pan odezwał i zainteresował moim życiem. Mam nadzieję, że będzie to z pożytkiem dla nas obu, a na pewno dla opinii publicznej”.

Z porcelanowych filiżanek pijemy po dwie ekspresowe minutki. Siedzi wyprostowany, ze splecionymi na kolanach dłońmi, co pomaga mu ukryć zdenerwowanie.

Podczas rozmowy co chwilę zerkam w kierunku jego lewej ręki. Wyraźnie próbuje ją ukryć. Kiedy prawą dłonią sięga po filiżankę, lewą zawsze trzyma za stołem. Sernika nie je, nie gestykuluje.

W końcu mówię, że to już wszystko, miło się rozmawiało i do zobaczenia. Wtedy niespodziewanie proponuje, że pokaże zdjęcia z młodości. I traci czujność. Podchodzi do komody, otwiera szufladę. Znów patrzę na jego lewą rękę i widzę, że wskazujący palec jest lekko skrzywiony. Wstaję, przerzucam plecak przez ramię i kieruję się do wyjścia.

– A czy pan mógłby kogoś zabić? – pytam już na stojąco, w kuchni, oceniając, ile kroków muszę zrobić, by znaleźć się na klatce.

– Zabić? No wie pan... W życiu zrobiłem wiele złych rzeczy. Ale zabić? Zabić to nie.

ROZDZIAŁ I

„Zabójca z Pikiety”

Miejsce: Łódź

Czas: 2016

Śledczy: Władysław Petrycki, komenda wojewódzka policji, Archiwum X

22 sierpnia 2016

Winda w dziesięciopiętrowym wieżowcu przy ulicy Lutomierskiej jest ciasna i jedzie powoli. Zmieści się w niej cztery, może pięć osób. Bez przerwy kursuje między piętrami odnowionej niedawno siedziby Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi.

Władek przeciera wysokie czoło rękawem białego polo i kciukiem wciska szóstkę, piętro, które zajmuje wydział kryminalny. Nie wygląda na swoje sześćdziesiąt lat. Dekady biegania za łódzkimi bandziorami utrzymały go w formie. Barczysty mężczyzna z zakolami zajmuje większą część wolnej przestrzeni w ciasnej kabinie. Jedzie sam, jak zwykle. Zawdzięcza to głównie boksterskiemu spojrzeniu i niespecjalnie przyjaznemu usposobieniu.

Policjant patrzy w górę, jedną ręką odchyła kołnierzyk koszulki, drugą wachluje powietrze, by choć na chwilę zatrzymać skraplający się na klatce piersiowej pot. Winda też wydaje się zmęczona upałem. Ostatkiem sił wspina się na szóste piętro i natychmiast otwiera drzwi, jakby chciała głęboko zaczerpnąć powietrza. Władek, czując przyjemny powiew chłodu klimatyzowanego korytarza, skręca w lewo i zmierza do pokoju, który od lat jest jego drugim domem.

– Dobrze, że pan przyszedł wcześniej – zaczepia go pracownik sekretariatu. – Telefon do pana. Ktoś chce rozmawiać z Archiwum X.

– Przełącz na biurko – poleca aspirant sztabowy. Wchodzi do pokoju i włącza radio. W serwisach eksperci podsumowują igrzyska olimpijskie w Rio de Janeiro, z których Polacy przywieźli jedenaście medali. Tego dnia gazety piszą o pięćdziesięciu ofiarach zamachu bombowego w Turcji, w pobliżu granicy z Syrią, i o tajfunie, który właśnie dociera nad Tokio. Polscy publicyści spierają się o rolę, jaką ma odegrać rosnący w siłę Komitet Obrony Demokracji, a zagraniczni sondują szanse Donalda Trumpa na przeprowadzkę do Białego Domu.

– Dzwonię w sprawie serii zabójstw homoseksualistów sprzed dwudziestu lat. Pan wie, o czym mówię? W internecie przeczytałem artykuł – mówi mężczyzna. Po głosie Władek daje mu około sześćdziesięciu lat. – Widziałem portret pamięciowy i skojarzyłem fakty. Chyba wiem, kim jest morderca.

Policjant proponuje spotkanie w komendzie. Umawia się z informatorem za trzy dni. Włącza komputer i w wyszukiwarce wpisuje: „zabójca homoseksualistów z Łodzi”. Kilka dni wcześniej artykuł na ten temat opublikowano w jednym z ogólnopolskich serwisów, ale legenda o Romanie jak ciasna winda krąży po wieżowcu przy Lutomierskiej od lat. Nie ma tu policjanta, który nie słyszał o największej kryminalnej zagadce w historii Łodzi. Kiedy ponad dwadzieścia lat temu seryjny morderca zabijał kolejne ofiary i stawiał na nogi całą łódzką policję, Władek jeździł na interwencje w sprawie łamania ciszy nocnej i wlepił mandaty za pijackie awantury. Szybko awansował do wydziału kryminalnego, a dziś jest najważniejszym ogniwem wydziału ds. niewykrytych w KWP, który media nazywają „Archiwum X”.

Tylko w ostatnich miesiącach wydział wyjaśnił kilka bulwersujących opinii publiczną spraw sprzed lat. Jak tę z 1993 roku. W nocy z 21 na 22 sierpnia piętnastoletnia Ewa z Chmielna na Dolnym Śląsku wracała z dyskoteki. Na drugi dzień rodzice zgłosili jej zaginięcie. Oprócz policjantów i strażaków ochotników nastolatki szukała rodzina, sąsiedzi, znajomi. Jej ciało znaleziono następnego dnia obok leśnej ścieżki. Mimo przesłuchania kilkuset świadków, wykonania wielu ekspertyz

i nagłośnienia sprawy w ogólnopolskich mediach nie udało się ustalić sprawcy. Do zabójstwa wrócili policjanci z Archiwum X. Wykorzystując nowoczesne techniki, w tym analizy genetyczne, doprowadzili do zatrzymania i oskarżenia mężczyzny z sąsiedniej wsi. Nie znał ofiary. Tamtej nocy wracał samochodem do domu, na dziewczynę natknął się przypadkiem, po drodze.

26 listopada 2006 roku w zaroślach przy cmentarzu w krakowskich Batowicach znaleziono ciało mężczyzny. Nie miał żadnych obrażeń. Podczas oględzin zwłok nie ujawniono śladów działania innych osób. Wszystko wskazywało na to, że czterdziestosześcioletek zmarł z przyczyn naturalnych. Postępowanie zostało umorzone, ale dziesięć lat później policjanci wrócili do sprawy i jeszcze raz przesłuchali najbliższych zmarłego. Dowiedzieli się, że w rodzinie od lat trwał konflikt, również na tle majątkowym. Dotarli do informacji, że krakowianin niedługo przed śmiercią został spadkobiercą dużej nieruchomości pod miastem. Śledczy postanowili ekshumować ciało. Badania toksykologiczne potwierdziły hipotezę, że mężczyzna został otruty. W ciele stwierdzono nienaturalnie wysokie stężenie jednego ze środków leczniczych, do którego zmarły nie miał dostępu. O zabójstwo oskarżono żonę mężczyzny i jej kochanka.

Ale sprawa seryjnego zabójcy homoseksualistów z Łodzi wciąż pozostaje niewyjaśniona. Co kilka lat temat przewija się w ogólnopolskich mediach. Tego dnia Władek mógłby znaleźć w internecie co najmniej sześć artykułów i dwa reportaże o morderstwach dokonanych w Łodzi w latach 1988-1993. Serwis Nasygnale.pl pisze o serii zabójstw, które wstrząsnęły Polską, sprawcę nazywa „Homo-killerem”

Onet.pl donosi, że motywacją „Zabójcy z Pikiety” mógł być rabunek, wyrafinowana zemsta lub nienawiść do mężczyzn o odmiennych preferencjach seksualnych.

Reportaż o tajemniczej serii zabójstw w 2010 roku opublikował łódzki oddział „Gazety Wyborczej”. Dziennikarze rozmawiali ze starszymi kolegami Władka: Krzysztofem Mecwaldowskim i Andrzejem

Szczepańskim, którzy wówczas pracowali w łódzkim Archiwum X. Dziś są na emeryturze.

– Ta czarna seria nie miała precedensu. Owszem, w kraju zdarzały się morderstwa, w których ginęły osoby o homoseksualnej orientacji. Pojedyncze zabójstwa zdarzały się na przykład w Warszawie lub Olsztynie, ale zatrzymywano sprawców – mówił „Wyborczej” Mecwaldowski. – Za każdym razem dokładnie sprawdzaliśmy, czy tamci zabójcy mieli coś wspólnego z łódzkimi morderstwami. I wychodziło na to, że nie, bo albo posiadali żelazne alibi, albo w chwili, gdy ginęli łodzianie, siedzieli w więzieniach.

– Dlaczego zabijał? – pytali dziennikarze.

– Niewykluczone, że była to osoba, na którą bardzo źle działał alkohol – wyjaśniał Mecwaldowski. – Pozostałości po alkoholowych libacjach znajdowaliśmy po każdym morderstwie. Może zabójca robił się agresywny, gdy wypił za dużo? A może nienawidził homoseksualistów? W niektórych przypadkach do zabójstwa dochodziło tuż po stosunku – dodał.

– A może po prostu nie akceptował swojej orientacji? – zastanawiał się Andrzej Szczepański.

Roman ma też swoją zakładkę w Wikipedii. W kategorii „Niezidentyfikowani seryjni zabójcy” jest jedynym Polakiem. Pojawia się obok brytyjskiego „Kuby Rozpruwacza”, „Dusiciela z Honolulu”, „Rzeźnika z Mons” czy „Zodiaka”, który przyznał się do popełnienia trzydziestu siedmiu zabójstw w Kalifornii.

„To największa niewyjaśniona seria morderstw w historii polskiej kryminalistyki” – podaje internetowa encyklopedia. I dalej: „Śledztwo w sprawie morderstw było trudne, gdyż środowisko łódzkich homoseksualistów było hermetyczne. Kryminolodzy podejrzewali, iż sprawca nienawidzi swojej orientacji seksualnej lub został skrzywdzony przez homoseksualistę. Morderca był kilkakrotnie widziany, gdy opuszczał mieszkania ofiar. Powstały portrety pamięciowe. Pomimo uzyskania powyższych danych policja nie odnalazła mordercy. Śledczy podejrzewają,

że nie żyje. Wynika to z faktu, iż świadek, który miał kontakt z tajemniczym Romanem, zmarł na AIDS kilka miesięcy później. Możliwe, że morderca też był zarażony i zmarł niedługo później, co mogłoby tłumaczyć nagłe ustanie serii morderstw”

Władek nie wierzy, że Roman nie żyje. Akta wszystkich zabójstw odnajduje w czterech prokuraturach w Łodzi i w jednostce w Zgierzu.

– Młody, pozwól na chwilę – mówi do słuchawki. Zanim zdąży ją odłożyć, drzwi w jego pokoju otwiera trzydziestolatek w koszulce, która dobrze podkreśla mięśnie nabite godzinami ćwiczeń i litrami wypitych odżywek białkowych. W wydziale kryminalnym Młody jest od trzech lat, pomagał już Władkowi przy poprzednich sprawach.

– Tu są sygnatury. Ściągniesz mi te akta.

Po dwóch tygodniach na biurku Władka leży siedem pożółkłych teczek. Na okładce pierwszej czarnym flamastrem napisano: „Zabójstwo Stefana Wawrosa, rok 1988”

ROZDZIAŁ II

Stefan Wawros

Miejsce: Łódź

Czas: 1988-1989

Śledczy: Andrzej Siwiuk, Komenda Rejonowa Milicji Obywatelskiej Łódź-Górna

1.

Piątek, 23 września 1988

Pukanie do drzwi milicyjnej dyżurki odrywa Andrzeja Siwiuka od poobiedniej kawy.

– Wejść – mówi niskim głosem, mieszając łyżeczką czarne fusy, które wciąż nie chcą opaść na dno.

– Poruczniku, jest tu...

– Solecka Iwona – przedstawia się starsza kobieta, która wpada do pokoju na komendzie. Nie czekając na pozwolenie, siada przed biurkiem naprzeciwko milicjanta, a tekstylną torbę z zakupami kładzie obok krzesła. Zamaszystym ruchem ręki prostuje gładką bluzkę w grochy, poprawia kwiecistą spódnicę i bierze głęboki wdech.

– Ja przepraszam – zaczyna dość śmiało – ale smród na klatce jest nie do wytrzymania.

– Jaki smród? – dziwi się Siwiuk i odkłada brudną łyżeczkę na blat biurka.

– No u nas, przy Grabowej, z mieszkania 22 – ścisza głos kobieta. – I sąsiada dawno nie było widać.

*

Kamienica numer 16 przy Grabowej na łódzkim Górniku się wyróżnia. Towarzystw jej niższe zabudowania, bardziej nieśmiałe i bez historii wypisanej na sypiącym się tynku. Nie ta liga co szesnastka. Budynek jest potężny, a jego elewację zdobią przedwojenne ornamenty. Gdyby tylko ktoś o niego zadbał, z pewnością zachwyciłby niejednego miłośnika zabytków.

Od frontu kamienicy wystaje kilka balkonów, a z nich wychylają się gapie. Z papierosami w ustach, niektórzy wciąż w podomkach, wyczekują Soleckiej. Wspólnie uradzili, że to właśnie ona pójdzie na milicję i poinformuje o zgniłym zapachu na klatce. Bo odważna, wygadana. No i z władzą żyje dobrze.

– Jada! – przerywa ciszę przytłumiony głos z ostatniego piętra. W tej samej chwili słychać trzask zamykanych drzwi balkonowych, a na chodnik leci salwa petów. Wszyscy wiedzą, że najlepszy widok na akcję będzie od podwórka.

Z czerwonego żuka, który podjeżdża pod kamienicę z wyjąca syreną, wysiada czterech strażaków. Gęsiego wchodzi przez bramę frontową i od razu kierują się do klatki po lewej. Stare, skrzypiące schody, odzierające sąsiedzkie życie z dyskrecji, słychać już przy pierwszych krokach. To one informują, kto, z kim i o której wychodzi lub wraca do domu.

Drzwi do mieszkania numer 22 na drugim piętrze są zamknięte.

– Wyważamy? – pyta jeden ze strażaków. – Chodźcie na dół. Może okno otwarte?

– Tylko lufcik – zauważa z zadartą głową Tomasz Wąsik, gdy wszyscy są już na zewnątrz. Wąsik jest najszczuplejszy. Koledzy patrzą to na niego, to na okno. – Nie da rady – obstawiają w myślach.

Ale Wąsik zdejmuje czapkę i ruchem głowy wskazuje chłopakom drabinę.

– Kto jak nie ja? – pyta, zacierając ręce.

Dwóch kolegów przystawia drabinę do ściany, trzeci odpala papierosa i opiera się o maskę żuka. – Na bank nie da rady – mówi pod nosem.

Wejście na balkon zajmuje Wąsikowi nie więcej jak pół minuty. Strażak zagląda przez lufcik do środka i przymierza głowę. Zdaje się, że wejdzie. Gorzej z biodrami.

Po chwili obok trzymających drabinę kolegów ląduje jego strażacka kurtka, sweter i skórzany pasek.

Z dołu wygląda, jakby skakał na główkę do wody. Przekłada przez lufcik wyprostowane ręce, ciało wygina w literę „c” i po chwili ku uciesze gapiów na zewnątrz zostaje tylko połowa Wąsika. Ręce, głowa i barki strażaka są już w środku. Smród, który wwierca mu się w nozdrza, przyspiesza kolejne ruchy. Zręcznie przeciska resztę ciała i ląduje na podłodze w kuchni.

Oprócz fetoru rozkładających się zwłok Wąsik czuje coś jeszcze. Kuchenka. Wszystkie kurki odkręcone. Jedną ręką szybko zakręca gaz, drugą otwiera na oścież kuchenne okno, wystawia głowę i głęboko nabiera powietrza. Po chwili podbiega do wejściowych drzwi i otwiera je od środka. Strażacy wchodzą do mieszkania.

– No, Wąsik, udało ci się – śmieją się z niego koledzy, poklepując go po plecach. Ale już po chwili zatykają nos i usta. Zaglądają do pokoju.

– Sprawa dla kryminalnych. Nic tu po nas – mówi Wąsik, spoglądając na martwe ciało lekko otyłego mężczyzny.

*

Porucznik Siwiuk od rana przeczuwał, że to nie będzie dobry dzień. Żona nie odzywa się do niego po wczorajszym spotkaniu z kolegami, gdy półprzytomny wrócił nad ranem do domu. Do tego robota: choć nie raz robiono mu nadzieje, wciąż nie może doczekać się awansu i podwyżki. Zawsze znajdzie się ktoś lepszy, czyli bliżej naczelnika. I władzy. A teraz jeszcze ta kobieta z Grabowej.

– Jedziemy – rzuca zrezygnowany do młodego szeregowego. Nawet nie próbuje ukryć, jak bardzo pęka mu głowa.

Kamil, który właśnie zaczął służbę w milicji, z werwą otwiera przed Siwiukiem drzwi do niebieskiego poloneza. Na tylnym siedzeniu siedzi już Solecka.

Po kilku minutach parkują przy Grabowej. Siwiuk pewnym krokiem rusza w stronę klatki po lewej. Solecka spogląda ukradkiem na znajomych, dając im znać, że finał historii właśnie przed nimi.

Siwiuk wita się ze strażakami. Do mieszkania wchodzi przed przyjazdem prokuratora. Solecka zostaje na klatce schodowej, ale ciekawość wygrywa. Kątem oka zagląda przez uchylone drzwi do domu sąsiada.

– To on! – krzyczy do milicjanta i prędko zbiega po schodach. Po chwili wpada w tłum sąsiadów. – Nie żyje! Wawros nie żyje! – krzyczy.

Porucznik rozgląda się po mieszkaniu. Jeden pokój, kuchnia i łazienka. W kuchni tapeta w geometryczne wzory i szafki z drzwiczkami, które się nie domykają. W łazience porządek, w przeciwieństwie do pokoju. – Nieźle musieli się poszarpać – myśli porucznik, potykając się o książki i dokumenty wyrzucone z szafy. Pod nogami leży też mnóstwo papierów i foliowych toreb.

Ale to, co najważniejsze, znajduje się tuż przy butach milicjanta. Na dywanie, ze skarpetką w ustach i związanymi rękami, leży półnagie ciało mężczyzny.

– Jak długo? – porucznik pyta Kamila, nachylając się nad zwłokami.

– Czy ja wiem... – Młody milicjant ogląda zwłoki, przekrzywiając głowę to w lewo, to w prawo.

– Skoro śmierdzi, to więcej niż czterdzieści osiem godzin. Patrz i się ucz – porucznik zatyka nos rękawem koszuli i pochyla się nad półnagim ciałem.

– Nogi prowizorycznie związane sznurkiem, do tego cztery przecięcia na koszuli. Trzeba szukać noża, zabezpieczyć ślady i zastanowić się, czy napastnik był jeden.

Kamil przytakuje, próbując wszystko zapamiętać. Siwiuk podnosi się, by nabrać powietrza. Zza pazuchy wyciąga małpkę z czystą wódką i pociąga z gwinta. Wygląda przez balkon. Podwórko porośnięte jest krzakami dzikich malin. Pod oknami sterta śmieci i stara kanapa, na której,

co widać po pustych butelkach, sąsiedzi urządzą towarzyskie spotkania przy tanim winie. Wrzawa mieszkańców nie cichnie. Strażacy zbierają się do odjazdu.

Do mieszkania wchodzi młody prokurator rejonowy. Już po chwili wbiega na balkon, próbując ukryć odruch wymiotny.

– Coś już wiadomo? – pyta porucznika.

– Właśnie idziemy rozpytać – melduje Siwiuk, podając mu dłoń.

Już po chwili, w towarzystwie Kamila, otoczony przez rozemocjonowaną grupę mieszkańców, staje na podwórku. – No, obywatele, to jak to z tym sąsiadem było? Wrogów miał? – rzuca do lokatorów.

Kobieta spod jedenastki wyrywa się pierwsza. – Panie władzo, do niego często przychodzili młodzi mężczyźni. Na oko mieli tak po dwadzieścia, trzydzieści lat.

– Mężczyźni? – dziwi się Siwiuk.

– Albo i jeszcze młodszy! – rzuca sąsiad z parteru.

– Ostatnio też byli? Czego tu szukali? – marszczy czoło milicjant.

– No praktycznie co wieczór pukali do jego drzwi – wraca do głosu lokatorka spod jedenastki. – Odwiedzali go, bo miał magnetowid.

– Czyli bogaty? – Siwiuk notuje, lekko łapiąc się za głowę. Kac nie odpuszcza.

Ten z parteru wzrusza ramionami. – Magnetowid i telewizor miał, nie każdy ma. Ale czy od razu bogaty?

– Często tu dochodziło do libacji, panie milicjancie. Spać nie dawali. To znaczy sam sąsiad to nie, ale ci młodzi przychodzili co chwilę. A raz to nawet dziesięciu ich było. Pili wódkę i oglądali kasety. No ale sam Stefan to problemów raczej nie robił..

– Ale do pracy ostatnio nie chodził! – odzywa się kolejny.

– A dlaczego nie chodził? – dopytuje porucznik.

Sąsiedzi wzruszają ramionami.

Siwiuk spogląda na Kamila.

– Dowiedz się, gdzie pracował, i dobrze o niego wypytaj. Tylko niczego nie pomiń – rozkazuje. – I weź ze sobą Andrzeja. Niech się też wykaże.

*

Choć to pierwszy kalendarzowy dzień jesieni, ulice Łodzi kąpią się w słońcu. Nic też nie przypomina atmosfery sprzed miesiąca, gdy główne place miasta stały się niemymi obserwatorami przemarszu pracowników łódzkich fabryk. Strajki organizowane przez „Solidarność” zalały wtedy cały kraj i choć demonstrującym nie udało się jeszcze wywalczyć wolności, zmusiły komunistyczne władze, by usiadły z opozycją przy Okrągłym Stole.

Tymczasem trzy godziny po znalezieniu ciała mężczyzny przy Grabowej młodzi milicjanci podchodzą pod budynek Energopolu. To mały zakład przy ulicy Pojezierskiej, który wykonuje remonty na zlecenie miasta.

Od kierowniczkii kadr z budowy dowiadują się, że Wawros był małomówny i codziennie spóźniał się do pracy. Tłumaczył, że ogląda filmy na wideo do późnej nocy.

– Wawros pracował... – Młoda kobieta z rudym tapirem na głowie jest wyraźnie podekscytowana wizytą milicjantów. Spogląda w papiery. – Przy budowie na ulicy Pienistej. Ale co, nie żyje, tak? – ścisza głos.

– Jakieś skargi na niego były? – zbywa ją Andrzej, chowając nos w notesie. Trudno mu się skupić. I ukryć, że kobieta wpadła mu w oko.

Kierowniczka wzrusza ramionami. – Z tego, co widzę, to pracownik z niego ani dobry, ani zły. Większych problemów z nim nie było. Tylko potem zachorował. Pracował u nas kilkanaście miesięcy, ale od co najmniej dwóch był na zwolnieniu. Rwa kulszowa.

– Wrogów miał? – dopytuje Kamil.

Kobieta kręci przecząco głową. – Nikt mu raczej nie groził, z nikim się nie kłócił. U nas takich przypadków nie było. Może tylko trochę leniwy był, bo tak od razu na zwolnienie? – kwituje, co chwilę spoglądając na Andrzeja i coraz śmieiej się do niego uśmiechając. Młody milicjant speszony cały się rumieni.

Mija kilkanaście minut, gdy funkcjonariusze stają przed strzelistą kamienicą przy ulicy Pienistej. Przykryta białą, lekko podartą od wiatru plandeką. Dookoła rusztowania.

– Nigdy nie przyszedł pijany. Ubierał się nieźle, a czasem to i kanapką poczęstował, jak miał za dużo. Jedyne co, to się spóźniał. Codziennie – mówią milicjantom robotnicy, dogaszając papierosy i kończąc długą przerwę.

– Z nami się blisko nie trzymał – dodaje oschle dowódca brygady, z pogardą spoglądając na funkcjonariuszy znienawidzonej władzy. – Panowie – po chwili zwraca się do robotników – wracamy na swoje stanowiska. Do roboty! Już!

Mężczyźni w brudnych kombinezonach niespiesznie odchodzą w stronę remontowanej klatki schodowej. Dyskutują o śmierci kolegi z pracy. Nagle jeden z nich odwraca się w stronę Kamila. – Ale ten Wawros – mówi – to dziwny trochę był.

– Dziwny? Dlaczego dziwny?

– A jakoś tak. Po prostu dziwny – mówi mężczyzna i znika w białej chmurze pyłu.

2.

Sobota, 24 września 1988

Po jednym dniu Siwiuk wie o Wawrosie wystarczająco, by na kilka nurtujących go pytań od razu znaleźć odpowiedzi. A wszystko dzięki Soleckiej. Nie dość, że zaalarmowała milicję, to jeszcze wygadana. Pewnie dlatego, że bukieciarka. Z ludźmi pracuje, nagabuje.

Naprzeciwno Siwiuka siedzą Kamil i Andrzej; zapatrzeni w okno i lekko znudzeni czekają na dalsze rozkazy, choć najchętniej wróciliby już do domów.

– Halo, tu się pracuje! – podnosi się Siwiuk i wyrywa ich z zamyślenia. – Meldować, do cholery, czego się dowiedzieliście.

Kamil wzdryga się i staje na równe nogi. – Na drugie piętro kamienicy przy Grabowej Stefan Wawros wprowadził się dwa lata temu. Sąsiedzi

myśleli, że ma na imię Rafał, bo tak wołali do niego znajomi – duka, stojąc przed porucznikiem na baczność.

Andrzej odchrząkuje i wyjmując pogięty notes, próbując pomóc koledze. – Wiemy też, że kilkanaście godzin przed znalezieniem zwłok, około północy, przed kamienicą Wawrosa kręcił się młody mężczyzna. Prawdopodobnie czekał na niego. Z opisu wynika, że miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ciemne włosy i delikatny typ urody.

– Jaki?

– No... delikatny. – Andrzej spogląda ponownie w notatki.

– A co to, kurwa, znaczy „delikatny typ urody”? – denerwuje się Siwiuk. Bierze kilka oddechów, po czym się uspokaja. – Dobra. Mówcie dalej.

Kamil spogląda na Andrzeja.

– Większość mieszkańców już spała, gdy on przyszedł.

– Ale nie Solecka. Ona właśnie wtedy wyszła na spacer z psem. No i go spotkała – prostuje Andrzej.

– Solecka? Ta Solecka? – dziwi się Siwiuk.

Młodzi milicjanci przytakują.

*

Wybija północ, gdy w noc morderstwa Wawrosa Solecka pewnym krokiem wychodzi z klatki schodowej. Ubrana w pikowaną kurtkę, pod spodem ma jedynie flanelową piżamę. Obok jej stóp podskakuje rozradowany pies. Kobieta spuszcza go ze smyczy. Nagle słyszy warknięcie. Jedno, drugie, kolejne. Psa nie widać, Solecka się wzdyga.

– Kapsel! Do nogi! – krzyczy w ciemności.

Delikatną poświatę w zalonym mrokiem podwórku daje tylko światło ulicznej latarni, które wdziera się przez bramę. Nagle z ciemności przed Solecką wyrasta wysoka postać. Kobieta podskakuje z wrażenia, a Kapsel już nie warczy, ale piszczy ze strachu. – O Boże! – Sąsiadka chwytą się za serce i odskakuje.

– Przepraszam, nie chciałem przestraszyć – rzuca speszony nieznajomy. – Ja tu tylko... Nie widziała może pani Rafała?

– Jezus Maria, panie! – Solecka próbuje złapać oddech. – Zawsze pan tak ludzi nachodzi po nocy?!

Kobieta przypatruje się mężczyźnie, ale w ciemności nie jest w stanie dostrzec żadnych szczegółów.

– Rafała? A, tego... Stefana? Nie, nie wiem, już dawno go nie widziałam – mówi, schylając się do Kapsla i próbując go uspokoić.

– Naprawdę nie chciałem przestraszyć – odpowiada młody mężczyzna, po czym wymija bukieciarkę, wchodzi do klatki schodowej i po skrzypiących schodach wbiega na drugie piętro. W dłoni trzyma foliową torbę, w której obijają się butelki.

„Na pewno z alkoholem, bo z czym innym?” – myśli Solecka, by czym prędzej zająć czymś głowę. Kapsel, przestraszony bardziej niż jego pani, wskakuje jej na rękę.

W tym czasie młody mężczyzna puka do drzwi mieszkania Wawrosa. Czeka chwilę, niecierpliwi się. Puka jeszcze raz. W końcu chwytą za klamkę. Zamknięte. Zrezygnowany odchodzi, przemyka przez bramę i znika w ciemności.

*

Siwiuk pochyla się nad Kamilem.

– Dopiero teraz mi o tym mówicie?! Cholera jasna! Przyślijcie mi tu tę Solecką! Chcę ją jeszcze raz przesłuchać. Osobiście – cedzi słowa.

Po dwóch godzinach lokatorka z Grabowej siada na krześle naprzeciwko Siwiuka. – Panie władzo, ale ja nie mogę tak codziennie tutaj... Koleżanka mi straganu pilnuje, przy cmentarzu. Muszę doglądać biznesu.

– Bezpieczeństwo obywateli Polski Ludowej jest ważniejsze niż wasze biznesy – rzuca oschle Siwiuk. – Mówcie jeszcze raz, kiedy po raz ostatni widzieliście ofiarę. I co to był za mężczyzna ten w bramie.

– No tak jak mówiłam. Stefana widziałam jakoś z tydzień temu. Ale który to był, to dokładnie nie pamiętam. Może jakoś... 17 września?

Chciałam od niego pożyczyć dwa tysiące złotych, ale nie miał. Stwierdził, że jest na zwolnieniu i nie zarabia – opowiada kobieta.

– A ten nieznajomy z bramy? – dopytuje porucznik, przewiercając ją spojrzeniem.

– No ale cóż ja widziałam? Ciemno było. Na pewno wysoki był, przystojny. Młody. Znaków szczególnych to raczej nie miał. Szatyn, krótko ostrzyżony. Ubrany w dżinsowy strój, spodnie lewisy i kurtkę. Tyle byłam w stanie zobaczyć – wzrusza ramionami bukieciarka.

– I to jedyny mężczyzna, jakiego widziała pani u Wawrosa?

– Gdzie tam jedyny! To znaczy tej nocy to jedyny, ale kiedyś Stefan zaprosił mnie i męża na film. Piliśmy tam herbatę. I nagle usłyszeliśmy śmiechy na klatce i pukanie do drzwi. Stefan się zdziwił, bo zdaje się, że nie spodziewał się gości. A przyszło ich z pięciu, wszyscy młodzi. A jeden to nawet na nieletniego wyglądał.

– Ciekawe – ścisza głos Siwiuk.

– Oni nic nie robili. Rozsiedli się, postawili butelki na stole, ale... – Solecka ścisza głos. – Bo o Stefanie to krążyły plotki, że jest zboczony, ale ja nic nie wiem. Moim zdaniem był grzeczny i inteligentny.

3.

Niedziela, 25 września 1988

Słońce wschodzi o godzinie piątej dwadzieścia sześć, Telewizja Polska zacznie nadawać dopiero za dwie godziny. O dziewiątej rozpocznie się studio olimpijskie z Seulu, a na ekranie małych kineskopowych telewizorów pojawi się animacja w wyblakłych kolorach. Na niej wodospad i olimpijskie koła zwiastujące sportowe emocje.

To siódmy dzień igrzysk. Na upragniony pierwszy złoty medal polscy kibice poczekają jeszcze trzy dni, kiedy judoka Waldemar Legień w finale

pokona Franka Wienekego z RFN. Tego dnia usłyszą także o młodym, obiecującym pięściarzu Andrzeju Gołocie.

Tuż po studiu z Seulu telewizja pokaże kolejny odcinek brazylijskiej telenoweli *W kamiennym kręgu*. To ulubiony serial sąsiadki Wawrosa z pierwszego piętra, która właśnie wyczekuje pod komisariatem przy Wólczańskiej. Kobieta niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę. Chciała odpocząć, a tu dwadzieścia minut w jedną, dwadzieścia w drugą stronę. I jeszcze czekać trzeba. Stracony czas.

– A pani do kogo? – pyta ją w końcu starszy milicjant, który wychodzi z budynku. Już wcześniej obserwował ją z okna. Kobieta jednym tchem odpowiada, że natychmiast musi złożyć zeznania w sprawie zabójstwa z Grabowej, bo przypomniała sobie coś ważnego. I pyta, czy mogłaby zrobić to szybko. – Bo wie pan, panie władzo, o piętnastej zaczyna się mój serial.

Do pokoju Siwiuka przyprowadza ją posterunkowy.

– Panie władzo, to może być bardzo ważne – zaczyna kobieta, moszcząc się na krześle. – W niedzielę, 19 września była u mnie sąsiadka. I słyszałyśmy, jak spod dwudziestkidwójki było słychać jęki, krzyki i jakieś trzaśnięcia. A po chwili zapadła cisza.

Siwiuk energicznie odstawia na biurko szklankę z gorącą kawą. – Przy Grabowej?

– No tak – odpowiada kobieta, nie tracąc przy tym ani krzty spokoju. – W naszej kamienicy to ciągle jakieś krzyki słychać. I dopiero teraz przyszło mi do głowy, że być może to ważne. Bo ten tupot taki mocny był, jakby konie biegały.

– I co, zareagowała pani? – Siwiuk podnosi się z krzesła.

– Podeszłam pod mieszkanie sąsiada. Bałam się, ale co tam – mówi z uśmiechem. – Chwyciłam za klamkę, bo ciekawa byłam, co się dzieje. Ale drzwi się tylko uchyliły. Były zamknięte na łańcuch od środka.

– No i? – niecierpliwi się porucznik.

– No i zobaczyłam rękę. Na pewno była to męska dłoń. I ta dłoń powoli złapała za klamkę i cichutko zamknęła drzwi od środka. Od tamtej pory

krzyki i jęki ustały. I już nic z tego mieszkania nie było słychać. Więc porzuciłam rozmyślania o tym, co widziałam – kwituje kobieta.

Siwiuk nie wierzy w to, co słyszy. – Ludzie są niemożliwi! Dlaczego dopiero teraz pani o tym mówi?! Jak w tym kraju ma być dobrze?! – Porucznik sięga po telefon. Kabel od aparatu zahacza o szklanę, która przewraca się na biurko. – Kurwa! – krzyczy ze słuchawką przy uchu, próbując ratować dokumenty, na których już pojawiły się mokre plamy. – Sprowadzić mi tu wszystkich bliskich Wawrosa. Kogo tylko się da! Tak, dziś. – Siwiuk denerwuje się, wymachując mokrymi papierami. – Wiem, że jest niedziela!

*

W laboratorium Aurelii Garbowskiej z Zakładu Medycyny Sądowej w Łodzi jest zimno jak w kostnicy. Szczupła starsza kobieta z widoczną siwizną sprawnie kursuje między stalowym łóżkiem, na którym leży ciało denata, a stołem z notatkami. Przy sprzęcie laboratoryjnym siedzi wysoki młody mężczyzna w okrągłych okularach.

– Michaś, zapisuj – zwraca się do niego Aurelia. – Zgon nastąpił przed kilkoma dniami. Zbrodnicze rany kłute – mówi cicho Garbowska. – Zapisujesz? – znów zwraca się do młodego asystenta, a ten niemo przytakuje.

– Zwłoki prawidłowej budowy, sto siedemdziesiąt dwa centymetry, waga sześćdziesiąt sześć kilogramów, wiek trzydzieści osiem lat. Głowa symetryczna, gałki zwiotczałe, spojówki bez wybroczyn. W nadbrzuszu rany kłute poziome, to samo na klatce piersiowej po lewej stronie. Kolejne na grzbiecie, plecach i brzuchu. Łokcie lekko otarte. Rana kłuta lewego policzka i rana cięta szyi. W sumie czternaście ran kłutych i jedna cięta spowodowanych narzędziem ostrym. Przed śmiercią ofiara piła alkohol – wylicza kobieta. Po chwili Aurelia sama sięga po długopis i granatowym tuszem dopisuje jeszcze kilka uwag. O wyraźnych zmianach gnilnych, ranach kłutych grzbietu i przedniej powierzchni tułowia oraz kończynach

skrępowanych jedwabnym sznurkiem. Zadowolona stawia kropkę i składa podpis.

Oprócz ciała lokatora z Grabowej do jej laboratorium technicy przywożą też czarny sweter, różową koszulę, biały podkoszulek i kilka innych ubrań poplamionych krwią z mieszkania Wawrosa. Garbowska pobiera DNA denata i zabezpiecza materiał z ubrań.

Badania mają wykazać, czy jest na nich krew inna niż ofiary.

*

Siwiuk, który kilka godzin później dostaje na biurko wstępny protokół z sekcji zwłok, zdążył ustalić, że Wawros miał trzy siostry i dwóch braci. Jedna z sióstr właśnie wchodzi do jego pokoju na komendzie. Wiktoria, z zawodu tkaczka. To ona ze Stefanem była najbliższej. Gdy brat się rozwodził, wzięła go pod swój dach.

– Na Grabowej cała rodzina pomagała mu się urządzić. Mąż malował ściany, ja szyłam zasłony. Kupiliśmy kieliszki, szklanki. Szwagier zamontował bojler. Stefan swój majątek zostawił byłej żonie – zeznaje kobieta. Ze stresu poca jej się dłonie, więc co chwilę wyciera je o granatową sukienkę. – Choć gdyby tak zliczyć wszystko, to jednak sporo posiadał. Telewizor, magnetowid, radioodbiornik, ale też pralkę, kurtkę zamszową, dolary, długi kożuch, szeroką złotą obrączkę, dwa złote sygnety...

Siostra żali się milicjantowi, że od kiedy Stefan kupił magnetowid, widywali się rzadziej. – Zapraszał nieznajomych mężczyzn, a mnie się to nie podobało. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Ten magnetowid go po prostu omotał. – Kobieta próbuje powstrzymać się od płaczu. A po chwili dodaje: – A teraz żałuję, że za nim nie pobiegłam.

– Nie rozumiem. – Siwiuk marszczy brwi.

– W poniedziałek, tydzień przed tym, jak go znaleźliście. Szedł ulicą Narutowicza. Pewnie do klubu polsko-węgierskiego, bo lubił tam przesiadywać. W rękach trzymał dwie ortalionowe torby. Jechałam tramwajem, widziałam go przez okno, ale on akurat nie patrzył w tę

stronę. I straciłam ostatnią szansę, żeby z nim porozmawiać. – Kobieta zwiesza głowę.

– A czy może ktoś groził pani bratu?

Siostra Wawrosa zastanawia się długo.

– No proszę powiedzieć – nalega milicjant.

– No bo... Żona mu się odgrażała, że go zabije. Cała rodzina to słyszała, wszyscy mogą potwierdzić.

*

Wawros był rozwodnikiem i co miesiąc płacił alimenty na dziesięcioletniego syna. Kiedy tylko była okazja, dorabiał za granicą. Handlował na bazarach w NRD, Czechosłowacji, a ostatnio na Węgrzech i w Wielkiej Brytanii. Niedawno zatrudnił się na stałe w Łodzi, na budowie.

– Zamożny to nie był, ale na telewizor i wideo mógł sobie pozwolić. Nadmiar gotówki trzymał w kredensie. Widziałem, jak chowa pieniądze, kiedy rok temu naprawiałem mu piec – potwierdza szwagier ofiary. Według jego zeznań Stefan miał też konto dewizowe, kolorowy telewizor marki Elektron, magnetowid z pilotem i magnetofon.

– Pochodził z Bogucic, małej wsi w Kieleckiem. Nie spotykaliśmy się często, a jak kupił magnetowid, to prawie wcale – mówi drugi szwagier Stefana, drapiąc się po łysinie i próbując przypomnieć sobie jakieś istotne szczegóły. – Ale wie pan, panie władzo, my akurat blisko nie byliśmy.

– A jego żona? Coś pan o niej wie? – dopytuje go milicjant.

– No jego byłej żonie podobno przeszkadzało, że pił, ale to było bardzo dziwne, bo ja go pijanego nigdy nie widziałem. Agresywny też nie był.

– A ten rozwód to dlaczego?

– Z żoną to moim zdaniem rozwiódł się przez jej pazerność. Ciągle było jej mało. Ciągle chciała więcej i więcej. Chłop miał dość.

4.

Poniedziałek, 26 września 1988

Siwiuk na komisariat przychodzi o świcie. Miał być na urlopie, ale nie mógł usiedzieć w mieszkaniu. Opowieści sąsiadów, Soleckiej i siostry ofiary z Grabowej nie dają mu spokoju.

– A szef co tutaj? Ja miałem poszukać... – Kamil wchodzi do chłodnego pomieszczenia na końcu korytarza. Milicyjne archiwum znajduje się w piwnicy. W powietrzu od wejścia czuć wilgoć. Mimo że porucznik spędził tam tylko pół godziny, już pociera ramiona dłońmi, próbując nieco się ogrzać. Na widok Kamila macha do niego ręką i bez słowa, stojąc na drewnianym taborecie i wspinając się na palce, podaje mu ciężkie pudła z napisem „Tajne”. – Jakbym miał na wszystkich czekać, tobym nigdy nie rozwiązał żadnej sprawy – mówi doświadczony milicjant i otrzepuje się z kurzu.

– Dlaczego po rozwodzie odwiedzali go młodzi mężczyźni? Czyżby był homo? – zastanawia się milicjant, przeglądając jedną z teczek. Dokumenty z archiwum zajmują całe biurko i dwa krzesła w pokoju Siwiuka.

– Homo?! – wykrzykuje Kamil, do którego przemyślenia Siwiuka dotarły z lekkim opóźnieniem. – Pan zobaczy. Tu napisali, że w latach 1975-1985 odnotowano ponad osiemdziesiąt zabójstw na tle homoseksualnym w całym kraju. To chyba nie jest jakoś dużo, co, szefie?

– A wiesz, ilu takich przestępstw nie zgłosili? Okradają gejów na potęgę, ale nie zawsze zabijają – odpowiada mu spokojnie porucznik zatopiony w lekturze.

– Dlaczego nie zgłaszają? – dziwi się Kamil.

– Bo się wstydzą. Ty byś się nie wstydził?

Pukanie. Do pokoju wchodzi Andrzej. Rozgląda się dookoła, jest zaskoczony widokiem siedzących na podłodze Siwiuka i Kamila.

– Porucznik wzywał. – Młody milicjant zdejmuje czapkę i spogląda w dół.

– Pójdziecie wieczorem z Kamilem na Dworzec Fabryczny. I pogadacie, z kim trzeba – odpowiada mu milicjant, nie odrywając wzroku

od dokumentów.

– Na Fabryczny? – Do Kamila właśnie dotarło, co będzie tam robił. – Ale ja...

– „Ale” to sobie możecie w domu żonie mówić. Popytacie o Wawrosa. Tylko się ubierzcie normalnie. W sensie, no, mundur zdejmijcie.

– I jak my tak... – pyta Kamil.

– Jak chcecie się dowiedzieć, jak to się robi, przejrzycie dokładnie te papiery. To dokumenty z „Hiacynta”

– „Hiacynta”? – odpowiadają chórem młodzi milicjanci. Andrzej kuca i chwyta w dłoń akta.

– Tak, kurwa, z „Hiacynta”. – Policjant pochyla się nad dokumentami, co raz przecierając je rękawem koszuli. – A, i znajdźcie mi w końcu była żonę ofiary. Z nią też mamy do pogadania.

*

Nazywany „Warszawskim” lub „Wschodnim”, pamięta czasy cara Aleksandra II. Pierwszych pasażerów przyjął w 1866 roku. Wtedy szyny łączyły miasto tylko z podłódzkimi Koluszkami, dopiero po latach ruszyła budowa trasy aż do Wiednia. Cztery perony, sześć krawędzi i restauracja – oto z czego przez lata słynęła główna stacja kolejowa w Łodzi. Szczególnie popularna była jednak ta ostatnia – miejsce, które szukający przygód łodzianie chętnie odwiedzali późną nocą, gdy inne lokale w mieście były już zamknięte.

Dziś jednak na dworcu panuje przede wszystkim chaos. Ludzie ubrani w ciepłe kurtki i grube swetry ocierają się o siebie w pośpiechu. Pod kioskami tworzą się kolejki po papierosy, gazety i piwo. Starszy mężczyzna ze skórzaną teczką biegnie po brudnej, mokrej od deszczu posadzce, potykając się i trącając przy tym starszą kobietę. – Uważaj pan! – krzyczy za nim kobiecina, poprawiając na głowie chustę.

Kamil i Andrzej nie reagują, opierają się o obdartą z farby ścianę. Starają się nie zdradzić, jak bardzo stresuje ich działanie pod przykrywką. Ubrani w ciemne materiałowe spodnie i kurtki z kożuszką podchodzą bliżej

dworcowej toalety. Nie widzą, że zza okienka przygląda im się klozetowa. Kobieta w kwiecistym fartuchu jest pewna, że bezbłędnie czyta sytuację. – Pierwszy raz, co? Chcecie wejść? To wyskakiwać z pieniążków – rzuca zadowolona, że zainkasuje kolejne napiwki. Kamil szturcha Andrzeja. Dają kobiecie dwa banknoty po tysiąc złotych, w zamian dostają po kawałku szarego papieru toaletowego.

Niepewnym krokiem wchodzi do toalety. W środku kilku młodych mężczyzn opiera się o drzwi z dykty i przybrudzone, niegdyś białe kafelki. Jeden z nich ma damską torebkę, drugi mocno wytuszone rzęsy. Milicjanci unikają kontaktu wzrokowego, ale na plecach czują ich przeszywające spojrzenia.

Bez chwili zastanowienia zamykają się w jednej z kabin. Na drzwiach dostrzegają wypisane mazakami oferty towarzyskie: „Poznam przyjaciela”, „Jestem samotny”, „Szukam towarzysza do rozmowy i nie tylko”. I numery telefonów.

– Kurwa, i co teraz? – Andrzej panikuje. Jego partner próbuje ukryć zdenerwowanie i podejść do zadania profesjonalnie. – Wyjdziemy i na spokojnie to załatwimy. Pogadamy z pierwszym, który na nas spojrzy.

Milicjanci wychodzą z kabiny i stają przy pisuarach, gdy po chwili podchodzi do nich młody mężczyzna w lekko spranej dżinsowej kurtce. Nieznajomy uśmiecha się zalotnie do Andrzeja. To on wpadł mu w oko. Milicjant w cywilu niepewnie odwzajemnia uśmiech, ale nie potrafi ukryć, jak bardzo jest sytuacją speszony. – Co, pierwszy raz? – pyta go pewny siebie młody chłopak. – Macie papierosa?

Andrzej kiwa głową i wskazujeabinę. Do środka wchodzi we trzech. Kamil zamyka drzwi na zasuwę. Andrzej, udając, że sięga po papierosa, wyjmuję z wewnętrznej kieszeni kurtki milicyjną legitymację. – Tylko spokojnie – mówi szeptem do chłopaka, którego twarz w tej samej chwili robi się biała jak kiedyś kafelki.

– Ale ja... Ja nie. Ja tylko... – jąka się młody mężczyzna. – Zapalić tylko chciałem.

– Dobra, dobra. Dokumenty – mówi Andrzej, na jego czole pojawiają się wielkie krople potu.

Mężczyzna drżącą dłonią podaje milicjantowi dowód. Kamil chowa go do kieszeni. – Wychodzimy, już.

Na zewnątrz jest już mrok. Przed dworcem kręci się garstka pasażerów, kierowcy taksówek z nudów palą kolejne papierosy. Milicjanci wskazują na ławkę pod latarnią, a między sobą sadzają przestraszonego dwudziestolatka.

– Wykształcenie? – dopytuje go Kamil.

– Tkacz. Ale bezrobotny – duka mężczyzna.

– To jak zarabiasz na życie? – Andrzej jest dla niego bardzo nieprzyjemny.

– No... To tu, to tam. I matka trochę pomoże.

– Znasz go? – Kamil pokazuje mu zdjęcie Wawrosa.

Chłopak rozgląda się dookoła, jest spanikowany. – Nie wiem – mówi cicho.

– Chcesz, żebyśmy pojechali do twojej matki? Może tam wszystko wyśpiewasz? – szturcha go Andrzej.

– Nie. Do matki nie, błagam! Ona jest chora! Ja... Znam go. To Rafał – mówi w końcu.

– Na pewno Rafał?

– No tak na niego mówią. A jak jest naprawdę, to nie wiem. Dawno go tutaj nie było...

– Gdzie go poznałeś? Byłeś u niego w domu?

– Przez kolegę... – Widać, że dwudziestolatek jest już zrezygnowany. I spodziewa się najgorszego. – Byłem u niego w mieszkaniu, ale to ten kolega mnie tam wprowadził! Oglądaliśmy filmy, *Rambo I i II*, piliśmy herbatę. Rafał pytał mnie, czy mam chłopaka, a ja mu na to, że mam dziewczynę. Odwiedziłem go, no nie wiem, może z pięć razy? Ale to dawno było. I byli też inni.

– Nazwiska.

Chłopak wzrusza ramionami. – Pamiętam tylko jednego, który był kolorowo ubrany i wyglądał jak papuga. Ale nazwisk nie znam. Tu się

nazwisk nie używa.

– A ten Rafał z kim się najbliżiej trzymał? – Kamil znów go szturcha.

– Nie wiem, z takimi różnymi, co się kręcą po dworcach i kiblach... – Chłopak milknie na chwilę, po czym wypala: – Mirosław Kubis. Jego zapamiętałem, to on w mieszkaniu Rafała zachowywał się jak gospodarz.

Kamil notuje nazwisko. – No i co wy tam robiliście?

– No piliśmy, filmy oglądaliśmy. Ale ja nic złego...

– A jak z tą dziewczyną? Miałeś ją czy chodziłeś do niego? – przyciska go Kamil.

– No mówię, że i dziewczynę miałem, i na filmy chodziłem. My z dziewczyną zaręczeni! – chłopak nie wytrzymuje napięcia. Zaczyna szlochać.

– Dobra, pilnuj się. Jeszcze się odezwiemy. – Kamil rzuca w niego dowodem.

*

Podczas kolejnych przesłuchań milicjanci są odważniejsi. Następny mężczyzna, którego zaczepiają na Fabrycznym, od razu rozpoznaje na zdjęciu Wawrosa. Jest z zawodu kinooperatorem, na komendzie był nieraz, więc potulnie odpowiada na ich pytania. Nie widać po nim, by bardzo się ich obawiał. Wie już, z czym to się je. Po raz ostatni został zatrzymany z trzydziestoma innymi, gdy dwa lata temu milicjanci zrobili nalot na „Grzybek” przy parku Moniuszki.

– Wiem o zabójstwie Wawrosa. Plotki szybko się tu rozchodzą – mówi. I zapewnia, że chce pomóc. Zabójstwo jednego z nich może skończyć się tragicznie także dla kolejnych. Recytuje więc milicjantom nazwiska i ksywki młodych mężczyzn, którzy przychodzili w odwiedziny do Stefana. Wśród nich znów pojawia się Mirosław Kubis, jego dobry znajomy.

– Kiedy widziałeś go ostatni raz? – pyta Kamil.

– Nie pamiętam dokładnie... – zastanawia się długo mężczyzna. – Ale chyba w niedzielę, 19 września. Tak, dokładnie wtedy poszliśmy do Rafała, czyli waszego Stefana, bo Kubis wyjeżdżał do roboty, do ZSRR. Chciał się

z nim pożegnać. Przyjaźnili się. Ale nikogo nie zastaliśmy przy Grabowej. Mirek był bardzo zawiedziony.

Dzięki inwigilacji na dworcu Łódź Fabryczna i w okolicznym parku Moniuszki, miejscach spotkań i schadzek łódzkich homoseksualistów, Kamil i Andrzej w ciągu jednego wieczora ustalają, że Wawros ostatnio gościł u siebie wielu mężczyzn. Wśród nich byli m.in. znany w Łodzi profesor chirurgii, kelner z popularnej restauracji Polonez oraz nieletni uczeń pierwszej klasy zasadniczej szkoły zawodowej.

– Panowie, ja nie jestem homoseksualistą, ja tylko czasem przebywam w tym środowisku! – przekonuje ich piskliwym głosem uczeń zawodówki, gdy funkcjonariusze tego samego wieczora odwiedzają go w domu. Chłopak jest sam, rodzice są jeszcze w pracy. – Przyznaję, miałem jeden kontakt z mężczyzną w parku Na Zdrowiu, ale homo to ja nie jestem! Chciałem tylko parę groszy dorobić... – broni się.

– I nie wstyd ci, że zarabiasz jak żul? – Kamil nie kryje odrazy.

– W potrzebie byłem... – Nastolatek zwiesza głowę.

– A kiedy ostatni raz widziałeś Stefana?

– No tak dokładnie to... 30 sierpnia. Pamiętam, bo akurat wracałem autobusem do domu i spotkałem znajomych. I zaprosili mnie do niego na imprezę. Spałem tam z Kubisem, a potem oglądaliśmy film. Ale homoseksualistą nie jestem! Bóg mi świadkiem, panie władzo!

5.

Czwartek, 29 września 1988

– Dawaj go! – Rozparty w fotelu porucznik co chwilę podnosi się i przecina powietrze krótkimi prostymi.

Na ekranie małego telestara dwóch mężczyzn okłada się po nagich torsach pięściami. – Teraz lewym go, lewym! – emocjonuje się Siwiuk. Za chwilę jego zapał gaśnie, bo już w pierwszej rundzie proste ciosy

Koreańczyka okazują się bardziej skuteczne. Druga runda, choć wyrównana, też na korzyść Baeka Hyun-mana. W końcu pada ostateczny cios, który Andrzejowi Gołocie rozcina lewy łuk brwiowy. Twarz młodego polskiego boksera spływa krwią, a sędzia przerywa walkę. Nokaut. Widać, że Gołota nie chce przerywać półfinału, ale – jak będą potem komentować specjaliści – sędziowie z Korei chcą mieć pewność, że wynik się nie zmieni. I że walkę wygra zawodnik z ich kraju.

– Kurwa! – syczy Siwiuk. – Ale dobrze młody daje, dobrze. Może z brązem się uda – pociesza się nieudolnie i pada na fotel. Nie wie, że poobijany blondyn z tępym wyrazem twarzy za kilka miesięcy będzie w Polsce supergwiazdą. I że jego kolegom z warszawskiej komendy znany jest od kilku tygodni.

W sierpniu Gołota chciał rozerwać się na mieście i w warszawskim klubie Park wdał się w bójkę z pięcioma ochroniarzami. Wszyscy trafili do szpitala. Gołota był krok od tego, by na olimpiadę nie pojechać. Gdyby nie wstawił się za nim Włodzimierz Szaranowicz, brązu mogłoby nie być.

Tymczasem Siwiuk chwytą notatki, które podczas walki z niewidzialnym przeciwnikiem ucierpiały bardziej niż Koreańczyk na ringu w Seulu. Na pogniecionych kartkach odczytuje to, co udało się spisać młodym funkcjonariuszom podczas ostatniej wyprawy na Fabryczny i do parków Na Zdrowiu oraz Moniuszki.

Wzrok porucznika pada na jedno kilkakrotnie powtarzające się nazwisko. Siwiuk bierze długopis i na kartce zapisuje: „Kubis”

6.

Grudzień 1988

Zmiany czuć w powietrzu. Komunistyczne władze coraz mocniej się uginają i ustalają warunki spotkania z opozycją przy Okrągłym Stole. Ale Siwiuk polityką głowy sobie nie zawraca. To, co go interesuje, leży

na biurku. W ciągu trzech miesięcy przesłuchano ponad trzydzieści osób, w tym żonę ofiary. Kobieta nie mieszka w Łodzi i ma dobre alibi. W czasie, w którym prawdopodobnie doszło do zabójstwa, była poza miastem. Potwierdza to kilka osób. Kolejny trop to Kubis, którego nazwisko pojawiała się kilkakrotnie w zeznaniach. Jeśli to on pytał w nocy o Wawrosa, może wiedzieć o nim coś więcej. Ale na razie jest nieuchwytny. Wyjechał za granicę.

Na podstawie tego, co udało się zgromadzić, Siwiuk stawia tezę, że głównym motywem zabójstwa był rabunek. A morderstwa dokonał ktoś, kto był blisko ofiary. Wiedział, że Wawros chowa pieniądze w szafie. Inne cenne przedmioty, które posiadała ofiara i które według zeznań świadków powinny być w mieszkaniu Wawrosa, także zniknęły.

Na zabójcę Siwiuk typuje już wszystkich, którzy w podobnym czasie dopuszczali się rabunków i kradzieży na terenie Łodzi. Milicja sprawdziła też jednego z osadzonych w zakładzie poprawczym w Koszalinie, którego podsunęli porucznikowi znajomi milicjanci.

– Młody, lubi kraść. I Łódź też lubi w tym celu odwiedzić – mówili mu. Od osadzonego pobrano krew, a do ekspertyzy przekazano m.in. wykładzinę z mieszkania Stefana i buty podejrzanego chłopaka. Wyniki przychodzą po kilku dniach.

To nie on.

✱

Siwiuk patrzy w okno i zaciąga się papierosem. Z zazdrością spogląda na białą, lśniącą, zaparkowaną tuż przed budynkiem komisariatu syrenę.

– Coś przegapiliśmy – mówi do siebie i jakby w odpowiedzi słyszy pukanie do drzwi.

– Pismo z Kalisza, Wydział Urzędu Spraw Wewnętrznych. – Kamil kładzie przed nim brązową kopertę.

– Z Kalisza? – dziwi się Siwiuk. Gasi papierosa, ręką odgarnia chmurę dymu i jednym ruchem otwiera kopertę.

WUSW informuje, że jeden z ich mieszkańców może pasować do profilu zabójcy Wawrosa.

– Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że coś się dzisiaj wydarzy. – Spogląda na młodego milicjanta, po czym wczytuje się w dokumenty. – Podejrzany był wielokrotnie karany za rozboje i ma kontakty ze światem przestępczym w Łodzi. We wrześniu miał tutaj zabić starszego mężczyznę – czyta Siwiuk. – W tym czasie oferował do sprzedaży złoty sygnet męski.

Porucznik rozgląda się po papierach porzucanych na biurku.

– Jest. Złoty sygnet! To o nim wspominała siostra Wawrosa. A nie mówiłem, że będzie przełom?

✱

Formalności trwają dwa tygodnie. Dopiero potem podejrzany z Kalisza przyjeżdża na przesłuchanie do Łodzi.

Milicjanci ustalają, że od 1981 mieszka w Kaliszu, a w Łodzi odwiedza rodziców.

– Tylko rodziców? Nie rozśmieszaj mnie – mówi Siwiuk, patrząc mu prosto w oczy.

– No i kolegów oczywiście – mówi pewnym siebie głosem młody mężczyzna, w ogóle nie przejmując się tym, co mają na niego w papierach milicjanci.

– Jakich kolegów? – porucznik chucha mu dymem prosto w twarz.

– No, normalnych. Kolegów.

– Kurwa! – Milicjant uderza pięścią w stół. – Mów, bo tak cię przyciśniemy, że cię rodzona matka nie pozna.

Podejrzany siedzi nieruchomo, wciąż niewzruszony groźbami. – Nie przyznaję się do niczego – mówi spokojnym głosem.

– Co to, kurwa, za koledzy? Nazwiska!

Mężczyzna spogląda na zdjęcia zrobione w mieszkaniu Wawrosa tuż po znalezieniu zwłok, które właśnie wylądowały na biurku. Zaczyna do niego dochodzić, że sprawa robi się poważna. Duka, że nigdy ofiary nie spotkał, a z kumplami poszedł tylko na piwo.

– Ale chłopców to lubisz, co?

– Co? Jakich chłopców? Pedała chcecie ze mnie zrobić?! – Przesłuchiwany mężczyzna po raz pierwszy podnosi głos. – Nie jestem ciotą i nigdy nie miałem z nimi nic wspólnego. Nie miałem też do sprzedania żadnego sygnetu. Co ja tu w ogóle, kurwa, robię?!

*

Przez kolejne dni Siwiuk przekopuje się przez stos akt dotyczących zabójstwa Wawrosa. Prosi też o pomoc znajomych milicjantów z komendy Łódź-Widzew. Dziś telefon na jego biurku dzwoni od rana.

– Co tam znowu? – mówi do słuchawki lekko znużony.

– Wyniki badań i ekspertyzy z Kalisza nic nie potwierdziły – słyszy w odpowiedzi.

Mężczyzna z kaliskiego aresztu zostaje wykluczony z grona podejrzanych.

Z prokuratury Siwiuk dowiadyuje się jednak, że zatrzymano sprawcę zabójstw dwóch homoseksualistów z Łodzi sprzed trzech lat.

Od teraz na zabójcę Wawrosa typowany jest mężczyzna posługujący się pseudonimem Żugaj.

– Może z niego coś będzie? – zastanawia się porucznik, licząc, że sprawę w końcu uda się rozwiązać.

Chwyta teczkę, którą „Żugajowi” założył naczelnik wydziału kryminalnego WUSW.

Na brązowym papierze odręczny napis „Kryptonim Janka”. Akta dotyczą dwóch zabójstw. Jest też zdjęcie i rysopis „Żugaja”.

Urodzony w 1956 roku, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, włosy czarne i faliste, budowa kulturysty, najczęściej ubrany w komplet dżinsowy lub strój sportowy.

– Tatuże w postaci kropek u nasady pięciu palców prawej ręki. Blizny na brzuchu – czyta Siwiuk, sięgając co chwilę po miętówki. Od kilku dni rzuca palenie. – Tatuże w postaci kropek – powtarza, chodząc po pokoju.

7.

Luty 1989

Budynek łódzkiego komisariatu już od wejścia prosi się o remont. Ściany wilgotne od zimna, tynk sypie się z sufitu, farba odpada płatami, a okna jak były, tak są nieszczelne. Siwiuk klnie pod nosem, dogrzewając się grzejnikiem. Jego wyraz twarzy nie pozostawia złudzeń – jest załamany. Nie ma dobrych wiadomości dla komendanta: badania krwi zarówno „Żugaja”, jak i reszty podejrzanych nic nie wykazały. Nie znaleziono też żadnych śladów, które by do nich pasowały.

I jeszcze ten Kamil. – Poruczniku – zaczyna nieśmiało. – Ale niech szef powie, z tymi klechami... to jest prawda?

W łódzkiej komendzie od rana nie mówi się o niczym innym, tylko o zabójstwie dwóch księży: proboszcza warszawskiej parafii od lat zaangażowanego w upamiętnianie ofiar sowieckiego terroru oraz kapelana „Solidarności” z Białegostoku.

– Daj mi spokój. Prawda albo gówno prawda. – Siwiuk podgłośnia radio.

Na antenie trwają rozmowy części opozycji solidarnościowej z przedstawicielami reżimu komunistycznego przy Okrągłym Stole. Gorąco jest jednak nie tylko w eterze, lecz i na ulicach. Choćby w Krakowie, gdzie doszło do ostrych starć z ZOMO, bo studenci zbyt głośno domagali się legalizacji Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

– Tyle roboty, a wszystko na marne – rzuca porucznik, ścisząc radio. – A ten Kubis wciąż w Rumunii, tak?

– Tak, ale ma wrócić pod koniec miesiąca. Mamy jeszcze tropy do tych czterech osadzonych – pociesza go Kamil, choć myślami jest gdzie indziej. Rozumie, że władza może z Kościołem walczyć. Ale żeby księży zabijać? Kamil kładzie przed Siwiukiem dokumenty założone młodym mężczyznom. To nieletni z zakładu poprawczego w Ignacewie. Podejrzani są o kradzież i dokonanie innego zabójstwa na terenie łódzkiego Widzewa.

Siwiuk bez entuzjazmu rozkazuje pobrać od nich krew.

8.

Marzec 1989

– Mamy ich! – Andrzej bez pukania wbiega do pokoju Siwiuka. – Przyznali się, sami!

– Kto? Do czego? – porucznik spogląda niepewnie na młodszego aspiranta.

– Poruczniku, melduję, że aresztowaliśmy Zagrajka i Kujawę, tych od włamań, pamięta szef? – Milicjant nie kryje zadowolenia.

– No tak... – odpowiada sucho Siwiuk. I przypomina sobie, że kilka tygodni wcześniej jego koledzy aresztowali trzech młodych mężczyzn: Władysława Zagrajka, Marka Salowskiego oraz Jarosława Kujawę, którzy zostali oskarżeni o włamania do mieszkań na terenie Łodzi.

– No i wśród nich był też Salowski.

– Ten młody, co tak mało mówił na pierwszym przesłuchaniu? – pyta Siwiuk.

Młody milicjant promienieje. – No tak. To teraz powiedział bardzo dużo.

✱

– To my zabiliśmy Stefana Wawrosa – mówi Marek Salowski, patrząc Siwiukowi prosto w oczy. Siedzą w ciemnym pomieszczeniu, oddziela ich tylko stalowe biurko, na którym stoi szklana popielniczka. – To znaczy oni zabili. Mogę papierosa?

– Przyznajesz się? – zbywa go Siwiuk.

– No, ja nie – mówi chłopak. Ma ciemne oczy, brunet. Nie widać, żeby czegokolwiek się obawiał. – To znaczy... Byliśmy tam ja, Władysław Zagrajek i Jarosław Kujawa – mówi chaotycznie Salowski. – Ale ja nie zabiłem, ale moi koledzy być może tak.

– Dobra, słuchaj. Mów po kolei, bez kombinowania. – Siwiuk wyciąga z kieszeni koszuli paczkę carmenów i podaje chłopakowi. Sam też

odruchowo sięga po papierosa, ale cofa rękę i z drugiej kieszeni wyciąga miętówki.

– No to było tak, że około trzeciej po południu albo chwilę później pojechaliśmy do mieszkania tego faceta. A wcześniej wypiliśmy dużo alkoholu u Kujawy.

– Do jakiego mieszkania? Precyzyjniej.

– No tam, gdzie Kujawa miał odebrać dług od jakiegoś frajera. On nie chciał tych pieniędzy nam oddać, więc go pobiliśmy. Zabrałem jego wideo z kasetami. I uciekłem – mówi chłopak, prosząc wzrokiem porucznika o podpalenie papierosa.

– Zabiłeś go? – Siwiuk nachyla się nad chłopakiem z podpaloną zapałką.

– Ja nie! Ja go tylko trochę potłukłem!

– To kto go zabił?

– No Zagrajek i Kujawa. Moi koledzy – odpowiada zadowolony chłopak, zaciągając się papierosem.

*

„Informacje przekazywane przez świadka nie są wytworem jego fantazji bądź zakłóceń jakichkolwiek czynności pamięciowych. W ocenie biegłego są wysoce prawdopodobne” – czyta w opinii psychologicznej Salowskiego porucznik. Dokument po kilku dniach trafił na jego biurko.

I jeszcze: „Salowskiego, oprócz dobrego poziomu rozwoju umysłowego, charakteryzuje bardzo dobra pamięć. W tym szczególnie typu fotograficznego. Z treści jego zeznań wynika, iż wiernie, już po najprawdopodobniej jednorazowej bytności przy ulicy Grabowej, zapamiętał szczegóły rozkładu mieszkania i usytuowanego weń sprzętu domowego”.

Siwiuk kilkakrotnie przesłuchuje Salowskiego. Chłopak zeznaje, że gdy we trzech zapukali do drzwi mieszkania Wawrosa, on – jako że miał kojarzyć Kujawę – otworzył mu bez żadnych podejrzeń. Po wejściu do środka pobili mężczyznę: kopali po twarzy i brzuchu. A gdy Salowski

wybiegł na zewnątrz z magnetowidem, jego koledzy zostali w mieszkaniu. On czekał na nich w bramie.

„Nieletni podaje, iż współdziałał z wymienionymi mężczyznami w pobiciu w ten sposób, że im pomagał w jego obezwładnieniu, a także kilkakrotnie uderzył go pięścią w zęby. (...) Salowski podaje, iż nie przebywał przez cały czas w mieszkaniu mężczyzny, ale że oczekiwał na kolegów przed domem z ukradzionym odtwarzaczem wideo. Nieletni podaje, iż nic nie wiedział o zabójstwie tego mężczyzny. O fakcie tym dowiedział się dopiero od funkcjonariuszy MO. Biegły przypuszcza, iż Marek Salowski w swych zeznaniach przyjął postawę obronną, polegającą na pomijaniu tych faktów, które mogą być dla niego bardziej obciążające” – zapisuje psycholog.

Żeby uwiarygodnić przebieg zdarzeń, Siwiuk organizuje eksperyment śledczy. Przygotowania trwają kilka tygodni, a w tym czasie Salowski powtarza to samo. Jest jednak pewna różnica. Podczas przesłuchań dodaje: „byłem pijany”, „dobrze nie pamiętam”, „wydaje mi się”

– Zaczyna plątać się w zeznaniach – myśli Siwiuk, przegryzając kolejną miętówkę.

*

Salowski, czekając na zorganizowanie policyjnego eksperymentu w terenie, przebywa wraz z kolegami w zakładzie karnym w Sieradzu. Tam na prośbę Siwiuka badani są wariografem.

– Czy wie pan, kto zabił Rafała z Grabowej? Czy ukrywa pan jakieś informacje związane z tym zabójstwem? Czy to pan związał Rafała? – biegły pyta podejrzanych.

Siwiuk dzwoni do Sieradza jeszcze tego samego dnia. – Szczyt napięcia wystąpił przy pytaniu dotyczącym przywalenia zwłok szafką – streszcza wyniki milicjantowi z Łodzi naczelnik zakładu. – Tyle że to nie pozwala na wydanie rozstrzygającej opinii.

– Czyli nadal nie wiadomo, czy to Salowski zabił?

– No na stówę to powiedzieć nie mogę.

– A Kujawa? – pyta milicjant.

– Wyniki niejednoznaczne – dodaje biegły. – Jest jeszcze Zagrajek, ale jego nie możemy przesłuchać. Epileptyk. Z deficytem w rozwoju intelektualnym. Od badań ostatecznie odstąpiliśmy.

Siwiuk odkłada słuchawkę. Spogląda na bladożółte połącze farby odstające od ściany w jego pokoju. Ma coraz gorsze przeczucia.

9.

Kwiecień 1989

– Będę w gazecie? – młody chłopak pyta milicjanta.

– Będziesz.

24 kwietnia o godzinie dziewiątej Marek Salowski pojawia się w komisariacie Łódź-Górna. Stamtąd, pod eskortą Siwiuka, prokuratora i kilku młodszych funkcjonariuszy, milicyjnym polonezem jadą na ulicę Praską w Łodzi. Parkują pod budynkiem numer 14.

Chłopak wskazuje palcem bramę, z której wyszedł wraz z Kujawą i Zagrajkiem we wrześniowy poniedziałek. Jeden z milicjantów robi mu zdjęcia, a Salowski uśmiecha się do obiektywu. Widać, że podoba mu się zainteresowanie jego osobą.

Chłopak coraz śmieiej prowadzi grupę funkcjonariuszy wzdłuż ulicy Praskiej, po stronie parzystych numerów. Po chwili skręca w ulicę Zakrzewską, a potem na plac Reymonta. Zatrzymuje się na wysokości domu numer 41 i wskazuje miejsce, gdzie z kumplami złapał taksówkę. W pięciu wsiadają do milicyjnego auta, które udaje dużego fiata. Jadą według wskazówek Salowskiego: przez Kilińskiego, Przybyszewskiego, Zawodową, aż do Grabowej. Zatrzymują się pod numerem 18.

– To jednak nie tu – stwierdza chłopak. Kierowca rusza dalej. Po chwili zatrzymują się przy ulicy Strzelczyka 10. Wsiadają z auta. Salowski

wchodzi do bramy, potem na klatkę schodową i na drugie piętro. Rozgląda się uważnie.

– Do którego mieszkania weszliście? – pyta go w końcu prokurator.

– Nie wiem, sam już nic nie wiem – rozgląda się dookoła. – Chyba nie umiem wskazać tych drzwi!

Mija kolejne pół godziny, Salowski na przemian płacze albo panikuje. – Nie, to nie tu! Ja już nic nie wiem. Ja nikogo nie zabiłem! Moi koledzy też nie!

– Co ty pierdolisz?! To dlaczego się przyznałeś? – krzyczy na niego Siwiuk, chwytając go za koszulkę i przyciskając do ściany.

– Nie wiem. – Młody chłopak płacze. – Myślałem, że jak ich wsypię, to wcześniej wyjdę. Ja naprawdę nikogo nie zabiłem!

Po kilku dniach dokumenty podsumowujące eksperyment trafiają na łódzki komisariat. „Eksperyment pokazuje, że Salowski nie wie, gdzie mieszkał Rafał”, stwierdzają eksperci. I stawiają pod nim pieczętę.

– To skąd znał rozkład mieszkania Wawrosa?! – dziwi się Kamil.

– Był taki sam jak rozkład mieszkania jego znajomego. Kurwa! Czyli nic nie mamy. Pierdolić tę robotę. – Siwiuk nie może uwierzyć, że pół roku pracy właśnie wsiąka jak krew w piach.

– Poruczniku, a ten Kubis?

– Przesłuchaliśmy go, Andrzej pobrał krew, jak tylko typowany przyjechał do Łodzi. Nie pasuje. Nie było go tam w dniu zabójstwa. Nic na niego nie mamy. Przyjaźnili się i tyle.

*

– Odwołał zeznania. – Siwiuk nie odrywa wzroku od dziury w ulicy, którą od dłuższej chwili obserwuje z okna komisariatu. I w którą co chwilę wpadają kierowcy. – Salowski zeznał, że nigdy nie był w mieszkaniu Wawrosa. Uważa, że wcześniejsze zeznania złożył pod wpływem wielokrotnych przesłuchań i nacisków. Nic mu nie udowodnimy.

– Przecież sam mówił, że go pobił. Pięścią...

– Sekcja tego nie potwierdza. Krew też nie pasuje – Siwiuk kieruje się w stronę drzwi, gdy nagle rozlega się dźwięk telefonu. Podchodzi do biurka i podnosi słuchawkę. Przez chwilę słucha monologu. Spogląda na Kamila, rozłącza się.

– Dzwoniła kierowniczką kadr z firmy, w której zatrudniony był Wawros. Przypomniała sobie, że w czasie pracy często wydzwaniał do niego młody mężczyzna. Podawał się za jego kuzyna Romana.

– Wawros miał kuzyna Romana? – dziwi się Kamil.

– Pierwsze słyszę. – Porucznik marszczy czoło. Nie zdaje sobie sprawy, że ruda kierowniczką z kadr mogła zbliżyć go do odszukania mordercy z pikiet. Tymczasem ten szuka już kolejnej ofiary.

Jest rok 1989. Na biurkach w urzędach w całym kraju w oczy rzuca się pierwszy numer „Gazety Wyborczej”. Z okładki spogląda wydrukowany w czerni i bieli wizerunek Lecha Wałęsy. Trudno uwierzyć, że zaledwie cztery lata wcześniej, jesienią 1985 roku, na posterunki w całym kraju przychodzi rozkaz z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Generał brygady MO, na polecenie głównodowodzącego generała Czesława Kiszczaka, zarządza akcją inwigilacyjną środowisk homoseksualnych na niespotykaną dotąd skalę. Nadaje jej nazwę „Hiacynt”.

Milicjanci – zarówno w mundurach, jak i pod przykrywką – przez kilka dni kontrolują mieszkania, meliny, knajpy, szalety miejskie oraz dworce, czyli miejsca spotkań gejów w całym kraju. Bywalcy takich miejsc, często pod przymusem, zostają zabierani do komisariatów, gdzie podpisują specjalne druki – oświadczenia, w których oficjalnie przyznają się do swojej orientacji. Są to tzw. karty homoseksualistów, często będące „wyrokiem”.

Dzięki akcji mundurowi, zastraszając zatrzymanych, w krótkim czasie pozyskują wielu tajnych współpracowników. Homoseksualiści przyciskani przez milicjantów masowo podpisują tzw. lojalki w obawie przed upublicznieniem swojej orientacji.

Jako że pierwsza akcja „Hiacynt” z 1985 roku kończy się sukcesem, milicja powtarza ją jeszcze dwukrotnie: rok i dwa lata później. Naloty, które przeprowadzają funkcjonariusze, wyglądają podobnie. Na posterunku znów pojawiają się setki nowych teczek. W środku, oprócz lojalek wobec Służb Bezpieczeństwa, znajdują się m.in. wyniki daktyloskopii, odciski palców, fotografie zatrzymanych, spis nazwisk najbliższych osób z rodziny oraz znajomych, a także obszernie zeznania. To życiorysy tysięcy mężczyzn zebrane na papierze, które przez długie lata służyły milicjantom do zastraszania przesłuchiwanym.

W trakcie kilkudniowych akcji milicjanci noszą przy sobie pałki, kajdanki i środki obezwładniające. W końcu według krajowej doktryny „gej” znaczy „niebezpieczny”.

Oficjalnym powodem, dla którego milicja decyduje się na przeprowadzenie akcji, jest „cel prewencyjny” oraz „rozpoznanie zagrożeń kryminalnych”. Innymi słowy uważają, że zwalczają przestępczość. W kolejnych latach swoje działania tłumaczą „przeciwdziałaniem narkomanii i szerzącej się pandemii AIDS”. Środowiskom homoseksualnym zarzucano także, że to w ich kręgach ukrywają się groźni przestępcy. Tak naprawdę milicja stawia sobie jednak za cel pozyskiwanie kolejnych osobowych źródeł informacji.

Choć trzecia akcja nie przynosi tak zadowalających efektów jak poprzednie, Remigiusz Ryziński w swojej książce *Hiacynt* (wyd. Czarne) przytacza zatrważające dane: w ciągu trzech dni milicjanci zatrzymują łącznie dwieście dwie osoby, fotografują ponad sześćset, a prawie pięćset aresztują na czterdzieści osiem godzin. Sprawdzano ponad sześć tysięcy mieszkań, czyli o tysiąc więcej niż rok i dwa lata wcześniej, a także trzy tysiące lokali gastronomicznych, ponad dziewięćset dworców i łaźni miejskich. „Taktyka operacji nie odbiega od podobnych działań przeprowadzonych w latach ubiegłych” – podsumowują milicjanci.

W sumie w ciągu trzech akcji „*Hiacynt*” prześwietlono łącznie około czternastu tysięcy osób – mimo że po doświadczeniach pierwszej akcji osoby homoseksualne przeniosły się do piwnic i trudniej dostępnych mieszkań.

Niemniej wszyscy zatrzymani podpisywali kartę homoseksualisty. To dzięki tym dokumentom służby mogły szantażować ich przez lata. A było czym: niechęć społeczeństwa do homośrodowiska była w Polsce powszechna. Do tego wstyd przed ujawnieniem – w rodzinie i miejscu pracy. Często także przed żoną i dziećmi, bo nierzadko mężczyźni, by nie zostać wykluczonymi, zmuszali się do heteroseksualnych związków. Do nieprzychylniej opinii o ich środowisku przyczyniła się także pandemia AIDS i panika, jaka w związku z rozwojem wirusa wybuchła w całym kraju.

ROZDZIAŁ III

Jacek Cieszowski

Miejsce: Łódź

Czas: 1989

Śledczy: Ryszard Karwowski, Komenda Rejonowa Milicji Obywatelskiej
Łódź-Polesie

1.

Piątek, 4 sierpnia 1989

Fala protestów rozlewa się po całym kraju. Interwencje ZOMO wciąż bywają brutalne, ale studenci są coraz głośniejsi. „Jaruzelski musi odejść” – krzyczą w Warszawie, Łodzi i Krakowie. I chcą więcej. „Precz z komuną” wybrzmiewa już na każdym kroku.

To, że zmiany są nieuchronne, potwierdza sam Michaił Gorbaczow, który na wydarzenia w Polsce patrzył zaskakująco spokojnie. A gdy po czerwcowych wyborach ważyły się losy prezydenta Jaruzelskiego, miał stwierdzić: „Wszelka – jakiegokolwiek natury – ingerencja w sprawy wewnętrzne państw zaprzyjaźnionych czy sojusznicznych (...) jest niedopuszczalna”, wywołując poruszenie w całym bloku wschodnim.

Ale nie wszyscy wierzą w tak szybki koniec komunizmu. Anna Kabat do „Solidarności” się zapisała, bo zapisali się wszyscy. Ale czy wpłynęło to na jej życie? Żyje tak jak do tej pory. Praca, dom, telewizja. Dziś jest piątek, za oknem słonecznie. Ma w końcu wolne. Trochę odpocznie, ugotuje obiad, potem może poprasuje, bo sporo się tego nazbierało. A do tego dziś

dzień wypłaty. To daje jej więcej radości niż demokratyczne zmiany na wschód od muru berlińskiego.

Wybija dwunasta, gdy przekręca klucz w drzwiach mieszkania. Chwyta za klamkę i upewnia się, czy aby dobrze je zamknęła. Nie spieszy się. W pomarszczonej dłoni mocno ściska reklamówkę. W środku podniszczony skórzany portfel.

Jest duszno. Na klatce schodowej roznosi się intensywny zapach. „Kapuśniak albo zasmażana” – myśli kobieta, stąpając po schodach i ocierając krople z czoła, które już po chwili pojawiły się na jej czole. Na parterze przy skrzynkach pocztowych po raz kolejny zatrzymuje wzrok na pęku srebrnych kluczy leżących na parapecie. Już w poniedziałek zwróciły jej uwagę. Z zamyślenia wyrrywają ją dwie dobrze ubrane kobiety. – Przepraszamy – mówią niepewnie, zachodząc jej drogę. – Zna może pani Jacka Cieszowskiego?

– Cieszowskiego? No znam. – Kabat przygląda im się uważnie. – Tak się składa, że to mój sąsiad, mieszkamy drzwi w drzwi. A coś się stało?

– No tak. Szukamy go...

– O, ja też go szukam – przerywa im kobieta. – Mam dla niego kwity z elektrowni. Ale nie widziałam go od kilku dni.

Kobiety wymieniają porozumiewawcze spojrzenie. – W pracy też się nie pokazuje.

*

Po wyjściu z bloku Kabat myśli tak: a co, jeśli Cieszowski zgubił klucze i nie może dostać się do mieszkania? Może pomieszkuje u rodziny i czeka na ślusarza, który pomoże mu je otworzyć? A może wyjechał i nawet nie zauważył, że nie ma przy sobie kluczy? Tylko dlaczego nie poinformował o wyjeździe nikogo w pracy? Lepiej sprawdzić, czy klucze, które leżą przy skrzynkach, pasują do drzwi jego mieszkania.

Sama przecież tego nie robi. Jeszcze ktoś posądzi ją o kradzież albo włamanie. Ludzie różne rzeczy wymyślają. A plotki są bardzo niebezpieczne, szczególnie wśród najbliższych sąsiadów. – Odbiorę

wypłatę, wróć do domu i zastanowię się, co dalej – myśli, żwawym krokiem idąc wzdłuż ulicy Thälmana, w stronę fabryki odzieżowej, w której pracuje jako sprzątaczką. Po drodze mija Wojska Polskiego, a przy niej komisariat milicji. Zatrzymuje się. Niewiele myśląc, spogląda w okna budynku, podchodzi bliżej i puka w okno dyżurki. Milicjant, który kończy drugie śniadanie, przesuwa szybę ospałym ruchem.

– Panie władzo – zagaduje go kobieta, machając mu przed oczami pękiem kluczy. – Znalazłam te klucze na klatce i chyba wiem, do kogo należą. W sensie do sąsiada, Cieszowskiego Jacka. Tyle że jak się do niego puka, to nikt nie otwiera. W pracy też go szukają, bo nie przychodzi. Ja się boję, że tam się co złego wydarzyło.

Milicjant chwilę milczy. – Dajcie te klucze i zapiszcie dokładny adres. Ktoś zaraz pojedzie. A wy wróćcie na miejsce, to pomożecie – mówi, zatrzaskując szklane okienko.

– No trudno, wypłatę odbiorę w poniedziałek – kalkuluje Anna, przyspieszając kroku. Na miejsce dociera po kwadransie. Przed klatką czteropiętrowego bloku, dookoła obrośniętego krzewami porzeczek, stoi już dwóch znudzonych milicjantów. – To na mnie panowie czekają – zwraca się do nich z zadyszką.

Po chwili we troje wchodzi na drugie piętro i zatrzymują się pod drzwiami mieszkania numer 45, po lewej od schodów. Jeden z funkcjonariuszy wkłada do zamka kolejne klucze. Pierwszy nie pasuje, drugi też nie. Dopiero przy trzecim słychać dźwięk otwieranego zamka.

– Wiedziałam, że to jego – szepcze Kabatowa. Po chwili zatyka nos rękawem, robi znak krzyża i ucieka do swojego mieszkania.

O godzinie szesnastej pod blok przy Thälmana na łódzkim Polesiu podjeżdżają milicyjne wozy i karetka pogotowia. Dwóch funkcjonariuszy znów puka do drzwi Kabatowej.

– Pójdziecie jeszcze raz z nami – mówią. – Tylko weźcie jakąś chustkę, zasłonicie nos.

Kilka minut później Anna Kabat w otoczeniu grupy przekrzykujących się sąsiadów dyktuje policjantom: – Tak, potwierdzam. Ciało, które znajduje

się wewnątrz mieszkania, to ciało Jacka Cieszowskiego, naszego sąsiada. Rozpoznałam go po łysinie.

– Wie pani, kto mógł go zabić? – pyta ją milicjant.

– Nie wiem – mówi roztrzęsiona. – Może ten kolega ze studiów?

– Kolega? Jaki kolega?

– No, w tamtym roku był tu z wizytą jego znajomy i go okradł. Wiem, że mieszka w Płocku. Sąsiad sam nam mówił, że milicjanci go złapali, miała być sprawa w sądzie. No i powtarzał, że boi się jego zemsty.

*

Gdy starszy kapral Ryszard Karwowski po raz pierwszy słyszy o zwłokach w mieszkaniu na łódzkim Polesiu, wie już, czego się spodziewać. Ma za sobą kilkanaście lat służby, połowę w wydziale kryminalnym. Wykrywalność: osiemdziesiąt procent.

Do mieszkania na drugim piętrze wchodzi pewnym krokiem. Mieszkanie nie jest duże, zwłoki mężczyzny zauważa od razu. Spuchnięte ciało ułożone jest na wznak, na podłodze, głową w kierunku drzwi balkonowych.

– Mówić, co się wydarzyło! – Karwowski przywołuje do siebie młodych milicjantów, którzy odkryli ciało. To Dariusz i Robert, młodzi sierżanci.

– Melduję, że mieszkanie było zamknięte na dwa razy. Po uchyleniu drzwi, nie wchodząc do środka, zauważyliśmy mężczyznę leżącego na plecach w samych slipach. Miał związane nogi, a w środku rozchodziła się woń rozkładającego się ciała. Po zamknięciu drzwi wraz z kluczami od mieszkania udaliśmy się do dyżurnego komisariatu – recytują na zmianę.

– Z sąsiadami rozmawialiście? Krzyki były? – pyta Karwowski.

– Jeszcze nie, towarzyszu kapralu.

– To na co, kurwa, czekacie? – Karwowski podnosi głos. Na komendzie znany jest ze swojego temperamentu.

Młodzi milicjanci zwieszają głowy i wychodzą przed budynek, gdzie kłębią się niespokojnie mieszkańcy bloku. – To normalny chłop był – rzuca z miejsca jeden z nich. – Powinniśmy się bać? – pyta starsza kobieta.

– Nie bać się, mówić prawdę – poucza ich Dariusz, poprawiając czapkę.

Sąsiedzi jak na spowiedzi mówią milicjantom wszystko, co wiedzą. Że Cieszowski pracował w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym jako przewodnik. Że żadnych burd u niego nigdy nie było. Że dobry z niego sąsiad. – Kulturalny! – krzyczą.

– A ta kradzież? – dopytują funkcjonariusze.

– Podobno zaprosił znajomego do siebie, a on go okradł. No ale żeby tak od razu zabić? – zastanawiają się, mówiąc jeden przez drugiego.

*

Dwa piętra wyżej Karwowski przechadza się spokojnym krokiem po mieszkaniu Cieszowskiego. Po lewej stronie wąskiego korytarza drzwi wejściowe do pokoju, a za nimi do kuchni. Na wprost – łazienka, po prawej mały, przytulny salon.

Karwowski analizuje każdy szczegół. Zwraca uwagę na drewnianą, jasną szafkę na buty i leżącą na niej męską torbę. „Dlaczego jest pusta w środku?” – zastanawia się. Zatrzymuje wzrok na dwóch małych grzałkach do herbaty oraz przyciemnianych okularach korekcyjnych w futerale. Za torbą, na szafce, leży szkolny, gładki, osiemdziesięciokartkowy zeszyt z zapiskami.

Milicjant bierze notes dłońią w białej gumowej rękawiczce. I chowa go do foliowej torebki. Nad szafką czarny wieszak, a na nim pomarańczowa męska kurtka. Kieszenie puste. Na wprost szafki w przedpokoju stoi drewniana szafa. W pokoju stołowym segment i półki wypełnione książkami i gazetami. Zresztą tak jak i kolejne szafki, które Karwowski otwiera wraz z milicyjnym technikiem.

W pokoju są też: magnetofon szpulowy, pudełko z odkurzaczem oraz stara drewniana walizka wypełniona kawałkami sznurków. Na krześle futerał z maszyną do pisania marki Konsul, a pod krzesłem złamane okulary.

– Czyli się przepychali – mówi do siebie. – Zabezpieczyć.

Na parapecie trzy doniczki z kwiatami, spinacze do bielizny i paczka klubowych. Zabezpieczone. Okna zasłonięte zieloną kotarą oraz białymi firankami.

„Kto mieszka naprzeciwko? Czy coś widział?” – notuje.

W mieszkaniu znajduje się też szafka z płytami oraz gramofon. W kącie między oknem a segmentem stoi pudło, a na nim nocna lampka bez klosza. Obok pudła, na podłodze, stary telewizor marki Tesla. Na telewizorze szklanka z łyżeczką, wewnątrz szklanki fusy po herbacie, które pokrywa warstwa pleśni. Przy ścianie jednoosobowy tapczan przykryty zielonym nakryciem, a na tapczanie kasetka. Na środku pokoju prostokątny stół i pięć krzeseł. Na nim jasny obrus, zeszyt w kratkę, notatnik w linie z zapisem wyników karcianej gry oraz zaproszenie na ślub w białej kopercie.

Technicy zabezpieczają ślady na szklankach po herbacie, butelce po winie Kessler i niedopałkach papierosów zostawionych w porcelanowej popielniczce w kształcie kropli. A także ślady z noża do papieru i kart do gry. Karwowski jest zadowolony. Śladów jest dużo, ustalenie zabójcy nie powinno być trudne.

*

Aurelia Garbowska w chirurgicznej maseczce nachyla się nad spuchniętymi zwłokami. Razem z młodym pomocnikiem przyjechali na Thälmana kwadrans po Karwowskim. Lekarka spogląda na ofiarę, po czym rozgląda się dookoła. Coś sobie przypomina. Jakby gdzieś już to widziała.

– Michaś, nie przypomina ci to czegoś? Tylko jak on się nazywał? – zastanawia się głośno.

Młody pomocnik, który chodzi za nią krok w krok, wzdyga się na swoje imię.

– Nie bój się mnie, nie jestem taka straszna – mówi trochę zalotnie.

– Może ta ofiara z Grabowej? – podpowiada pomocnik, który nerwowo poprawia okulary.

– Tak! Wawros. Brawo!

– O czym mówicie? – pyta nerwowo Karwowski, który z przedpokoju przysłuchuje się rozmowie.

– Zaraz ci wszystko opowiem. – Aurelia znów pochyła się ze skupieniem nad ciałem ofiary. Dyktuje stażycie opis stanu, w jakim znaleziono denata. Stażysta z trudem nadąza, ale jego notatki są bardzo szczegółowe. „Zwłoki mężczyzny na wznak dolnymi częściami kończyn dolnych w otworze drzwiowym prowadzącym do przedpokoju. Obok zwinięty koc brązowy. Związany sznurkiem z białego sztucznego tworzywa na poziomie nadgarstków, podwójny węzeł między przednią powierzchnią kończyny prawej i grzbietową powierzchnią kończyny lewej”

– Pojedynczy węzeł ręcznika znajduje się w bocznej powierzchni okolicy szyjnej – dodaje kobieta.

– Poproszę... – duka pomocnik.

– ...wolniej? – Aurelia bierze głęboki wdech. I kontynuuje, umyślnie cedząc przez zęby każde słowo. – Ręcznik ściśle przylega do powierzchni przedniej ciała i obejmuje wargę dolną, brodę i szyję na wysokości dziesięciu centymetrów. Ręcznik miejscami nasiąknięty czerwono-brunatnymi plamami – Starsza kobieta unosi się, by zaczerpnąć powietrza, po czym znów pochyła się nad ciałem Cieszowskiego. – Śmierć gwałtowna na skutek uduszenia przez kneblowanie i zaciśnięcie pętli.

– Kiedy? – pyta ją Karwowski.

– Przypuszczam, że trzy lub cztery dni temu...

– A ten... Waszczyk?

– Wawros. Już ci, kochanieńki, wszystko opowiadam.

2.

Sobota, 5 sierpnia 1989

– Dawać pierwszego! – zza zamkniętych drzwi słychać przytłumiony niski głos. – I niech przestaną się tak wydzierać!

W wąskim przejściu poleskiego komisariatu tłoczy się kilkanaście osób. Jest upał, śmierdzi potem. Ludzie przeciskają się między sobą i żywo dyskutują. Kłóćą się, kto był pierwszy, a kto komu przytrzymał kolejkę, bo każdy chce szybko wrócić do domu. W końcu drzwi do pokoju przesłuchań, w którym czeka Karwowski, otwiera Dariusz. Ruchem ręki wzywa do siebie mężczyznę w średnim wieku, który wyklóca się najgłośniej.

Świadek siada na odrapanym krześle, twarzą w twarz z kapralem.

– No, ja to wiem tylko tyle, że do Cieszowskiego to przychodzili grać w karty. I nic więcej nie wiem – wypala bez pytania. Ubrany w koszulę w kratę, z kieszonką na piersi, z której wystaje portfel i zapalniczka.

– A kim pan jest dla ofiary? – pyta go Karwowski.

– A nikim. Sąsiadem tylko.

– To co się pan tak wydzierał na korytarzu! – Dariuszowi też puszczają nerwy. Karwowski daje znać sierżantowi, że to on będzie zadawał pytania.

– A może widział pan ostatnio coś podejrzanego? Ktoś sąsiada odwiedzał?

– Ja? Ja nic nie widziałem. A co miałem widzieć?

– A w te karty to z kim sąsiad grał?

– No z kolegami.

– Panie! No wiadomo, że nie sam ze sobą. Ale kim byli ci koledzy? – Karwowski podnosi głos.

W ciasnym pokoju, mimo że okno otwarte jest na oścież, panuje piekielny upał. Plastikowy mały wiatraczek niewiele pomaga. Na zewnątrz, tuż przy oknie, czerwony słupek rtęci na plastikowym termometrze sięga trzydziestej czwartej kreski.

– A bo ja wiem? – Sąsiad ofiary tępo patrzy przed siebie.

Kapral ruchem głowy daje znać Darkowi, by wyprowadził mężczyznę.

– I może przyprowadzicie mi kogoś, kto coś w tej sprawie wie?! – krzyczy za nim.

Stanisław, sąsiad Cieszowskiego, od pięciu lat na emeryturze, to już dziesiąty z rzędu przesłuchiwany.

– W miejscu zameldowania mieszkam od 1974 roku, ale lokatorów naszej posesji znam bardzo słabo. Lepiej znany jest mi tylko sąsiad z mieszkania numer 42. Cieszowskiego mijałem tylko na klatce i na ulicy. Wiem natomiast, że w tym roku leżał w szpitalu i wówczas w jego mieszkaniu była awaria. Pół mieszkania mi zalało. Sąsiadka dzwoniła do szpitala, żeby załatwić tę sprawę – opowiada.

Karwowski nie kryje znużenia. Ale mężczyzna po chwili dodaje ściszym głosem: – Wiadomo mi też, że był w jego mieszkaniu kolega i tam pomieszkiwał, ale ja go nie widziałem. A nawet jeśli widziałem, to przypadkiem i nie pamiętam, jak wyglądał. Ja to w ogóle mam bardzo słabą pamięć, panie władzo.

– A dlaczego pan tak ścisza głos? – Milicjant odrywa w końcu wzrok od notatek.

– No wie pan. Dwóch mężczyzn pod jednym dachem? Trochę dziwne, prawda?

Karwowski wstaje od biurka i wachluje się aktami, by w małym pokoiku wzbudzić choć odrobinę ruchu powietrza.

– Młody – Karwowski zwraca się do Darka, pokazując sąsiadowi ofiary, że może już wyjść – przesłuchasz następnych. Rodzinę zostaw na koniec i trzymaj, aż wrócę.

*

Kapral staje przed metalowymi drzwiami i zaciąga się powietrzem. Czuje kurz i wilgoć. I choć nie pachnie tu fiołkami, powietrze w piwnicy komisariatu przynosi ulgę. W ciemnym pomieszczeniu, tuż przy oknie, krząta się starsza kobieta. To doświadczona milicjantka, która w łódzkim archiwum dorabia do emerytury. – Kochana, na chwilę tam zajrzę, co? Ale nie wpisuj mnie. – Kapral puszcza do niej oko.

Archiwistka odwzajemnia uśmiech, po czym znów zatapia wzrok w dokumentach, co chwilę sięgając po kostkę wyrobu czekoladopodobnego.

Karwowski zaczyna łączyć fakty. Cieszowskiego odwiedzają mężczyźni, jeden nawet u niego pomieszkiwał. Został zamordowany, a rzeczy z jego mieszkania zostały skradzione. Aurelia opowiedziała mu o podobnym zabójstwie, niejakim Wawrosie. Doszło do niego rok wcześniej na łódzkim Górniaku. I że mężczyzna, który tam zginął, był homoseksualistą.

Na uginających się od ciężaru półkach leżą tony zakurzonych teczek. Kapral łatwo odnajduje te z 1985 roku. Są na nich kolejne nazwiska, notatki z przesłuchań, a tam wyodrębnione, odręcznie dopisane słowa: „ciota”, „żul”, „pedał”. Do większości dołączone są też zgody na podjęcie współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa.

To, na co spogląda Karwowski, to efekt trzech milicyjnych akcji pod kryptonimem „Hiacynt”.

Kiedy Karwowski znów staje w drzwiach swojego pokoju, Robert przesłuchuje ostatnią sąsiadkę Cieszowskiego, właścicielkę zakładu krawieckiego.

– Mieszkam na ostatnim piętrze, w tej samej klatce, co Cieszowski. Nie widziałam sąsiada przez dwa miesiące. Ostatni raz w maju tego roku, ale dokładnej daty nie potrafię powiedzieć. Kto go zabił, nie wiem. Odgłosów awantur nie słyszałam. 1 sierpnia zauważyłam tylko na parapecie, przy skrzynkach na listy, cztery klucze z breloczkiem. Ale nie skojarzyłam, że mogą być jego – mówi.

Karwowski uprzejmie jej dziękuje i wyprasza z pokoju.

– Ktoś z rodziny jest? – pyta Roberta.

– Za chwilę ma przyjść...

Rozmowę przerywa pukanie. Drzwi otwiera niska kobieta. Ubrana jest w czarny habit.

– Anna Cieszowska. Jestem siostrą Jacka.

Na zaproszenie Karwowskiego zakonnica siada na krześle i delikatnie poprawia kosmyk włosów, który wysunął się spod kornetu.

– Proszę mówić – spogląda na nią z zaciekawieniem. – Była pani blisko z bratem?

– Nie widywałam się z nim zbyt często. Ostatni raz 30 lipca, byliśmy u rodziców. O jego śmierci dowiedziałam się od drugiego brata. I jak tylko mi o tym powiedział, zaraz przyjechałam do Łodzi. Choć nie byliśmy bardzo blisko, serce mi pękło na pół, panie milicjancie. Ja na co dzień przebywam w zakonie urszulanek... – Kobieta zwiesza głowę.

– A to ostatnie spotkanie? Brat mówił coś, co zwróciło pani uwagę? – pyta Karwowski i zastanawia się niemo, jak można wytrzymać tę temperaturę w takim stroju.

– Między Bogiem a prawdą to w trakcie pobytu u rodziców nie rozmawiałam z nim na poważniejsze tematy. To były najczęściej luźne rozmowy. Ostatnio prosiłam, by przywiózł mi książkę *Dzieci Arbatu*. Bardzo chciałam ją przeczytać. Jacek zanotował to na karteczce i włożył ją pod pasek od zegarka. Często tak robił.

– A może w innych okolicznościach coś mówił? Że się kogoś boi?

– Nie wiem, nie przypominam sobie... Proszę mi powiedzieć, kto mógł dokonać takiej zbrodni? To był dobry człowiek!

*

Młody, barczysty mężczyzna, który opiera się o ścianę, stoi na milicyjnym korytarzu sam. Po tłumie, który nad ranem wprowadził niezły harmider, nie ma już śladu. Mężczyzna bierze głęboki wdech i wchodzi do pokoju Karwowskiego.

– Ochłonał pan trochę? – pyta go kapral.

– Tak, już dobrze. Musiałem się przewietrzyć – odpowiada atleta.

– No to zaczynamy jeszcze raz.

– Jestem bratem Jacka. Mój brat przy ulicy Thälmana mieszkał od 1984 roku, a wcześniej w Brzezinach z matką. Studiował w Łodzi na filologii polskiej. Żonaty nie był, mieszkał sam.

– Z nikim się nie spotykał? – dopytuje go Karwowski.

– No... Z kobietami nie.

– To znaczy? – Po twarzy Karwowskiego nie widać śladu zaskoczenia.

– No, z kobietami nie, ale z mężczyznami tak. Najczęściej z młodszymi.

- Czyli był homoseksualny? – Karwowski jakby sam sobie przytakuje.
- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale wydaje mi się, że tak. Ja się swoimi uwagami na ten temat podzieliłem tylko z siostrą. Z nim o tym nie rozmawiałem. Nie byliśmy blisko. W ogóle brat w kręgu rodzinnym był bardzo skryty, rzadko o sobie mówił. – Mężczyzna próbuje wytrzymać wzrok Karwowskiego, ale poddaje się i znów jest na granicy paniki.
- Czy pana brat się kogoś bał? – Kaprał, już poirytowany zachowaniem potężnego faceta, zaczyna rytmicznie uderzać długopisem o blat biurka.
- Z tego, co wiem, chciał zmienić pracę, bo miał tam problemy.
- A to ciekawe. A jakiego rodzaju problemy?
- Nie wiem, chyba się nie dogadywał z szefem.
- Czy brat trzymał w mieszkaniu gotówkę? – Karwowski patrzy świadkowi prosto w oczy.
- Nie wydaje mi się. Mógł mieć jedną lub dwie złote monety. Miał też komplet sześciu łyżeczek do herbaty, takich srebrnych, przedwojennych. Do tego ordery i odznaczenia należące do dziadka. Rzeczy tych na pewno nie sprzedał, bo kto jak kto, ale Jacek przykładął dużą wagę do staroci.
- Coś jeszcze? – Karwowski skrupulatnie notuje każde słowo, tworząc listę wartościowych przedmiotów.
- Miał radio Jowita, gramofon, dwa telewizory. Jeden stary, a drugi nowy, w plastikowej obudowie. Ale ja ostatni raz byłem w jego mieszkaniu... – tu mężczyzna zwiesza głos. – Jakoś w maju lub czerwcu, gdy wrócił ze szpitala. Miał wtedy operację, usuwali mu woreczek żółciowy.
- A ci mężczyźni? Kto odwiedzał go w mieszkaniu? Znał pan jego partnerów? – Milicjant próbuje być uprzejmy, ale drażni go, że o wszystko musi mężczyznę wypytywać. I że taki potężny, dobrze zbudowany chłop, a rozkleja się jak baba.
- Mężczyzna chowa twarz w dłonie. – Taki wstyd! – wypala w końcu. – Brat zapraszał nas na imieniny, ale nigdy nie było tam nikogo spoza rodziny. Dla kolegów urządzał osobne przyjęcia. Widziałem kiedyś u niego dwóch młodych mężczyzn. Ich wyglądu nie zapamiętałem, bo byłem

wtedy krótko. Ale panie milicjancie, ja nigdy nie mogłem się pogodzić, że mój brat... No wie pan...

– A ci znajomi? Na pewno nikogo nie znałeś?

– No, może kilku z okresu studiów: Jerzy, Rafał... Ale nazwisk nie pamiętam. Z kolegów z pracy brat utrzymywał kontakt z mężczyzną o imieniu Przemek, ale nie były to raczej kontakty homoseksualne. O innych nie wspominał. To znaczy wiem, że ostatnio był ze znajomym na obozie archeologicznym organizowanym przez PTTK Toruń. I że byli ze sobą dość blisko. Przynajmniej Jacek wypowiadał się o nim bardzo ciepło na obiedzie u matki. No i tyle.

– Pamięta pan nazwisko tego znajomego?

– Saganowski bodajże.

Maciej milknie.

– Coś jeszcze?

– Tyle o nim wiem. Tyle wiem o moim bracie.

3.

Czwartek, 10 sierpnia 1989

– Szefie! A słyszał szef, o ile poszedł dolar? – Dariusz dosiada się bez pytania do Karwowskiego w milicyjnej kantynie. Na plastikowej tacy biały, głęboki talerz wypełniony barszczem czerwonym, obok dwie kromki chleba. – O ponad osiem tysięcy złotych – mówi młody milicjant z przejęciem, soląc zupę. Po chwili rozgląda się czujnie dookoła, nachyla się i szepcze do Karwowskiego: – U mnie w kamienicy to czuć, że ludzie niezadowoleni. Dolar jak dolar, ale ile podrożało w sklepie to nie do wiary!

Karwowski tylko słucha. A Dariusz dalej. O chaosie rynkowym, kolejnych strajkach i że żona nieszczęśliwa, bo mięso znowu trudno dostać.

Dobrze, że rodzinę mają na wsi, świniaka można zabić. I bimbru pod dostatkiem.

– Młody, nie politykuj mi tu, bo zaraz z tego problemy będą – przerywa mu w końcu kapral.

– Po prostu, wie szef, donieść chciałem, jakie nastroje panują w społeczeństwie. Zawsze lepiej wiedzieć, niż nie wiedzieć, prawda?

– Co z tym Saganowskim? Znaleźliście go?

Saganowski mieszka w Wieluniu, pracuje w schronisku dla nieletnich. Aktualnie na urlopie, więc wezwanie wciąż niedostarczone.

– Kurwa! – Karwowski chwilę się zastanawia. – A ten, co kiedyś mieszkał z ofiarą i okradł Cieszowskiego?

– A, tak, tego to mamy. Ale on od paru tygodni siedzi w areszcie.

Karwowski kiwa głową z rezygnacją.

*

Karwowski zdejmuje milicyjną czapkę i wchodzi do mieszkania Cieszowskiego. Tuż za nim snuje się Maciej, brat ofiary. Niepewnie rozgląda się dookoła. Przymyka oczy na widok brunatnych plam na podłodze, których nikt jeszcze nie umył.

– To tu go znaleźliście, tak? – pyta poruszony.

Milicjant przytakuje.

– Niech się pan rozejrzy i powie, co dokładnie zginęło.

Maciej wchodzi do małego pokoju. Drzwi są otwarte, a na nich zawieszony żółty szlafrok frotté. Na szafce poukładane gazety i czasopisma, obok bielizna, pościel, ręczniki. Odzież w nieładzie. Na tapczanie czarne spodnie z odwróconą lewą kieszenią. Od razu widać, że ktoś przeglądał rzeczy ofiary.

Okno zamknięte, zasłonięta firanka. Na parapecie doniczki z uschniętymi kwiatami, obok duże drewniane biurko z otwartą szufladą – w środku papeteria i koperty, na blacie radio i lampa. Budzik wskazuje godzinę szóstą osiem. Na podłodze porzucane gazety, książki oraz metalowa

kasetka ze znaczkami, koperty i drobne monety. Są też klasery i pusta butelka po kremie cytrynowym.

Maciej cofa się do przedpokoju. Spogląda na szare męskie buty.

– Tych nie rozpoznaję – mówi do Karwowskiego. – Mój brat takich nie miał.

– Jest pan pewien?

– Tak. To znaczy nie wiem. Ale nigdy ich u niego nie widziałem. No i spodnie, te na tapczanie, on zawsze w kieszeniach nosił portfel, klucze i scyzoryk. A kieszeń jest pusta. W szafce nie widziałem też złotych rosyjskich kopiejek.

Maciej wchodzi do salonu, siada na krześle, rozgląda się.

– Nie ma też telewizora, tego nowego – mówi smutno. Jego wzrok ląduje na szklance i fusach porośniętych białym puchem pleśni. – I wie pan, mój brat zawsze herbatę pił w kubku, a nie w szklance. I to taką bez fusów.

4.

Czwartek, 24 sierpnia 1989

Za oknem ciemno. Dochodzi dwudziesta druga, gdy Karwowski przycisza radio, w którym szumią polityczne komentarze. Sejm właśnie powierzył misję sformowania rządu Tadeuszowi Mazowieckiemu. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych trwa stopniowe zwijanie Służby Bezpieczeństwa. Redukuje się jednostki organizacyjne i przesuwają agentów do administracji rządowej. Największym problemem będzie jednak niespotykana dotąd fala odejść, która za chwilę sparaliżuje większość jednostek MO w całym kraju.

Karwowski dogasza papierosa, bierze stojącą na blacie butelkę ciepłej wódki i polewa do dwóch szklanek. Rozkłada się na kanapie, a nogi zarzuca na podglówek. Obok siedzi Robert, który z przejęciem wertuje dokumenty.

– Kapralu, co teraz z nami będzie? – pyta sierżant.

Milicjant bierze szklankę, stuka nią w szkło młodszego kolegi i opróżnia zawartość.

– Ta sama bieda, co wcześniej – mówi, wydechając palące powietrze. – Dobra. Dawaj te teczki z „Hiacynta”. Trzeba szybko je przejrzeć, bo jutro mogą iść do pieca.

– Czyli przyjmujemy wersję...

– ...że Cieszowski został pozbawiony życia na tle seksualnym i rabunkowym. Tak to brzmi oficjalnie. No, kogo tam masz?

– No jak tak przejrziałem, to wciąż jest kilku czynnych: Waldemar, Lesław, Andrzej, „Hiena”. I niejaki Kubis.

– No i jest jeszcze jeden do sprawdzenia. Nazywa się Adamiak. Siedzi w areszcie po zabójstwie jakiegoś dziadka z Widzewa. Chłopaki mi donieśli, że to może pasować do naszej sprawy. To znaczy, wie szef, Adamiak mówi, że niby na tym Widzewie to tylko wynosił rzeczy z mieszkania, a zabijał jego znajomy. Ale kto wie, jak było. Może warto sprawdzić?

– No, młody. Może coś z tego będzie. A co z tym znajomym? Przyznał się?

– Nie zatrzymaliśmy jeszcze.

– A coś jeszcze na nich mamy?

Robert bierze poszarzałą kartkę.

– Chłopaki tu napisali, że podobna metoda. Zakneblowany, ręce i nogi związane.

Karwowski znów napełnia szklanki.

– Lepiej, kurwa, żeby się udało...

5.

Wrzesień 1989

W ciągu tygodnia pogoda zmieniła się nie do poznania. Nikt nie ma już wątpliwości, że na letnie upały przyjdzie poczekać kolejny rok. Za oknem jest szaro i deszczowo.

Przygnębiony Karwowski patrzy na kanapkę, którą młody kapral właśnie położył na jego biurku. Papier, w który jest zawinięta, jest kompletnie przemoczony. Tak jak i Dariusz. – Mów, co z tym Adamiakiem. – Patrzy z pobłażaniem na milicjanta.

– Bez zmian. Zeznał, że nie ma nic wspólnego ze sprawą śmierci Cieszowskiego. Ale wiemy, że od 30 lipca do 4 sierpnia przebywał w Łodzi.

– A ten jego kolega? – Karwowski chwyta za pszenną bułkę.

– Adamiak zapiera się, że nie wie, gdzie jest. Chłopaki obiecali, że go przycisną. Mówi też, że nigdy nie mieli kontaktu z homoseksualistami.

– Wszyscy tak mówią, a potem płaczą, że żona w domu czeka.

Karwowski jest wkurzony. Tym bardziej że buty, te z domu Cieszowskiego, których nie rozpoznał jego brat, pokazano matce Adamiaka. Kobieta zarzeka się, że na pewno nie należą do jej syna.

*

– Kawy? – czterdziestoletni mężczyzna chwyta za pudełko i łyżeczką odmierza brązowe granulki. Zalewa je gorącą wodą i dyskretnie zerka na Karwowskiego.

Do pokoju nie docieraienne światło. Okna zastawione są książkami i czasopismami, niektóre są tak zakurzone, że Karwowski bierze je w dłoń z grymasem na twarzy.

– Wszyscy mówią, żebym posprzątał, ale nigdy nie ma czasu. Roboty u nas coraz więcej – usprawiedliwia się kolega Cieszowskiego, od dwudziestu lat przewodnik w PTTK.

– Ja porządku sprawdzać nie przyszedłem – odpowiada mu oschle Karwowski.

– Tak, tak. Ja wiem, po co pan... – mężczyzna siada na krześle tuż obok milicjanta. – Z Cieszowskim znaliśmy się dziesięć lat, od kiedy zaczął

działać w Towarzystwie. A poza pracą jeździliśmy na wycieczki i rajdy.

– Pozwoli pan, że zapytam wprost. Byliście parą?

– Parą? No co pan – rzuca mężczyzna, a milicjant ocenia, że nie udaje oburzenia.

– Mówcie prawdę. I tak się dowiem.

– Ja żonę mam! My nie byliśmy tak blisko siebie, nawet na brydża do niego nie chodziłem. Czasami go odwiedzałem, ale na rozmowy czysto służbowe. Omawialiśmy plany wycieczek.

– A kto tam do niego chodził na tego brydża? – zaczepia go Karwowski.

– A ja wiem? – zastanawia się głośno. Próbuje utrzymać fason, ale widać, że pytanie Karwowskiego wybiło go z rytmu. – Widziałem tam kiedyś dwóch młodych mężczyzn, ale nazwisk nie znam. Za to jak byłem z Cieszowskim na wycieczce szkoleniowej na Pomorzu, to skarżył się, że nachodzą go dwaj faceci z Kalisza. Mówił, że przyjeżdżają niespodziewanie i chcą, by ich nocował.

– Z Kalisza? – Karwowski wyciąga z kieszeni notes i wertuje kartki. – A kiedy widzieliście się z Cieszowskim po raz ostatni?

– No, jakoś na początku sierpnia, na Piotrkowskiej. Spotkaliśmy się przypadkowo. I powiem panu w tajemnicy, że był zdenerwowany, bo pokłócił się z naszym szefem – mężczyzna nie ukrywa satysfakcji. – Twierdził, że wykrył niedociągnięcia i nadużycia w pracy i że przez to stał się dla szefa niewygodny.

✱

Na biurku Karwowskiego lądują dokumenty z Warszawy. Znajomy milicjant przysłał mu kopię raportów dotyczących akcji, które prowadzili wobec stołecznych homoseksualistów. Kiedy wertował akta, pojawiła się przed jego oczami scena sprzed dwóch lat: około trzydziestu drżących ze strachu mężczyzn czeka na korytarzu na przesłuchanie. Oczy wbite w podłogę, cisza jak makiem zasiał. Gdy jeden wychodzi z przesłuchania, kolejni pochylają głowy. Wiedzą, że milicjanci mogą złamać każdego.

Stoją potulnie i czekają na swoją kolej, modląc się w duchu, aby nikt z rodziny i pracy nie dowiedział się, dlaczego przywieźli ich do komendy.

Wszyscy byli przesłuchiwanii w związku z zabójstwem historyka i kierownika domu kultury z Warszawy. To jego akta jako pierwsze przegląda Karwowski. W tej sprawie trop prowadził do dwóch młodych mężczyzn. Ładni chłopcy, bez wykształcenia, razem uwodzą starszego mężczyznę, który zaprasza ich do mieszkania. Picie, zabawa, tańce i pieszczoty. A potem wchodzi koledzy, zabierają wszystko, co można sprzedać, i znikają. Historyk musiał stawiać opór, ale nie miał szans. Następnego dnia znaleziono jego ciało w salonie.

– Czy tak samo było z Cieszowskim? – zastanawia się kapral z łódzkiej komendy.

– Panie kapralu, wracamy z Wielunia. Znaleźliśmy go. – Dwóch milicjantów wchodzi do jego pokoju. Nie kryją zadowolenia.

Milicjanci przesłuchali Saganowskiego, kolegę ofiary z obozu archeologicznego. Saganowski poznał Jacka Cieszowskiego w Krakowie, w siedzibie PTTK. Po mniej więcej trzech miesiącach trafili na siebie na dworcu Łódź Fabryczna. Zamienili kilka słów. A potem znowu, jak uważa Saganowski, przypadkowo widzieli się w Teatrze Wielkim na balecie.

– No, no. Kulturalnie – ironizuje Karwowski.

– No tak. I po tym spotkaniu w teatrze Cieszowski zadzwonił do niego i umówili się na kolejne wspólne wyjście. Tak się zaczęła ich... bliższa znajomość. Cieszowski zaprosił go na imieniny, do mieszkania. To było pod koniec ubiegłego roku.

– A nazwiska macie?

– Imiona. Jerzy i Krzysztof, doktor chemii i student medycyny, oraz niejaki Kuba z Bełchatowa z Wojtkiem. Gdy ci ostatni przybyli, pozostali goście nie byli zbyt zadowoleni. Nie lubili ich, ale Saganowski nie wie dlaczego.

Karwowski słucha z zaciekawieniem. Lekarze, doktorzy, naukowcy. – Ciekawe towarzystwo się nam robi.

– Tyle że to raczej nie oni zaciukali Cieszowskiego, szefie. Ja potem przeszedłem się na Fabryczną. I jeszcze raz zahaczyłem o plac przed Teatrem Wielkim. Tam oni też, no wie kapral... spotykają się w ukryciu.

– No i co? Mów! – Karwowski jak zwykle szybko traci cierpliwość.

– No i kilku homo mi powiedziało, że jest takich dwóch, co lubią popić, zakręcić się wokół środowiska, a potem pedałów okraść.

– Wiadomo, kim są?

– Choć to nie było proste, mam ich nazwiska. Przeszukać?

6.

Czwartek, 7 września 1989

W ciągu najbliższych miesięcy legitymacje i broń odda blisko trzy tysiące osób. Większość ze strachu przed utratą przywilejów, którymi raczyła ich Polska Ludowa. Poza prawem do emerytury po piętnastu latach służby były to m.in. przydziałowe mieszkania, ulga na przejazdy kolejowe i autobusami PKS, bezpłatne świadczenia resortowej służby zdrowia, zwrot kosztów przejazdu do pracy. Dużo do stracenia.

Po korytarzach komend w całej Polsce krążą kolejne plotki. W poniedziałek mówili, że w MSW zapadła decyzja o „oczyszczeniu służb z elementu zdemoralizowanego”. Co to znaczy? Tego już nie wyjaśnili. Jedni mówią o paleniu teczek, inni o „pełnej transparentności”.

Kiedy Robert składa Karwowskiemu najświeższy meldunek, w komendzie wojewódzkiej robotnicy zmieniają godło na orła w koronie. Do policyjnych szwalni trafiają projekty nowych mundurów. Chaos nie pozwala jednak na sprawne wykonywanie obowiązków. A tego Karwowski nie lubi najbardziej. Do tego w domach podejrzanych z Fabrycznego nic nie znaleziono. A mężczyzna, który kiedyś u Cieszowskiego mieszkał i go okradł, przebywał w dniu jego śmierci w areszcie.

Szansa była jeszcze w śladach linii papilarnych. Sprawdzono wszystkich, na których padł choćby cień podejrzenia podczas śledztwa. Bez sukcesu. Adamiaka, oskarżonego o kradzież i zabójstwo mężczyzny z Widzewa, nie przesłuchano. Za każdym razem symulował chorobę psychiczną i nie reagował na zadawane pytania. Odpowiadał bezsensownie. Jedyne sukcesy to aresztowanie Idzika, jego współnika. Siedzi nie tylko za zabójstwo mieszkańca Łodzi, ale i kolejnej ofiary: kobiety, swojej sąsiadki. – Nie dokonałem zabójstwa Jacka Cieszowskiego! Nie wiem, kto tego czynu dokonał, i nikogo nie podejrzewam – krzyczał podczas zeznań.

7.

Listopad 1989

– Darek, przynieś mi tę sprawę z poprzedniego roku. – Karwowski spogląda na młodego milicjanta spod oka. Darek szybkim ruchem kładzie na biurku teczkę z odręcznym napisem „Stefan Wawros”

– My tu czegoś nie widzimy. – Karwowski zapala papierosa. Jeszcze rok temu nie palił. Ale zmiany, które zaszły na komendzie, doprowadziły go do głębokiej nerwicy. Za dwa lata będzie musiał zrezygnować ze służby.

Drżącą dłońią wertuje dokumenty. Nagle jego wzrok pada na jedno z zeznań. Zakłada kurtkę, przypalając sobie niechcący rękaw. Gasi papierosa w połowie i wychodzi z pokoju. Zaskoczony Darek podąża za nim tylko wzrokiem.

*

– Nie macie do nas szczęścia, co? – Karwowski uśmiecha się z przekąsem, kiedy drzwi otwiera mu Mirosław Kubis. To jego nazwisko pojawiło się w obydwu śledztwach.

Kubis wzrusza ramionami.

– Przyzwyczyłem się już do waszych odwiedzin.

Po pokoju kręcą się jego matka i siostra. Kobiety nie kryją zdenerwowania.

– Udzielam się w środowisku, ale zadaję się tylko z osobami spokojnymi i inteligentnymi. Czasami bywam w Kawiarni Teatralnej lub Orfeuszu, ale nie znam żadnego Cieszowskiego. Na zdjęciu go nie rozpoznaję i nic mi nie wiadomo o jego zabójstwie. Panie władzo, ja 1 sierpnia wyjechałem do Kołobrzegu – tłumaczy spokojnie mężczyzna.

– Mireczku, tylko się nie denerwuj. – Do mężczyzny podchodzi matka. Ze złością spogląda na Karwowskiego. – Panie władzo, mój syn jest chory. Nie pracuje, jest na rencie, ma żółtaczkę. A to, że spotyka się, no... z mężczyznami, to inna sprawa. Ale on nikogo by nie skrzywdził. Co wy znowu od niego chcecie?!

*

Choć zegar wskazuje szesnastą, za oknem już szarzeje. Ludzie ubrani w ciężkie, ciepłe kurtki, biegną do brudnego autobusu, który odjeżdża z przystanku. Nie zdążą go zatrzymać i przeklinają pod nosem. Tylko od dobrej woli kierowcy zależało, czy wrócą wcześniej do domów.

Karwowski widzi to przez okno. Po chwili jego myśli są gdzie indziej. Zastanawia się, ilu mieszkańców Łodzi dziś wieczorem będzie świętować imieniny Andrzeja. On też ma zaproszenie do kolegi z piętra wyżej, z dochodzeniówki, ale raczej zostanie w domu. Sprawa zabójstwa Jacka Cieszowskiego została zamknięta. Sprawca niewykryty.

Milicjant zapisuje w jednej z notatek: „Po zapoznaniu się z dostępnymi dokumentami stwierdzam, że pomiędzy zabójstwem Stefana Wawrosa i Jacka Cieszowskiego jest kilka podobieństw. Obaj zamordowani mężczyźni byli czynnymi homoseksualistami, zwłoki ofiar zostały odnalezione w mieszkaniach, były rozebrane do bielizny, a mieszkania zostały przeszukane i ograbione. Poczynione ustalenia mogą prowadzić do stwierdzenia, że obydwu zabójstw dokonał jeden sprawca”.

Ale na razie nikt nie bierze tego pod uwagę, choć w tym samym czasie, gdy Karwowski wyklucza Kubisa z grona podejrzanych, Bogdan Jeżyk,

emerytowany aktor, wchodzi z kolegą do parku Moniuszki.

Przez kwadrans chodzą to w jedną, to w drugą stronę. Obserwują młodszych mężczyzn w ciasnych spodniach i z damskimi torebkami, którzy zrobiliby wiele, by skusić ich do spędzenia wspólnego wieczoru. W końcu Bogdan zauważa samotnie siedzącego na ławce ciemnego blondyna. Podchodzi do niego, dyskretnie dając znak koledze, że w tym momencie ich drogi się rozchodzą. Po krótkiej rozmowie emerytowany aktor i młody nieznajomy idą wolnym krokiem w stronę dworca Łódź Fabryczna. Tam świadkowie widzą ich po raz ostatni.

Kiedy w Warszawie przy Okrągłym Stole budowano nowy porządek państwa, po komendach w całej Polsce rozlewały się plotki o tym, co i jak zmieni się w milicji. We wrześniu 1989 roku znienawidzone przez obywateli ZOMO przemianowano na oddziały prewencji MO, w maju 1990 roku, by ostatecznie odciąć się od fatalnych skojarzeń, nazwę Milicja Obywatelska zamieniono na Policja. W jednostkach w całym kraju w kilka tygodni wymieniono wszystkie godła na orła z koroną i rozpoczęto zmiany w identyfikacji wizualnej. Na policyjnych parkingach przemalowywano napisy na radiowozach, a warsztaty krawieckie pełną parą szyły nowe mundury.

Wtedy też przestała istnieć Służba Bezpieczeństwa. Funkcjonariuszy, którzy pozytywnie przeszli komisję weryfikacyjną, zatrudniono w nowo powołanym Urzędzie Ochrony Państwa, część zrezygnowała z pracy w służbach, a pozostali, m.in. z powodu braków kadrowych w policji, założono granatowe mundury. Pomiędzy funkcjonariuszami dochodziło na tym tle do konfliktów. „Spadochroniarze”, bo tak określano byłych esbeków, musieli długo pracować na szacunek kolegów. Policjanci masowo informowali przełożonych o brakach umiejętności byłych agentów i ich zaangażowaniu politycznym.

W tym czasie w Sejmie powołano specjalną komisję, mającą zbadać przedstawione przez Komitet Helsiński dziewięćdziesiąt trzy przypadki zgonów, o które podejrzewano organy bezpieczeństwa PRL. Widmo rozliczeń i niepewna przyszłość wpłynęły na niespotykaną w służbach falę odejść. Tylko w pierwszym półroczu 1990 roku ze służby odeszło (lub straciło stanowiska) ponad dwustu członków wyższej kadry kierowniczej, wśród nich wiceminister, pięciu szefów służb, szesnastu dyrektorów departamentów i jednostek równorzędnych oraz trzydziestu dwóch ich zastępców. Za każdym dyrektorem i komendantem odchodzili naczelnicy i ich funkcjonariusze. W ciągu kilku miesięcy legitymacje i broń złożyło ponad trzy tysiące ludzi. W dużych miastach łączono komendy rejonowe,

w mniejszych likwidowano posterunki. Na mapę Polski wróciły miasta, w których nie było żadnej jednostki policji.

Niereformowane od lat służby mierzyły się też z potężnym kryzysem finansowym. Technologia stosowana w policji odbiegała od standardów zachodnich. Zawodził system łączności, w komendach nie było komputerów, brakowało faksów i maszyn do pisania. Niektóre jednostki miały problemy z podstawowym zaopatrzeniem, jak papier, długopisy, a nawet amunicja i broń.

Braki kadrowe i niedofinansowanie formacji, a także rozprężenie społeczne i zarysowujące się powoli różnice klasowe spowodowały lawinowy wzrost przestępczości. W 1990 roku w Polsce zanotowano ponad osiemset osiemdziesiąt tysięcy przestępstw. To prawie dwa razy więcej niż rok wcześniej. Takiego skoku nie było nigdy w historii. Najwięcej, bo prawie połowa z popełnionych przestępstw, to kradzieże z włamaniem. Zabójstwa dokonywano wówczas średnio dwa razy dziennie. Przestępców zachęcała bezkarność. Przed sądem stawał tylko co drugi sprawca morderstwa.

ROZDZIAŁ IV

Bogdan Jeżyk

Miejsce: Łódź

Czas: 1989-1990

Śledczy: Waldemar Palicki, Komenda Rejonowa Milicji Obywatelskiej
Łódź-Bałuty

1.

Poniedziałek, 21 listopada 1989

W centrum Berlina służby porządkowe sprzątają gruz po upadku muru, który przez pół wieku dzielił Europę na Wschód i Zachód. Na placu Bankowym w Warszawie, w świetle reflektorów, rzeźba „krwawego Feliksa” rozpada się na trzy części. W Łodzi od kilku dni temperatura nie przekracza trzech kresek powyżej zera.

Blondyna, którego w parku Moniuszki spotkał Bogdan Jeżyk, nikt nie zna. Kolega emeryta, z którym mężczyzna przyszedł, a także inni świadkowie pomogą tylko w stworzeniu rysopisu podejrzanego. Wspominają, że nikomu się nie narzucał, a na pikiecie był widziany może dwa, góra trzy razy. Oprócz tego, że był dość młody, postawny, świadkowie zapamiętują jeszcze przenikliwie zimno. I to, że kiedy Bogdan odchodził z młodym mężczyzną, na zegarze dochodziła północ.

2.

Piątek, 24 listopada 1989

Przed południem funkcjonariusze z komendy na łódzkich Bałutach odbierają telefon od spanikowanej kobiety. Krzyczy, że kilkanaście bloków dalej, w czterdziestometrowym mieszkaniu, leżą półnagie zwłoki starszego mężczyzny.

– To mój brat. Błagam, przyjedźcie szybko! – słyszą roztrzęsiony głos w słuchawce.

Ale to nie kobieta, która zadzwoniła na milicję, pierwsza odnajduje ciało Jeżyka. Zaniepokojona matka mężczyzny – syn nie odzywał się do niej już od kilku dni – odwiedza go w mieszkaniu chwilę wcześniej.

Puka do drzwi, niepokoi ją cisza. Rozgląda się dookoła i nasłuchuje. Po chwili, jakby coś przeczuwała, naciska klamkę. Drzwi otwierają się bez problemu. Kobieta powoli wchodzi do środka. Tego, co wydarzyło się minutę później, nie pamięta. Siłą ma jedynie na to, by półprzytomna pójść do córki, która mieszka niedaleko. Po wejściu do jej mieszkania osuwa się na podłogę i zaczyna szlochać. Tak głośno, że do drzwi puka sąsiadka. W końcu starsza kobieta mówi, co zobaczyła w mieszkaniu syna.

Młoda kobieta biegnie do budki telefonicznej. Łzy polecą po jej policzkach dopiero, gdy odłoży słuchawkę i opowie milicjantom o śmierci brata.

*

Jest dwunasta dwadzieścia, gdy milicjanci wchodzi do mieszkania Bogdana Jeżyka. Mężczyzna z otwartymi oczami leży na tapczanie w zakrwawionej pościeli. Dookoła bałagan – poprzesuwane meble, na dywanie powyrzucane z szafek ubrania i książki. To z nich technicy zabezpieczają ślady linii papilarnych. Białe proszek nakładają też na ciemny wazon, okładki płyty gramofonowej, dzbanek i kryształowe karafki, szklane talerze i kieliszki po alkoholu, które stoją na środku pokoju. Do foliowej torebki wrzucają też dezodorant, a z sekretarzyka zabierają notes. Na parapecie okna znajdują kalendarz, a na stole w pokoju

kuchenny nóż. Z łóżka ściągają zakrwawione poszwy, kołdrę i ręczniki leżące obok zwłok.

Ślady krwi są też na podkoszulku znalezionym w łazience oraz białej ścierce z przedpokoju i dokumentach: kopii umowy z pracy, książeczce walutowej i wojskowej, kwestionariuszu paszportowym i dwóch zdjęciach ofiary.

Na koniec zabezpieczają jeszcze niedopałki pięciu papierosów z filtrem, wyciągając je ze szklanej popielniczki.

Na ciele Jeżyka widać liczne rany kłute, fioletowe sińce i otarcia. Michaś, który dziś zastępuje Aurelię i w końcu dorobił się tytułu biegłego medycyny sądowej, obecny jest przy przenoszeniu zwłok. Zapisuje: „Mężczyzna zmarł śmiercią gwałtowną, zbrodniczą, na skutek ran kłutych. Śmierć nastąpiła co najmniej dwadzieścia cztery godziny przed ujawnieniem zwłok”

3.

Sobota, 25 listopada 1989

Sąsiedzi ofiary, którzy od wczoraj są przesłuchiwani w komisariacie na łódzkich Bałutach, niewiele wnoszą do śledztwa. Lokatorka z trzeciego piętra zaprzecza, by w mieszkaniu ofiary dochodziło do burd lub głośnych kłótni.

– To był konferansjer i aktor. Co prawda wielkiej kariery nie zrobił, ale zawsze dobrze ubrany, wychowany, kulturalny – zeznaje. – Cichy i spokojny, złego słowa powiedzieć o nim nie można.

Jeżyk był aktorem teatralnym, studiował w warszawskiej PWST, potem pracował w Teatrze Ziemi Łódzkiej. Grywał pomniejszych role, bywał asystentem reżysera.

– I nie słyszała pani ostatnio nic podejrzanego? – pyta ją znużony milicjant, który w sobotnie popołudnie najchętniej położyłby się

na tapczanie we własnym mieszkaniu, obejrzał teleturniej albo pograł z synem w karty.

Jeżyk mieszkał samotnie i – jak po kilku rozmowach z najbliższymi ustalają śledczy – był homoseksualistą.

– Zdarzało mu się utrzymywać kontakty z przypadkowo poznanymi mężczyznami. My o tym wiedzieliśmy, bo i on się z tym za bardzo nie krył – mówi jego sąsiadka. – Szczegółów to ja nie znam. Nigdy nie pytałam. Ale nie można też powiedzieć, żeby komuś jakoś przeszkadzali. Ludzie może i plotkowali, ale to spokojny mężczyzna był.

Matka i siostra ofiary albo nie wiedzą, albo nie chcą przyznać, że Jeżyk był gejem. Na pytania o orientację i życie prywatne siostra wzrusza ramionami. A matka wybucha głośnym szlochem.

Siostra aktora stwierdza, że z mieszkania zniknęło kilka wartościowych przedmiotów. W stosie milicyjnych notatek jest już lista, a na niej m.in. kasety magnetowidowe, telewizor, lornetka, książeczka czekowa, biżuteria, skórzana kurtka, czterysta tysięcy złotych i dolary. Łączna wysokość strat to osiem milionów dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Na komendzie na Bałutach nie ma nikogo, kto miałby siłę lub ochotę na połączenie ze sobą tego i poprzednich zabójstw. Brakuje ludzi, sprzętu i chęci. Sprawa zabójstwa samotnego homoseksualisty emeryta na liście priorytetów zajmuje odległe miejsce.

Milicjanci, by jednak coś wpisać w akta, wypytują o ofiarę znajomych i rodzinę, a także współpracowników i homoseksualistów, na których robią zasadzki przy dworcu Łódź Fabryczna. Sprawdzają ich alibi, porównują ślady krwi i linii papilarnych, przeszukują mieszkania. Robią tyle, ile muszą. Tyle, żeby swoje zrobić, ale do końca się nie narobić.

Już po kilku dniach przychodzą pierwsze ekspertyzy. Wiadomo, jakich dokładnie obrażeń ciała doznała ofiara. W raporcie milicjanci czytają o dwóch ranach kłutych grzbietu po stronie lewej z uszkodzeniem ośmiu żeber, płuc i przepony.

Doktor Garbowska dopisuje: „Jedna rana cięta na przedniej powierzchni klatki piersiowej z uszkodzeniem mostka i sześć ran żeber oraz wątroby.

Dwie rany kłute brzucha z uszkodzeniem jelita cienkiego i pojedyncze rany z tylnej powierzchni prawego uda z uszkodzeniami mięśni. Głęboka rana cięta u nasady lewego kciuka i powierzchowne nacięcia skóry na przedniej powierzchni klatki piersiowej po lewej stronie. Dwa poziomy pasma otarć naskórka na prawym pośladku i biodrach. W dolnej części kręgosłupa oraz w miejscu dolnych lewych żeber sińce, dodatkowo na lewym ramieniu i prawej nodze. Jest też krew w jamie opłucnej i jamie otrzewnej. Skąpe plamy pośmiertne i zmiany pośmiertne narządów wewnętrznych”

4.

Grudzień 1989

Wicepremier Leszek Balcerowicz przedstawia swój program gospodarczy, a Sejm usuwa zapis o przewodniej roli PZPR i wraca do nazwy Rzeczpospolita Polska. W praktyce oznacza to koniec PRL-u. Przy krajowych wydarzeniach sprawa zabójstwa aktora z Łodzi praktycznie nie istnieje.

Nie pomagają ani płacz matki Jeżyka, ani jej prośby i listy, by komendant zajął się sprawą zabójstwa jej syna. Na nic również wyniki badań z zabezpieczonej odzieży i przedmiotów z mieszkania ofiary. Przełomu nie przynoszą także ujawnienie obecności krwi należącej do grupy A, czyli ofiary, ale także: grupy 0 – na poszwie, kalendarzu, nożu, podkoszulce, i grupy B – na niedopałkach papierosów.

W komendzie na Bałutach wzmaga się chaos, który za kilka miesięcy niemal całkowicie sparaliżuje pracę jednostki. W tym czasie kolejna ekspertyza dotycząca zabójstwa Jeżyka przynosi tylko jedną, jasną od samego początku śledztwa odpowiedź: do zabójstwa użyto noża kuchennego znalezionej na stole w jego mieszkaniu.

Ale akurat co do tego nikt nie miał wątpliwości.

5.

Maj-wrzesień 1990

– Niech się pani uspokoi – prosi Jeżykową kolejny porucznik prowadzący sprawę. – Robimy, co możemy – kłamie. – Pobrano włosy oraz odciski od kilkunastu osób, z którymi pani syn utrzymywał kontakty lub był najczęściej widywany – zerka w dokumenty.

– Ale możecie zrobić więcej!

Porucznik wzrusza ramionami. Nie może nic więcej. Gdy matka ofiary płacze w jego pokoju, Sejm przegłosowuje pakiet ustaw policyjnych. Senat przyjmuje je bez poprawek. Na radiowozach, komendach, legitymacjach i dokumentach hasło „Milicja Obywatelska” zastępuje „Policja”. Różnicą ma być także apolityczność nowej formacji. Po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat służba nie będzie związana z żadną partią. A to oznacza, że nikt nad niczym już w komendzie nie panuje.

Nic nie daje to, że podstawowe cele policji zostają określone w ustawie. Bo co to znaczy, że jej najważniejszym zadaniem ma być „ochrona życia i zdrowia obywateli oraz mienia przed bezprawnymi zamachami naruszającymi te dobra”?

Problem w tym, że chętnych do realizowania tej misji jest coraz mniej. A i skutecznych komendantów, którzy wiedzą, jak zarządzać w nowych czasach podwładnymi, jest jak na lekarstwo.

Czyszczenie szeregów i fala odejść powodują, że w dzielnicach brakuje od kilku do kilkunastu funkcjonariuszy. Na Bałutach co trzy dni na ulice nie wyjeżdża żaden patrol, a w ciągu ostatnich miesięcy komendant zmienił się trzy razy.

Nikogo nie dziwi, że po trzech miesiącach z policyjnych pokoi słychać coraz częściej stuk. Tak mocno, że trzęsie się całe biurko, w klawisze ciężkiej maszyny uderza kolejny porucznik. Czarny tusz układa się w zdania: „Postanawiam umorzyć śledztwo w sprawie dokonanego 23 listopada 1989 roku zabójstwa Bogdana Jeżyka z powodów rabunkowych, to jest czyn

z artykułu 148 Kodeksu karnego, wobec niewykrycia sprawcy przestępstwa. Dowody rzeczowe w postaci noża i włosów zostaną pozostawione w biurze dowodów rzeczowych prokuratury Łódź-Bałuty do czasu podjęcia kolejnego śledztwa lub upływu terminu przedawnienia”.

– Ktoś zabijał gejów? No to zabijał – słyhać na korytarzu.

W takim przypadku prokuratorka rejonowa nie ma wyjścia i podpisuje dokument o umorzeniu śledztwa.

– Nie ma sprawcy, zamykamy – decyduje.

Nikt też nie przejmie się notatką, którą dziesięć miesięcy wcześniej Karwowski włożył w akta zabójstwa przewodnika PTTK. Ani dokumentami dotyczącymi zabójstwa Wawrosa, które zbierają kurz w archiwum komendy Łódź-Górna. Chaos na komendzie powoduje, że na Bałutach nie ma nikogo, kto połączyłby zabójstwo Jeżyka z kolejną sprawą – z Górniaka.

W marcu, pół roku po zabójstwie emerytowanego aktora, znaleziono tam ciało kolejnego mężczyzny. Dookoła jego zwłok porozrywane były reklamówki, dom był w nieładzie, a cenne przedmioty zniknęły. Obok głowy kolejnej ofiary leżała książka. Tytuł *Homoseksualizm* napisany białym drukiem. Po mieszkaniu rozrzucone były powyrywane kartki z męskimi aktami.

ROZDZIAŁ V

Belial

Miejsce: Łódź

Czas: 2016-2018

Śledczy: Władysław Petrycki, Komenda Wojewódzka Policji w Łodzi,
Archiwum X

1.

Szara siedziba Komendy Wojewódzkiej Policji przy ulicy Lutomierskiej topi się w słońcu. Na szóstym piętrze, w małym pokoiku, w którym ledwie mieści się biurko i pancerna szafa, Władek czeka na informatora, który ma przekazać mu informację o rzekomym zabójcy gejów sprzed lat.

Zeznań świadków nie pisze się już odręcznie ani na maszynie. Na biurkach w komendzie stoją laptopy i drukarki. Na parkingu błyszczą się świeżo umyte granatowo-srebrne hyundaie i dwa terenowe land rovery. Ani jednego rozklekotanego poloneza. Do sprawdzania podejrzanych kryminalni używają zintegrowanego systemu bazy danych PESEL. Wystarczy wpisać nazwisko, by na ekranie wyświetliły się wszystkie dane typowanego. Kryminalne laboratoria naszpikowane są technologią. Specjaliści mogą pobrać materiał DNA z gumy do żucia, a odciski palców z paczki zapalek. Do dyspozycji mają nowe techniki inwigilacji i podsłuchów.

Tylko pokoje w komendzie wojewódzkiej wyglądają tak jak ćwierć wieku temu. Na podłodze poplamiona kawą wykładzina, pod oknem biurko zawałone teczkami. Na parapecie magnetofon z lat dziewięćdziesiątych. Przy drzwiach skrzypiące krzesło, które właśnie zajmuje informator.

– Po upadku komuny pół Łodzi zostało bez pracy. Każdy brał, co popadnie – wspomina. – Pracowałem przy remontach u jednego prywaciarza. Tam poznałem Romana. Nie znaliśmy się dobrze, mało o sobie mówił, ale wiem, że miał wtedy kobietę. Miała na imię Maria, mieszkała u niej w Łodzi, przy Wschodniej. Często powtarzał, że nienawidzi homoseksualistów. Opowiadał, że temu pedałowi wpierdolił tam, a temu gdzie indziej. Ja tego nie widziałem, wszystko wiem z opowieści. Już wtedy wydawało mi się, że ta konkubina to tylko przykrywka. Podejrzywałem, że jest gejem, tylko nie może się z tym pogodzić. Chodził na plac Moniuszki i w pobliże dworca. Mówił, że idzie bić pedałów. Jeden ze wspólnych kolegów powiedział mi kiedyś, że on tam nikogo nie bił, tylko szukał facetów, wie pan, do seksu.

– Dlaczego pan myśli, że to on dokonał tych zabójstw? – pyta Władek.

– Miał na imię Roman i jest podobny do tego z portretu, który był w gazecie. Miał tatuaże na twarzy i na palcach jednej dłoni. Poza tym ja zawsze czułem, że to facet, który może zrobić komuś krzywdę. Z roboty wyrzucili go za picie. A jak się napił, to wpadał w szal.

Policjant zapisuje w notatniku dane typowanego i jego byłej partnerki, ale nazwiska na razie nic mu nie mówią.

– Gdyby coś się panu przypomniało, proszę dzwonić. – Aspirant podaje mężczyźnie wizytówkę i odprowadza go do windy.

– No i jak? – Zza rogu wychyla się Młody.

– Sprawdź mi tych państwa. Adresy, mandaty, wyroki.

– Widzę, że mamy trop, aspirancie?

– Nie napalaj się. Nie tacy jak ty próbowali go znaleźć.

2.

Maria obudziła się jak zwykle przed szóstą, kiedy słońce wkradło się do jej wąskiego pokoju. Zmówiła pacierz na leżąco i z trudem usiadła na łóżku, ostrożnie opuszczając najpierw prawą, potem lewą nogę. Poleżałaby jeszcze, ale dziś nie ma tyle czasu. Naciska guzik koło łóżka, sięga

po grzebień i przeczesuje obcięte do ramion siwe włosy. Opiekunka pomaga jej włożyć białą bluzkę z mankietami i odświeżoną garsonkę. Poprzedniego wieczoru o gościach Maria powiedziała tylko jednej koleżance, ale przy śniadaniu wizyta policji w domu pomocy społecznej w Pabianicach jest już głównym tematem rozmów.

Młody znalazł ją tu trzy tygodnie wcześniej. Zadzwoił do ośrodka, by upewnić się, czy zeznania Marii będą wiarygodne.

Dowiedział się, że kobieta niedawno przeszła udar. Mówi niewyraźnie i szybko się męczy, ale z pamięcią nie ma problemów.

– Chcemy porozmawiać o pani byłym partnerze – zaczyna Władek. – Może pani pamięta, początek lat dziewięćdziesiątych, była pani wtedy z Romanem...

– Wiem, po co przyjechaliście. Ale co ja mogę pamiętać, to było tak dawno...

– Kiedy go pani poznała?

– Chyba w 1991 roku. Byłam z nim w związku, mieszkał u mnie, na Wschodniej, ale z przerwami. Wyrzucałam go, jak mi podpadał.

– Podpadał? Czym?

– Okradał mnie. Z pieniędzy, biżuterii. Ciągłe coś ginęło. Nie wiem, co z tym robił. Pewnie przepijał. Pił dużo.

– Był agresywny?

– Uderzył mnie parę razy. Jak wypił, wściekał się na wszystko. Raz przyszedł do mnie kolega. Piliśmy herbatę. Roman przyszedł pijany, od samych drzwi rzucił się na niego bez słowa. Kolega zdążył mu oddać i uciekł.

– Pani Mario, przepraszam, za intymne pytanie, ale musimy wiedzieć, czy...

– Tak, sypiałam z nim, zanim się zorientowałam... – kobieta zawiesza głos i bierze głęboki oddech. Po chwili dodaje: – Któregoś dnia wróciłam z pracy wcześniej. Weszłam do mieszkania i zastałam go w łóżku z innym panem.

– Wcześniej nic pani nie podejrzewała?

– Nie wyglądał na geja. Bywał nawet szarmancki, miał maniery. Myślałam, że jest uwodzicielem. Może tylko udawał, a może lubił to i to. W każdym razie wrócił po kilku dniach. Przyjęłam go, bo nie miał gdzie spać.

– Jak długo to trwało?

– Rok, może dłużej. W połowie 1993 roku ślad po nim zaginął. Kilka lat temu był u mnie syn, ma czterdzieści trzy lata, mieszka w Anglii. To on mi powiedział, że Roman był kiedyś poważnym bandytą. Siedział za rozboje, kradzieże, a nawet podpalenie mieszkania, podobno w pożarze zginęło troje dzieci.

Władek i Młody wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

– Co jeszcze może pani o nim powiedzieć? – starszy policjant znów zwraca się do kobiety.

– Chyba miał nie po kolei w głowie. Słyszałam, że bił nawet matkę. Wiem też, że miał siostrę, a ojciec kiedyś pracował w kopalni. Tyle. Nic więcej o sobie nie mówił. Ale był bardzo przystojny. Włosy ciemny blond, jasne oczy, bystry wzrok. Nie miał problemów ze znalezieniem dziewczyny. Gdyby tylko chciał...

– Jakież znaki szczególne?

– On był, proszę panów, jednym wielkim znakiem szczególnym. Przed wszystkim dużo tatuaży. Przy lewym oku kropka, którą próbował usunąć. Miał też malunki na przedramionach i palcach. No i ten okropny diabeł na piersi.

– Diabeł?

– Wielki napis „Belial”, gotykiem, na całej klatce piersiowej. Poza tym wiele ran po okaleczeniach, bo w młodości ciął się żyłką. Miał też zniekształcony jeden palec, chyba u lewej dłoni.

– A wie pani, z kim się wtedy zadawał?

– Często chodził na Dworzec Fabryczny. Tam chyba poznawał tych mężczyzn. Ale żeby z kimś na dłużej, to nie pamiętam.

Władek wyciąga z plecaka teczkę z dokumentami i pokazuje kobiecie portret mężczyzny.

– Bardzo podobny, choć Roman był przystojniejszy, wyglądał jak cherubinek.

3.

W niebie należał do chóru aniołów, ale kiedy Lucyfer przeciwstawił się Bogu, stanął po stronie buntowników. Po klęsce powstania musiał opuścić niebo i został jednym z czterech piekielnych książąt. Według apokryficznej Ewangelii Bartłomieja Belial to demon o sarkastycznej osobowości. Próbuje oszukać swoje ofiary poprzez schlebianie im i udawanie przyjaźni. We wszystkich podaniach występuje jako ten z „piękną mową”. Jego z pozoru miłe usposobienie ma uspić czujność ofiar. W ten sposób zwabia je w pułapkę i opętuje.

Według legendy Belial czczony był głównie w Sydonie i Sodomie jako bóg nieprawości i rozpusty. Jego postać często pojawia się w kulturze masowej. To on opętał Emily Rose w słynnym filmie Scotta Derricksona, a w dziełach Thomasa Manna występuje jako kwintesencja zła. Wspomina go również Umberto Eco w *Imieniu róży*.

– Trzeba poszukać w archiwum, czy któryś ze świadków widział Romana bez koszuli. – Młody wychyla głowę znad komputera. Sprawdza dane typowanego mężczyzny w policyjnej bazie. Policjanci od kilku tygodni siedzą nad aktami i szukają czegoś, co połączy zbrodnie z przeszłości z mężczyzną, którego niedawno wskazał informator.

– Będzie ciężko. Pewnie nie chciał, żeby ktoś widział ślady po żyletce – odpowiada Władek.

Z bazy PESEL Młody dowiedział się, że wskazywany przez informatora mężczyzna urodził się w 1965 roku w Łodzi. Rodzice zajmowali komunalne mieszkanie przy Gałczyńskiego. Kiedy umarli, zamienił je na pokój z kuchnią przy Włókienniczej. W międzyczasie miał kilka adresów tymczasowych, m.in. w Żyrardowie i w Chorzowie, a od dwóch lat mieszka w Katowicach.

Policjanci sprawdzili też więzienia. Dziś ewidencję osadzonych prowadzi się skrupulatnie, w dokumentach są nazwiska, adresy, odciski palców i zdjęcia. Wiadomo, kto z kim siedział w celi, jakie książki wypożyczał z biblioteki i co robił w wolnym czasie. Władek i Młody wiedzą już, że pierwszy raz zamknęli go w 1984 roku.

Wyszedł po czterech latach, tuż przed zabójstwem Stefana Wawrosa, pierwszym z serii. Pomiędzy drugą a trzecią zbrodnią skazano go za niszczenie mienia, kilkakrotnie wychodził na przepustki lub uciekał z zakładu.

W marcu 1993 roku, cztery miesiące przed ostatnim zabójstwem, wyszedł na weekend i nie wrócił. Wysłali za nim list gończy, ale zatrzymano go dopiero dwa lata później. Do zakładów karnych trafiał jeszcze dwa razy.

Na wolności jest od 2015 roku.

Młody przygotował listę współwięźniów, którzy dzielili z nim celę podczas ostatniej odsiadki. Może któremuś się zwierzył albo chociaż powiedział coś, co zbliży go do kręgu podejrzanych. Bo na razie całe śledztwo opiera się na poszlakach i domysłach.

Po kilku dniach Młody puka do pokoju Władka i nie czekając na zaproszenie, wchodzi do środka.

– Musi pan to zobaczyć – mówi od drzwi. Aspirant sztabowy podnosi wzrok znad teczki z dokumentami.

– Co to jest?

– Zeszyt naszego Romana. Od kolegi z celi. Zostawił mu go przed wyjściem. O zabójstwach nic nie mówił, podobno w ogóle się nie odzywał. Dużo czytał, najwięcej Pismo Święte. Ale proszę zobaczyć ten kajet.

Niemal na każdej stronie w zeszycie są rysunki postaci w różnych pozach. Na leżąco i na klęczkach. Mają wielkie oczy.

– Jestem u siebie jakby co – mówi wyraźnie zadowolony i wychodzi z pokoju.

Kilka minut później Władek wybiega na korytarz, bierze Młodego pod ramię i prowadzi do siebie.

Na biurku leżą akta z zabójstwa Andrzeja Staraka, czwartej ofiary z serii. Na jednej z pierwszych stron jest zdjęcie miejsca zbrodni.

– Widzisz?

– No widzę.

– To patrz na to. – Pod zdjęciami akt Władek kładzie zeszyt Romana. Na otwartej stronie kajetu narysowana ołówkiem postać. Z rozłożonymi szeroko rękami i nogami leży na dywanie w romby. Rysunek wygląda dokładnie tak jak zdjęcie miejsca zbrodni.

ROZDZIAŁ VI

Andrzej Starak

Miejsce: Łódź

Czas: 1990 Śledczy: Stanisław Korzeński, Komenda Rejonowa Milicji
Obywatelskiej Łódź-Górna

1.

Niełatwo będzie sprać z niego brunatne plamy. Nie wiadomo, jak długo krew wnikała we włókna dywanu, aż wyschła, otulając go cienką skorupą.

W salonie dwupokojowego mieszkania na łódzkim Górniaku, pod kremową kołdrą, leży ciało Andrzeja Staraka. Twarz skierowana do podłogi. Nogi i ręce spuchnięte. Dookoła zwłok porozrywane reklamówki, z których wysypały się zagraniczne proszki do prania. I książka o wymownym tytule *Homoseksualizm* z powyrywanyymi męskimi aktami.

Kredens, który stoi na ścianie po lewej stronie, ma podwójny szklany blat i ułamane drzwiczki. Na stole filiżanki, cukiernica, zegarek na rękę i solniczka. Jedyni świadkowie zbrodni.

2.

Poniedziałek, 5 marca 1990

Za oknem deszcz głośno dudni o szyby. Młody aspirant Stanisław Korzeński przeciąga się na biurowym krześle. Znużony przegląda prasę, ale po chwili odkłada sportową gazetę na bok. Nie może przestać ziewać.

To jego trzeci tydzień w wydziale kryminalnym. Do tej pory służył w dochodzeniówce. Zajmował się sklepowymi kradzieżami i włamaniami do mieszkań. Ale jedna czwarta pionu kryminalnego w całej Łodzi zrezygnowała ze służby, a to wydział, którego nie można zostawić z wakacjami. Korzeński dostał awans na aspiranta i podwyżkę. Żał było odmówić.

– Cholerna pogoda – mówi do siebie, spoglądając na zaparowane szyby. Z zamyślenia wyrывa go dźwięk telefonu.

*

Niebo nad Łodzią jest dziś wyjątkowo szare. Jego kolor zlewa się z brukowanymi ulicami, krzywymi chodnikami i kamienicą przy Gładkiej, do której szybkim krokiem podchodzi Korzeński.

Grupa starszych ludzi ubrana w pikowane ciemnobure kurtki czeka już na niego przed klatką schodową. Ich twarze też są szare. Dwie kobiety tulą się do siebie pod parasolką. Korzeński, cały przemoczony, bo deszcz zacina tak, jakby już nigdy nie miał przestać, ruchem ręki zrzuca krople z twarzy.

– Ziębaczewska Danuta – jako pierwsza przedstawia się policjantowi postawna kobieta. Korzeński kiwa tylko głową, nie wyjmując rąk z kieszeni. – To ja dzwoniłam. Panie władzo, sprawa jest prosta. Od paru dni smród na klatce był nie do wytrzymania, więc weszliśmy do mieszkania sąsiada Andrzeja Staraka. On tam leży cały we krwi. Trup jego, znaczy się.

– Kiedy ostatni raz go widzieliście? – Korzeński próbuje podpalić papierosa, ale deszcz jest nieustępliwy.

Sąsiedzi rozglądają się po sobie. – No ze dwa, trzy tygodnie wcześniej. Ale on był człowiekiem samotnym, a nie towarzyskim. Więc nie było za często okazji, by się z nim spotkać.

Mieszkaniec kamienicy z parteru próbuje pomóc Korzeńskiemu, służąc swoją zapalniczką.

– Był spokojny, alkoholu nie nadużywał. Głośny nie był, więc łatwo go było przeoczyć – komentuje.

– W soboty i niedziele chodził do matki na obiady – dodaje ktoś z tłumu.

– A od stycznia do ośrodka psychiatrycznego. Z nim musiało być coś nie tak... – plotkują sąsiedzi.

– Panie władzo, to rencista był. Raz przyjemny, a raz mniej. Zależało od dnia!

– Rencista tak, ale rentę to miał niską. Ubrania i meble stare. Z wartościowych rzeczy to tylko kolorowy telewizor. Chociaż z tego, co wiem, siostra mu przesyłała jeszcze pieniądze z zagranicy – prostuje się Ziębaczewska, która o życiu mieszkańców wie wszystko. Codziennie przez wizjer obserwuje, kto i kiedy wraca. I w jakim stanie.

Korzeński wypala papierosa do połowy, po chwili staje przed drzwiami mieszkania. Wokół twarzy ma owinięty cienki granatowy szalik. Zanim chwyci za klamkę, na drzwiach mieszkania znajduje kartkę. Na niej odręczny napis: „Proszę o skontaktowanie się z oddziałem”. I numer telefonu.

3.

Wtorek, 6 marca 1990

Korzeński siedzi zatopiony w notatkach. W tym samym pokoju, w którym dwa lata wcześniej porucznik Siwiuk zastanawiał się, kto zabił Stefana Wawrosa z ulicy Grabowej. Od czterech miesięcy Siwiuk nie szuka dowodów, nie przesłuchuje świadków, za to śpi do dziewiątej. Jak wielu milicjantów w jego wieku nie czekał na koniec restrukturyzacji w MSW i przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Gdyby wstrzymał się z decyzją, zapewne od razu połączyłby te sprawy. Ale śledztwo w sprawie zabójstwa Staraka dostaje młody aspirant Stanisław Korzeński. Kiwając się na czarnym fotelu, który zastąpił niewygodne krzesło, zapisuje w raporcie: „Od sąsiadów dowiedziałem się, że w 1989 roku u Staraka pomieszkiwał

nieznajomy mężczyzna. Był stróżem na poczcie. Miał dwadzieścia pięć lat, około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i był szczupły”

A także, że cztery dni przed zabójstwem w drzwiach ofiary widziano przyczepioną kartkę: „Przyjdź, Andrzej”

Kartka zniknęła, a w jej miejscu pojawiła się nowa.

*

Dorotka, uczennica siódmej klasy, uwielbia język polski. Recytuje wiersze, bierze udział w szkolnych przedstawieniach. W przyszłości chce zostać nauczycielką lub aktorką. To ona w ubiegłym tygodniu odwiedziła koleżankę, która mieszka piętro niżej od Staraka. Dziewczynki długo rozmawiały na klatce.

– To wtedy spotkałyśmy pana Staraka. Był gruby, miał dużą twarz i skośne oczy, czyli wyglądał jak zawsze. Miał na sobie szary płaszcz do pół łydki, a w ręku ortalionową torbę – opowiada dziewczynka, co chwilę spoglądając na rodziców i policjanta. Widać, że bardzo ekscytuje się zeznaniami. – Wiadomo, kto go zabił? – pyta co chwilę funkcjonariusza, wyobrażając sobie, że to dzięki jej zeznaniom aspirant wpadnie na trop przestępcy.

Tymczasem sąsiadka Ziębaczewska, która także przyszła na komendę złożyć zeznania, wnosi do śledztwa kolejne poszlaki.

– Andrzej mieszkał w tej kamienicy od 1988 roku. Był sam. Z wyjątkiem trzech miesięcy, gdy pomieszkiwał u niego nieznajomy mężczyzna. Starak mówił, że to jego kuzyn, a potem, że dawny znajomy, ale nikt nie wiedział, jak się nazywa.

Starak żalił się sąsiadce, że mężczyzna sprowadzał sobie co parę dni narzeczoną i kazał mu wychodzić z jego własnego mieszkania.

– To akurat było bardzo dziwne, nie sądzi pan? – mówi Ziębaczewska.

Od niej policjant dowiaduje się też, że od kilku miesięcy Andrzej Starak był pacjentem ośrodka dziennego w szpitalu psychiatrycznym przy ulicy Przędzalnianej. Wychodził z domu o godzinie ósmej, a wracał o siedemnastej. W ubiegłym roku dostał od siostry z Londynu pieniądze

i kupił w Pewexie dwudziestocalowy telewizor. Dwa tygodnie przed śmiercią pokazywał Ziębaczewskiej garnitur, który sobie uszył. Nie mówił, na jaką okazję. Starak miał też rentę chorobową z uwagi na różne dolegliwości psychiczne. W jego mieszkaniu nie było libacji ani awantur, sąsiedzi nie widzieli go pijanego, ale przychodzili do niego nieznanymi mężczyznami. Odwiedzała go też matka i starsze ciotki. Nie był towarzyski ani zbyt uprzejmy. Ale żeby sprawiać kłopoty lokatorom? Co to, to jednak nie.

Starak nigdy nikomu też nie mówił, by kogoś się bał.

*

Jeszcze tego samego dnia Korzeński puka do drzwi sąsiadki z najwyższego piętra. Jako jedyna nie uczestniczyła w zgromadzeniu na podwórku po odnalezieniu zwłok Staraka. „Dziwna kobieta”, szepczą o niej lokatorzy. Od zawsze trzyma się na uboczu.

– Nie lubię plotkowania – mówi wprost, stawiając przed milicjantem szklankę z kompotem. – Co ja będę wymyślać? Skąd mam wiedzieć, dlaczego i kto go zabił? W takich sprawach lepiej siedzieć cicho i nie kusić losu.

– Ale pani znała sąsiada z dołu? – pyta ją Korzeński.

– Z widzenia znałam, ale kontaktu nie mieliśmy. Natomiast...

– Tak?

– Chwilę przed waszym przyjazdem, jak Ziębaczewska do was zadzwoniła, wchodziłam do mieszkania z dwoma wnuczkami. Na schodach wyprzedził nas młody mężczyzna. Poszedł na czwarte piętro, potem na trzecie, pokręcił się chwilę. Jasne było, że czegoś szuka. Gdy zobaczył, że sąsiedzi przed klatką na kogoś czekają, od razu zszedł na dół. Ktoś nawet za nim krzyknął: „A pan tu czego szuka?”, ale on uciekł. Był młody, miał mniej więcej dwadzieścia-dwadzieścia pięć lat, włosy czesane na bok, ciemny blond.

Korzeński szuka potwierdzenia tego zdarzenia u mieszkańców kamienicy.

Sąsiad z drugiego piętra: – Staraka widziałem z miesiąc temu, a potem już tylko znalazłem z sąsiadką jego zwłoki. Zapukała do mnie i zapytała, czy pójdę z nią do sąsiada, bo zapach na klatce był już nie do zniesienia. Znaleźliśmy go nieżyjącego. Ja wróciłem do domu, bo byłem w piżamie i szlafroku, więc chciałem się przebrać, a ona poszła zadzwonić na milicję, znaczy policję.

Mężczyzna zawiesza na chwilę głos.

– Niedługo później wychodziłem z mieszkania. Czekaliśmy na wasz przyjazd, a sąsiadka z góry zapytała mnie, czy widziałem młodego mężczyznę na klatce. Powiedziałem, że nie, ale spojrzałem przez okno i rzeczywiście: w tym deszczu na naszym podwórku zbierali się mieszkańcy, a pod daszkiem, przy koszach na śmieci, stał młody mężczyzna. Nie wiem, co tutaj robił i po co się kręcił. Krzyknąłem do niego, ale naciągnął kaptur na głowę i uciekł.

Na schodach aspiranta zaczepia jeszcze jedna z kobiet.

– Panie władzo, ja mieszkam przez ścianę ze Starakiem. Tydzień wcześniej słyszałam hałasy, rzucanie przedmiotami, a nawet słyszałam, jak ktoś krzyczał: „Ratunku!”, ale te hałasy nie trwały długo.

Korzeński nachyla się nad kobietą z zainteresowaniem. Pozwala jej mówić, nie przerywa.

– Wyrzałam przez okno i zobaczyłam grupkę młodych ludzi. Mieli na oko tak po dwadzieścia parę lat. Stali po drugiej stronie ulicy, patrzyli na naszą kamienicę. Nie wiem jednak, czy dokładnie na okna Staraka, ale wydaje mi się, że tak.

– I dlaczego pani tych krzyków nie zgłosiła? Ani do sąsiadów z tym nie poszła?

– Pomyślałam, że to pewnie chłopcy, co nade mną mieszkają. Nie byłam pewna, skąd te odgłosy. Zawsze się dzieciaki z góry ganiają, jak rodzice idą do pracy.

Korzeński mruży oczy.

– Kiedy dokładnie to było?

– W piątek, 2 marca. Pamiętam, bo akurat robiłam przetwory, żeby mieć wolny weekend.

4.

Środa, 7 marca 1990

Korzeński poleca przeszukanie archiwum. Policjanci z Górniaka przynoszą mu akta w sprawie zabójstwa Stefana Wawrosa. Oznaczone są „NN”, to znaczy, że sprawcy nie wykryto. Aspirant dowiadyuje się, że mężczyzna mieszkał w tej samej okolicy, zginął w podobnych okolicznościach. Był homoseksualistą. Prosi więc chłopaków o sprawdzenie innych niewykrytych zabójstw z całego miasta z ostatnich czterech-pięciu lat. Szybko dowiadyuje się o śmierci emerytowanego aktora Bogdana Jeżyka i przewodnika PTTK Jacka Cieszowskiego. Zastanawia się, czy te sprawy mogą mieć ze sobą coś wspólnego.

Na potwierdzenie tej tezy przychodzi notatka od jednego z funkcjonariuszy, który rozmawiał z lekarzem Staraka. Andrzej leczył się na nadciśnienie, prosił doktora o bezpieczne środki na erekcję, a kilka razy, w obawie przed AIDS, musiał wykonać testy na HIV.

*

Korzeński pewnym krokiem wchodzi do czteropiętrowej kamienicy otoczonej zaniedbanym ogrodem. Rozłożyste drzewo przysłania tabliczkę przymocowaną po prawej stronie budynku. Widnieje na niej napis „Szpital psychiatryczny w Łodzi”.

W ciasnym, obskurnym pomieszczeniu z gołą żarówką policjanta przyjmuje pracownica socjalna.

– Tak, to ja zostawiłam kartkę w drzwiach mieszkania Andrzeja Staraka – mówi. – Byłam u niego około godziny czternastej. Kilka razy dzwoniłam

do drzwi, ale nikt nie otwierał. Włożyłam w drzwi kartkę z prośbą, by Starak skontaktował się z naszym oddziałem.

Kartkę pracownica przygotowała wcześniej, jeszcze w ośrodku. Starak, jako że nie stawał się przez trzy dni w szpitalu i nie odbierał telefonu, został z niego wypisany.

Lekarze opowiadają o zaburzeniach osobowości u Staraka. I problemach, które z tego wynikały. Nie należał do sympatycznych pacjentów. Nie zaprzyjaźnił się z nikim z oddziału. Zdarzało się, że podbierał im śniadania. Przed miesiącem z tego powodu doszło w szpitalu do awantury. Starak wykłócał się z personelem i innymi pacjentami. Zresztą dzień, w którym ukradł kilku pacjentom ich porcje śniadaniowe, był jego ostatnim na oddziale.

Lekarka, która prowadziła Staraka, niespiesznie spogląda w papiery.

– Zgłosił się na oddział 12 stycznia z rozpoznaniem od psychiatry. Psychoza maniakalno-depresyjna.

– To znaczy? – dopytuje ją aspirant.

– To znaczy, że cierpiał na nawracające epizody depresji i maniakalne stany euforii. Nie mógł zebrać myśli, miał zaburzenia pamięci i koncentracji. Do tego zdarzały się myśli samobójcze i halucynacje słuchowe. Ale z tym sobie ostatnio poradził.

Starak przebywał wcześniej w podobnej placówce przy ulicy Solnej.

– Jego objawy budziły tam wątpliwości, bo bywało, że przez dłuższy czas czuł się dobrze. Dlatego dostawał tam minimalne dawki leków. Ale u nas je zwiększyliśmy – dodaje kobieta w białym kitlu, znów spoglądając w dokumenty. – Z placówki wypisałam go dokładnie 1 marca, bo nie usprawiedliwił swoich nieobecności.

✱

Wieczorem do parku Moniuszki Korzeński wysyła na obserwację dwóch policjantów w cywilu. Nie mijają trzy godziny, a na biurku aspiranta pojawiają się pierwsze notatki.

„W czasie wykonywania czynności operacyjnych w terenie ustalono, że Andrzej Starak w środowisku homoseksualistów znany był jako »Kotletowa« i »Miśka«. Lubował się w mężczyznach w starszym wieku”

Korzeński wzywa jednego z podwładnych do siebie.

– Tylko tyle udało się ustalić? – pyta.

– A co ja tam więcej mogłem? Oni się już nas nie boją. A nie chciałem ich dotykać, no wie szef...

– Nie wiem – przyciska go przełożony.

– Żeby tego cholerstwa nie złapać. Przecież wszyscy o tym mówią...

„Z obserwacji odnośnie rozpowszechniania się choroby wiadomo, że nośnikiem zarazka jest człowiek” – piszą w notatce służbowej pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i rozsyłają do wszystkich komend w Polsce. AIDS boi się cały kraj. Milicjanci winę za rozpowszechnianie choroby zrzucają na osoby homoseksualne. W raportach pisze się, że siedemdziesiąt procent gejów jest nosicielem wirusa HIV, a jeden zakażony może zakażać nawet osiemset osób rocznie. Choć początkowo w Polsce przede wszystkim chorują narkomani.

W szpitalach, kiedy pojawiają się przypadki zakażenia, na zwolnienia idą lekarze i pielęgniarki. Ludzie boją się przebywać w tym samym pokoju, co zakażony, choć media informują, że HIV przenosi się tylko na trzy sposoby – przez kontakty seksualne, krew (np. używanie tej samej strzykawki) i podczas ciąży, porodu lub karmienia piersią z zakażonej HIV matki na jej dziecko.

Produkcję pierwszego leku, który podawano pacjentom zakażonym HIV, rozpoczęto w 1987 roku. Powoduje jednak on liczne skutki uboczne. Dlatego strach o zakażenie nie ominął środowiska łódzkich homoseksualistów.

– Chłopaki pożyczają sobie prezerwatywy i pilnują, by ich partnerzy się zabezpieczali, choć oczywiście nie wszyscy. I tu jest problem – opowiadał Korzeńskiemu jeden z przesłuchiwanym bywalców pikiet.

Dopiero za rok o zakażeniu wirusem i chorobie publicznie powie lider zespołu Queen Freddie Mercury. W wydanym dzień przed śmiercią

oświadczeniu napisze: „Uważałem za właściwe utrzymać tę informację w tajemnicy, aby chronić swą prywatność. Jednak teraz nadszedł czas, aby powiedzieć prawdę. Mam nadzieję, że lekarze i wszyscy ludzie dobrej woli na całym świecie połączą się ze mną w walce z tą straszną chorobą”

5.

Kwiecień 1990

– Przeprowadź mi tych żuli z parku Moniuszki, którzy znali Staraka – aspirant Korzeński zwraca się do swojego zaufanego podwładnego, który przyszedł do wydziału razem z nim.

*

Mężczyzna po trzydziestce, szczupły, przystojny, chowa twarz w dłonie. – Ja powiem wszystko, tylko nie mówcie nic mojej rodzinie. – Patrzy błagalnie na Korzeńskiego. – Moja matka tego nie przeżyje!

– Mów, z kim się widzisz, może darujemy matce.

– Często przychodzą do mnie znajomi... – jąka się mężczyzna. – W moim mieszkaniu nocował tydzień temu jeden z nich, ale trudno mi powiedzieć, czy jest homoseksualny. Ja mu żadnych propozycji nie składałem.

– A kto cię odwiedzał? – przyciska go Korzeński.

– No... Zbyszek, Ewa, Hazelmajer. I jego kuzyn. Wołają na niego „Hiszpan”, ale imienia to nie znam.

– W twoim mieszkaniu znaleźliśmy dokumenty na cudze nazwisko.

– Ja ich tam nie przynosiłem, to Hazelmajer je przyniósł. Nie wiem, skąd je miał. Przysięgam!

Do sali przesłuchań jako kolejny wchodzi chłopak o pseudonimie Wąż.

– Od około czterech lat przyjaźnię się ze znajomym, który jest czynnym homoseksualistą, ale ja nim nie jestem – mówi pewnym siebie, niskim głosem.

– To skąd ich znasz?

– Bo z nimi, to znaczy z gejami, przebywam. Ale tylko towarzysko. Z narzeczoną handluję kwiatami przy Narutowicza. Swoje potrzeby fizjologiczne chodzę załatwiać do szaletu miejskiego przy Zielonej, za kinem Młoda Gwardia. Oni się tam kręcą.

– Nazwiska. – Korzeński chwyta za długopis.

– Nazwisk nie znam, bo ich nie używają, ale... No na ten przykład...

Po chwili Korzeński ma już szczegółowo zapisany notatnik: „»Kryśka Prońko« – ma około czterdziestu pięciu lat, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, nie pracuje, wyjeżdża za granicę w celach handlowych. »Szejla« – około czterdziestu pięciu lat i sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Ryszard – były tancerz Teatru Wielkiego, jest niski, sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, po czterdziestce. Roman – około dwudziestu pięciu lat, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ze Zgierza, ale często sypia w mieszkaniach homoseksualistów w Łodzi”

Korzeński pokazuje „Wężowi” zdjęcie Staraka.

– Chyba go kiedyś widziałem – przyznaje. – Znajomy mówił mi o jakimś Andrzeju, homoseksualiście, że był gruby i że jeździło się do niego oglądać zdjęcia pornograficzne. To chyba on.

Korzeński wyciąga też zdjęcia Wawrosa i Jeżyka.

– Tych dwóch nie poznaję.

– Przyjrzyj się.

„Wąż” przecząco kręci głową.

*

Przesłuchania trwają kolejną godzinę. Przed Korzeńskim siada przystojny, ubrany w białą koszulę i krawat mężczyzna i patrzy z uśmiechem na policjanta. Prostuje się, zakłada nogę na nogę, gładzi krawat i poprawia włosy. Korzeński bez słowa pokazuje mu zdjęcia Staraka, Wawrosa i Cieszowskiego.

– Tego pierwszego nie znam – po chwili mówi mężczyzna, uważając na to, by się nie garbić. – A ta twarz coś mi mówi, ale nic o nim nie wiem

– wskazuje na Wawrosa. – Od znajomych słyszałem za to, że pseudonimem Rafał przedstawiał się zamordowany przewodnik PTTK. I to chyba tyle.

– A wie pan, kto mógł...

– Zamordować? To chyba nie jest wielka tajemnica, że wśród „koleżanek” mamy też takich, którzy tylko udają, że chcą się zaprzyjaźnić i poznać bliżej. I jak ktoś jest nieuważny, zaprosi nieznanego, to może skończyć jak ci... No, biedacy – wzrusza ramionami.

– A panu nie wstyd tak? – Korzeński próbuje podejść mężczyznę.

– Wstyd? – dziwi się mężczyzna. – Ja, proszę pana, jestem aktorem. I dobrym człowiekiem. Taki się urodziłem. I ja nie mam czego się wstydić.

Kolejny przesłuchiwany, młody chłopak z rozbieranymi oczami, ubrany dość biednie, przyjechał do Łodzi ze Zduńskiej Woli. Opowiada, że dzień wcześniej wysiadł na peronie i prosto stamtąd poszedł do parku Poniatowskiego. Tam spotkał kolegę, pojechali na pikietę na Zdrowie, gdzie czekali na nich kolejni znajomi. – Jeden z nich wszedł do szaletu, ale nie mogliśmy się doczekać, aż wyjdzie, więc wróciliśmy do parku. Nikogo nie poznaliśmy, to poszliśmy do mieszkania tego kolegi... – mówi.

Korzeński pokazuje mu zdjęcia ofiar. Chłopak wskazuje na Staraka – kojarzy go z pikiet. Jezyka nie rozpoznaje.

– A, to ten zamordowany aktor, tak?

– Skąd wiesz?

– Od innego znajomego aktora. Mieszka nad kawiarnią Orfeusz, ma pseudonim Emanuel.

Chłopak Wawrosa zna z widzenia, z pikiet.

– Ale tylko z widzenia, panie władzo. Ja naprawdę nigdy nic złego...

6.

Sobota-poniedziałek, 21-23 kwietnia 1990

Alicja Starak wchodzi do klatki lekko pochylona. Dwie sąsiadki, które wyszły jej na powitanie, klepią ją delikatnie po ramieniu. Kobieta zwraca się w stronę schodów. Po chwili znika w drzwiach mieszkania zamordowanego syna.

Kilka minut później dołączają do niej brat i drugi syn.

Kobieta w ciszy porządkuje rzeczy. Męskie ubrania w wielkim rozmiarze wrzuca do foliowych worków. Mężczyźni mocują się z meblami: rozkręcają, wynoszą na zewnątrz i wstawiają do zaparkowanego na podwórku poloneza. Cała akcja trwa dobre trzy godziny.

Na zegarku w kuchni wybija trzynasta, gdy Alicja Starak siada ociężale przy stole w pokoju. Zmęczona i lekko rozedrgana spogląda na tapczan. To zniszczony, ubrudzony mebel, na którym jej syn uwielbiał się wylegiwać. Wracają do niej wspomnienia. Nagle wzrok starszej kobiety zatrzymuje się na podłodze, pod kanapą. Coś mieni się jej w oczach. Podchodzi bliżej, nachyla się. Po chwili trzyma w dłoni zimny metalowy przedmiot. Z krzykiem odrzuca go na podłogę.

– To nóż! To ten nóż! – krzyczy. – To tym nożem zamordowali mi syna!

Z kuchni wybiega jej syn. Podnosi matkę i pomaga usiąść w fotelu. Przynosi szklankę kompotu, który jego żona ugotowała rano, wiedząc, ile roboty czeka ich w mieszkaniu. Przytula ją i uspokaja. Chwilę się zastanawia, po czym spoglądając na nóż z czarnym trzonkiem i brunatnymi plamami na srebrnej powierzchni, z zeszytu, który leży na stole, wyrywa kartkę, i chwyta go przez papier. Nóż wrzuca do foliowej torby.

*

Matka Andrzeja Staraka na komendę przychodzi dopiero po dwóch dniach. Winda nie działa, więc wolnym krokiem wspina się po schodach.

– To prezent, który Andrzej otrzymał ode mnie, gdy wprowadzał się do swojego mieszkania. – Kobieta szlocha i kładzie foliową torbę na biurku Korzeńskiego. Wystaje z niej metalowe ostrze.

– Nóż? – dziwi się policjant. – Gdzie go pani... Dlaczego...

– Była niedziela – odpowiada kobieta, ale po chwili wybucha. – A dlaczego wy go nie znaleźliście wcześniej?! On tam leżał dwa miesiące, pod kanapą! Nóż, którym zabito mojego syna!

Korzeński milczy. Wie, że matka ofiary ma rację.

– Sprawdzimy to. Proszę opowiedzieć jeszcze raz o synu – mówi, by jakoś ją uspokoić. Wstaje od biurka, podchodzi do szafki i przekręca kluczyk, który wystaje z drzwiczek. Wyciąga butelkę domowej nalewki i podstawia kobiecie kieliszek. Nalewa też sobie i od razu wypija.

Kobieta przeciera łzy.

– Co mam jeszcze... Już mówiłam, ostatni raz widziałam go 25 lutego, był u mnie na obiedzie. Spędziliśmy razem cały dzień. Andrzej przyszedł do mnie o godzinie czternastej, a wyszedł późnym wieczorem.

– Był dobrym synem? – Korzeński wie, że kobieta mogłaby opowiadać o nim bez przerwy. Próbuje ją udobruchać. Zrobić wszystko, by zapomniała o niekompetencji policjantów.

– Był wobec mnie bardzo wylewny! Złego słowa o nim powiedzieć nie mogę. No i z tego, co wiem, nie miał żadnych wrogów. Był uczynny, a jak się z kimś pokłócił, to zaraz się godził. Nie rozumiem, jak ktoś mógł... – Kobieta chwyta w dłoń kieliszek i niewiele myśląc, przechyla go.

Do pokoju Korzeńskiego bez pukania wchodzi starszy mężczyzna.

– Przepraszam za spóźnienie – siada obok kobiety i chwyta ją za dłoń. – Jestem partnerem Alicji. – Spogląda srogo na policjanta. Korzeński nie ma ochoty dłużej prowadzić tej rozmowy. Z matką ofiary potwierdza tylko, że Starak mógł mieć na koncie trochę funtów od siostry z Londynu. I telewizor, który po jego śmierci zniknął z mieszkania. Oraz że na pewno ustalą, kto dopuścił się takiego niedopatrzenia i nie znalazł noża w mieszkaniu ofiary.

Gdy matka Staraka i jej partner wychodzą z pokoju Korzeńskiego, policjant łapie się za głowę. Chwyta za słuchawkę, wrzeszczy na całą komendę:

– Z kim ja, kurwa, pracuję?! Co to jest za burdel? Nóż, którym zamordowano człowieka, znajduje po dwóch miesiącach jego matka?!

7.

Maj 1990

Mijają dwa dni od pierwszych w nowej Polsce wyborów samorządowych. Męski niski głos, który informuje o tym z radia, podkreśla przeważające zwycięstwo „Solidarności”. To ich komitety zdobywają ponad pięćdziesiąt trzy procent oddanych głosów. I jest to, jak podkreśla prowadzący audycję, rekordowy wynik w historii Polski. Taki, którego nie uda się powtórzyć już żadnej innej formacji.

Korzeński ścisza radio, z szuflady biurka wyjmując akta zabójstwa Andrzeja Staraka i poprzednich trzech ofiar. Jako pierwszy porównuje sekcje zwłok wszystkich mężczyzn. Już na pierwszy rzut oka są do siebie ładząco podobne. Szereg ran kłutych, m.in. klatki piersiowej w okolicach żeber, powierzchowne rany głowy z przodu oraz poważniejsze z tyłu, do tego rany na plecach. Ciała znalezione w mieszkaniach, do których wcześniej sprowadzano obcych mężczyzn. Korzeński stawia wstępną hipotezę, choć jeszcze nie dzieli się nią z przełożonymi. W Łodzi od kilku lat homoseksualnych mężczyzn prawdopodobnie zabija ten sam człowiek. Wciąż brakuje jednak kluczowego świadka, który mógłby wnieść do sprawy coś więcej niż tylko poszlaki.

– Krzysiek – aspirant zwraca się do podwładnego, którego ledwo widać zza chmury papierosowego dymu. – Coś gubimy. Czegoś tu nie widzimy.

– To może od początku? – proponuje młody policjant.

Korzeński siada wygodnie się na obrotowym krześle, jego młodszy kolega rozkłada notatki na biurku. Co wiadomo? Że mieszkanie Andrzeja Staraka nie było duże: pokój, kuchnia, łazienka. Starak nie był bogaty: miał sto dwadzieścia tysięcy złotych renty, a z cennych przedmiotów telewizor marki Royal. Z zeznań sąsiadów wynika, że młodzi mężczyźni odwiedzali go przede wszystkim w dni, kiedy dostawał pieniądze.

Starak prowadził notatnik, zapisywał spotkania z mężczyznami. Większość z nich została przesłuchana. Opis tego, jak były zadawane rany,

mówi o tym, że sprawca musiał być niższy od ofiary.

– Może Starak mu się postawił? I skończył tak jak pozostali, którzy nie siedzieli cicho i nie zgadzali się oddać wartościowych przedmiotów. A może nasz morderca po prostu nienawidzi gejów? – Krzysiek przeszukuje kieszenie. Nie może znaleźć papierosów. Korzeński szybko wyciąga paczkę kosynierów, za chwilę chmura dymu gęstnieje policjantom przed twarzami.

Morderca ukradł Starakowi telewizor, trzysta sześćdziesiąt dolarów, sto pięćdziesiąt tysięcy złotych i dziesięć funtów oszczędności.

– Ten stróż z poczty, co mieszkał u Staraka, miał około dwudziestu pięciu lat i sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Szczupły, ciemne włosy. Sąsiadce, tej, co znalazła ciało ofiary, Starak powtarzał, że gdyby słyszała jakieś odgłosy dochodzące z jego mieszkania, to żeby reagowała. Czyli się jednak bał. Tylko czego.

– Od dwunastu lat przebywa w Londynie.

– Część śladów linii papilarnych zabezpieczonych na foliach nie nadaje się do badań. To, co zwróciło moją uwagę, to zachowanie niejakiego Waldemara Nowaka. Wpadliśmy na niego na pikiecie. Spisaliśmy go, bo się tam kręcił. Mówił, że Włókienniczą zna dość dobrze, że chodzi tam do... – młody policjant zerka w notatki – ...Olechowskiej, Nowackiej i Pawlukowej.

– Nowackiej i Pawlukowej? Korzeński wzdycha. – I tylko tyle?

– Niestety.

8.

Czwartek, 8 listopada 1990

Przy rodzinnych stołach, na placach budowy i w tramwajach. Na ulicach, w kawiarniach i przy budkach z piwem. Wszędzie mówi się o jednym. Podczas pierwszych w nowej Polsce wyborów prezydenckich do urn

poszło ponad sześćdziesiąt procent uprawnionych. Pierwsza tura nie wyłoniła zwycięzcy. Ostateczną bitwę o fotel prezydencki stoczą Lech Wałęsa oraz tzw. człowiek znikąd Stanisław Tymiński. To na niego głosował aspirant Korzeński. Porażka jego kandydata w drugiej turze zbiegła się z bardziej bolesną klęską. Wobec braku przekonujących ustaleń i choćby śladu poważnego tropu prokurator rejonowy umarza postępowanie w sprawie zabójstwa Staraka. „Przesłuchano kilkudziesięciu świadków z rodziny i sąsiadów oraz osoby o zainteresowaniach homoseksualnych” – pisze śledczy w uzasadnieniu.

I jeszcze: „Przeprowadzono wnikliwą penetrację środowiska homoseksualistów, zwracając szczególną uwagę na zachowanie w krytycznym okresie mężczyźni, z którymi Starak utrzymywał kontakty. Ponadto podjęto działania zmierzające do ustalenia, w jakich okolicznościach dokonano zaboru z mieszkania zmarłego odbiornika telewizyjnego”.

Korzeński nie czyta dalej. Akta odsyła do archiwum, a notatki ze sprawy chowa do zamykanej na klucz szuflady w biurku. Z szafki, która w jego pokoju robi za pracowniczy barek, wyjmuję domową nalewkę.

Nie łączy tego morderstwa ze śmiercią Jakuba Marksa, którego ciało znaleziono w lesie kilka miesięcy wcześniej w okolicach podłódzkiego Zgierza. Marks miał otarcia i zaczerwienienie w okolicy szyi. Jego zwłoki były ułożone na wznak, zgięte w lewą stronę. Ciało przysypane cienką warstwą ściółki, która przykrywała dolną część twarzy, szyję i okolice tułowia. Obok zaparkowane auto marki Żuk. A na ziemi spodnie z teksasu, sportowe buty i damskie majtki.

Marks odwiedzał łódzkie pikiety, a przed śmiercią skarżył się przyjaciółce, że miejscowi podchodzą nocami pod jego dom i krzyczą do niego „pedał”. Cała wieś wiedziała, że Lanc jest homoseksualistą.

Karanie za homoseksualizm wykreślono z polskiego Kodeksu karnego w 1932 roku. W teorii. W praktyce, szczególnie w latach komunizmu, sam homoseksualizm był już czynnikiem obciążającym. Nawet w sprawie „Wampira z Zagłębia” jednym ze współoskarżonych był brat Zdzisława, do którego skazania doprowadziły jedynie poszlaki. Oraz, według wielu badaczy tej sprawy, jego homoseksualizm.

Prześladowania homoseksualistów, tak powszechne pod koniec lat osiemdziesiątych, doprowadzały m.in. do tego, że większość osób z homośrodowiska przez lata żyła w ukryciu. Miejsca, w których się spotykano, musiały więc być „bezpieczne”, sprawdzone, prowadzone przez ludzi, którzy rozumieli i szanowali ich preferencje. Jako że nie było ich zbyt wielu, spotykano się na pikietach. W PRL-owskiej Łodzi były to dworzec Łódź Fabryczna, szalety miejskie, park Moniuszki i park Na Zdrowiu. Taryfę ulgową mieli jedynie artyści, których milicjanci spisywali „na straty” i traktowali jak „kolorowe ptaki”.

Sam motyw gejowski pojawiał się w kinie i literaturze już od początku lat sześćdziesiątych, na długo przed Lubiewem Michała Witkowskiego. Sam Tadeusz Łomnicki w jednym z wywiadów przyznał, że proponował Andrzejowi Wajdzie, by jego bohater w Niewinnych czarodziejach był homoseksualny. W literaturze jednymi z najważniejszych dzieł tamtych czasów były powieści Mariana Pankowskiego, Jerzego Nasierowskiego i Grzegorza Musiała. W przeciwieństwie do atmosfery zastraszania i obrzydzenia tym środowiskiem po stronie rządzących pisano je z perspektywy obrońców gejów.

Zdarzały się jednak dzieła literackie, które tylko pogarszały sytuację homoseksualnych środowisk. Krzysztof Tomasik, autor książki Gejerel. Mniejszości seksualne w PRL-u, za niechlubny przykład podaje m.in. wspomnienia Wandy Półtawskiej, przyjaciółki Jana Pawła II, czy profesor Barbary Skargi. Pierwsza, opisując codzienność obozu koncentracyjnego Ravensbrück w swoich pamiętnikach, wspomina o „lesbische Liebe” jak

o najgorszej zarazie. Natomiast Skarga dzieli się swoimi wspomnieniami z gułagu oraz, jak podkreśla Tomasik, „hardcorowymi homofobicznymi przemyśleniami”. Półtawska nazywa kochające się w obozie kobiety „wstrętnymi i smutnymi zarazem”, a Skarga opisuje homoseksualizm jako „zaraźliwe wpływy” z Zachodu.

Nagonka i problemy, z którymi muszą mierzyć się homoseksualiści w PRL-u, są już tak dojmujące, że postanawiają się w końcu zrzeszyć. Pod koniec lat osiemdziesiątych powstaje pierwszy Warszawski Ruch Homoseksualny na czele z Waldemarem Zboralskim. „Wałęsa Gejów”, bo tak nazywano przewodniczącego ruchu, prowokował debaty, spotkania oraz próby zalegalizowania choćby stowarzyszenia. Władza odmówiła im jednak rejestracji. Musieli działać w podziemiu.

ROZDZIAŁ VII

Jakub Lanc

Miejsce: Zgierz, Głogów, Łódź

Czas: 1990-1991

Śledczy: Marek Malina i Stanisław Laszczuk, Komenda Wojewódzka Policji
w Łodzi

1.

Wtorek, 30 lipca 1990

Jadzia, Mirka i Zosia są po trzydziestce. Tyle samo wskazują dziś słupki termometrów w Łodzi. Przyjaciółki, każda w kwiecistej zwiewnej sukience, wystawiają twarze do słońca. Na podłódzkiej Łysej Górze koło Zgierza, lokalnym pagórku nad Mrogą, rozkładają koce, a z koszyka wydobywają chleb, kiełbasę, jabłka i czereśnie. Po południu, po pracy, dołączają do nich Rafał i Grzegorz z dwiema butelkami schłodzonej wódki. Po kilku kieliszkach i godzinach w słońcu dziewczynom kręci się w głowie. To, co zostało, pakują do wiklinowych koszy i podśpiewując, kierują się w stronę wsi.

Przy ulicy Piątkowskiej Mirka dostrzega zielonego żuka zaparkowanego obok warzywniaka.

– To tego pedała? – mówi niewyraźnie.

Rafał przytakuje. Kobiety przypatrują się przez chwilę, po czym ruszają w stronę domu.

2.

Środa, 31 lipca 1990

Ubrany w materiałowe spodnie i lekko przykurzoną flanelową koszulę starszy mężczyzna z głębokimi zmarszczkami na twarzy wychodzi przed drewnianą chałupę. Mruży oczy. Dzień jest słoneczny, niebo bezchmurne. Niespiesznym krokiem podchodzi do stodoły. Z kieszeni wyjmuje pęk kluczy. Kilka mocniejszych ruchów i kłódka ustępuje.

Po chwili ze stodoły roznosi się dźwięk odpalanego silnika. Kazimierz Krzeszewski, rolnik spod Łodzi, wyjeżdża motorowerem na zbitą, piaszczystą drogę i rusza, zostawiając za sobą chmurę czarnego dymu. Chwilę przed siódmą przejeżdża przez pobliski las, jedzie na północ, w stronę wsi. Nie wie jeszcze, że ceny zboża, którymi zaprzęta sobie od wczoraj głowę, za chwilę staną się dla niego zupełnie nieistotne.

Z oddali, między drzewami, widzi mieniące się w słońcu kamienne groby. Cmentarz w Głownie leży tuż przy lesie. Stare pomniki, dużo przasných, kolorowych wieńców. Krzeszewski skupia się tylko na tym, by nie najechać na żaden większy kamień albo nie wjechać w dziurę. Nagle z odległości około pięciuset metrów dostrzega stojący na środku drogi samochód. Zwalnia. To ciemnozielony żuk.

– Kiedy dojeżdżałem do auta, nie widziałem nikogo, ale od razu poznałem, że to blaszak Lanca. Znam go z widzenia, to właściciel młyna – dwie godziny później powie policjantom.

Tymczasem jego uwagę zwracają otwarte na oścież drzwi auta od strony kierowcy.

– Pomyślałem, że poszedł do lasu za potrzebą. Odruchowo spojrzałem w prawo i wtedy zobaczyłem gołe nogi – doda w zeznaniach.

Pozostała część ciała, którą zauważył rolnik, przykryta jest ściółką i liśćmi, twarzy nie widać. Ciało Jakuba Lanca, właściciela młyna z Boczków Domaradzkich, wygląda jak antyczna rzeźba. Jest nagi i blady.

W momencie gdy rolnik rozgląda się w panice, między drzewami przemyka mężczyzna.

Krzeszewski podczas zeznań:

– W lesie, gdy już podjechałem bliżej, widziałem jakąś postać. Była odwrócona tyłem, chowała się przede mną, wyskakiwała zza drzewa i chowała za kolejnym. Był to raczej mężczyzna, takie miał ruchy. Ubrany w coś niebieskiego, wyglądało jak spodnie teksasy. Nie patrzyłem na niego dłużej, bałem się jak diabli.

Rolnik wskakuje na motorower i odjeżdża. Nie dostrzega, że między zwłokami a samochodem leżą połamane okulary i damskie figi.

*

Na rynku w Głownie jak co dzień o tej porze gwaro i tłoczno. Przy południowej ścianie ktoś sprzedaje tureckie dywany, na następnym stoisku można kupić pirackie kasety magnetofonowe, a otyły mężczyzna winduje ceny za ziemniaki. Zasapany Krzeszewski rozgląda się, poszukując jakiejś znanej twarzy. Jak na złość nikogo nie dostrzega.

Między straganami miga mu policyjna czapka. Młody policjant sprawdza dokumenty starszej bukieciarce.

– Panie mili... policjancie! – przerywa ich rozmowę Krzeszewski. – W lesie jest ciało.

– Co pan? Jakie ciało?

– No Jakuba. Golusieńki w lesie leży.

– Co pan bredzi? Następny pijany od rana... Może dokumenty pan pokaże – denerwuje się policjant.

– Dokumenty? – Krzeszewski wpada w panikę. Rozgląda się i wbiega między targujących się mężczyzn.

Policjant macha za nim ręką, ale gubi go z pola widzenia. Rolnik biegnie co tchu, przystaje dopiero za rynkiem. Łapie zadyszkę.

– Kazik? – podchodzi do niego starszy mężczyzna.

– Jurek! – Krzeszewski trzyma się za serce. – Z nieba mi spadłeś. Pracowałeś kiedyś na milicji, znasz tam ludzi. Idź i powiedz, że w lesie są zwłoki. Tobie uwierzą.

– Jakie zwłoki?

– Lanca. Właściciela młyna z Boczków. Niedaleko cmentarza, przy drodze. Od Głównej to jakieś siedemset metrów.

*

Pierwsi na miejscu zbrodni są policjanci z komendy w Zgierzu i miejscowa prokurator, ale chwilę później ze służbowego volkswagena passata wysiada też inspektor Marek Malina z Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi.

Dookoła funkcjonariuszy krąży pies policyjny. – Nie podjął żadnego śladu – rzuca Malina, spoglądając na prokuratora. Wszyscy stoją obok żuka, przy otwartych drzwiach auta, i patrzą na zwłoki mężczyzny ubrane jedynie w skarpety.

Na jego ciele widać otarcia i zaczerwienienie w okolicy szyi. Lewa ręka leży na klatce piersiowej. Ciało przysypane jest ściółką.

– Inspektorze, znaleźliśmy też spodnie z teksasu, sportowe buty i damskie majtki – donosi jeden z podopiecznych Maliny.

– Zabezpieczyć.

Młodszy policjant podchodzi do auta. W plastikowych woreczkach są już: okulary w drewnianej oprawie, budzik, wkładka do buta, portfel, dokumenty, czterdzieści trzy tysiące złotych, pusta butelka po winie, pierścionek z białym oczkiem, paczka herbaty Yunnan oraz papierosy Carmen i Klubowe.

– To musiała być kobieta – komentuje drugi policjant.

– Skąd by miała tyle siły? – pyta go Malina.

– Nie wiem... Ale te majtki, ten pierścionek.

– Młody, lekcja numer jeden: nie bądź pewien, że to, co widzisz, zawsze jest prawdą.

*

Policjanci spoglądają po sobie z nieufnością. Wysoka, elegancka kobieta z tapirem na głowie czyta protokół oględzin z miejsca zbrodni oraz pierwsze ustalenia lekarza.

– Plamy pośmiertne umiejscowione odpowiednio do pozycji zwłok, gałki oczne minimalnie zwiotczałe, drobne otarcia na szyi, zranienia warg... Śmierć prawdopodobnie przez uduszenie gwałtownym ruchem poprzez zatykanie okolic ust, uciskanie szyi ręką lub rękoma. Zmarł przed kilkoma godzinami, najpewniej nad ranem – czyta Kowalewska.

– Ty też myślisz, że to kobieta? – szepcze młody policjant do kolegi, który stoi obok.

– Kto wie? Może tak go spiła, że i dała radę udusić? – mówi i śmieje się.

– Zawsze mówiłem, że kobiety są niebezpieczne.

– A was co tak śmieszy, panowie? – reaguje prokuratorka. Policjanci zwieszają głowę.

– Oni się wyrywają, żeby pogadać z matką ofiary – wkopuje ich Malina.

– Z matką? – krzywi się Janusz, jeden z jego podwładnych.

– Bez dyskusji – rozkazuje Malina. – Do roboty, panowie. Nie ma czasu, mamy normy do wyrobienia. No i żeby nam panika w miasteczku nie wybuchła.

Policjanci zakładają czapki i wychodzą z pomieszczenia. Na komendzie zostają tylko Malina z prokuratorką.

– Co pan myśli? – pyta kobieta.

– Myślę, że mamy dwie doby. Później będzie ciężko.

*

Władysława Lanc przez pierwsze minuty nie może wydusić z siebie słowa. Nie płacze, jakby nie była zaskoczona tym, co się wydarzyło. Policjanci, których Malina wysłał na rozmowę z matką, mieszają łyżeczką w szklance, objając ją o krawędzie. Rozglądają się dookoła. Dom rodziny Lanców jest duży i wiekowy. Na ścianach wiszą obrazy i zdjęcia, na szafkach szkło i rodzinne pamiątki. W kuchni piec na węgiel.

– Mamy jeszcze jednego syna, Zygmunta. On pracuje w wojskowości. A ja tu mieszkam z mężem i z Jakubem. To znaczy mieszkałam... – Kobieta patrzy tępym wzrokiem przed siebie. – Ja z mężem zajmowaliśmy jedną część domu, a syn pokoje z wejściem od podwórka. Był bardzo skryty,

małomówny, a jak mówił, to wszystko bardzo oględnie. Teraz widzę, jak mało o nim wiedzieliśmy.

– A może na coś się skarżył? – dopytuje delikatnie Janusz.

– Czy ja wiem. Chociaż... W ostatnią niedzielę narzekał na życie, że mu niedobrze. Ale bez żadnych konkretów. Po prostu czasem popadał w stany depresji. Był żonaty, ale dwa lata temu wziął rozwód. Utrzymywali kontakt.

– Dlaczego się rozwiedli?

– Nigdy nie pytałam go o prywatne sprawy – kobieta spokojnym ruchem dolewa policjantom herbaty. Mężczyźni widzą jednak, jak trzęsą się jej dłonie.

– Odwiedzał go ktoś ostatnio?

– Rzadko, czasami przychodził jakiś mężczyzna, ale ja go nigdy nie widziałam z bliska. Tylko zarys, cień. Te odwiedziny były późnym wieczorem i on przesiadywał u syna. Słyszałam auto, jak go syn odwoził i po chwili wracał. Może odwoził go na pociąg albo pekaes?

– Kolega, tak?

– No chyba kolega.

Policjanci ustalają, że matka Lanca jest współwłaścicielką młyna. Po raz ostatni widziała Jakuba poprzedniego dnia, po południu. Zjadł obiad, potem wziął materac z gąbki i wyszedł nad staw. Często tak robił. Lubił poleżeć, pomyśleć. Kobieta w tym czasie poszła do Waliszewa po drobne zakupy.

– Jak wróciłam, zapytałam męża, czy syn wrócił, a on: „Toto nasze to już gdzieś pojechało”. Syn miał samochód, zielonego żuka.

Wieczorem kobieta poszła spać, ale około drugiej w nocy obudziła się i zobaczyła, że u Jakuba świeci się światło. Usłyszała też skrzypnięcie drzwi. Zasnęła po chwili, spokojna, że syn jest już w domu. Ale rano zauważyła, że znów nie ma żuka, a garaż jest otwarty. Jakuba nie było w pokoju. Na stoliku stała tylko butelka z wiśniami w alkoholu i dwa kieliszki. Pusta.

Na dnie zostało kilka przejrzałych owoców.

3.

Czwartek, 1 sierpnia 1990

Fabryka Bistona w Łodzi początkowo nosiła nazwę Zakładów Przędz Teksturowanych, a po latach stała się Zakładami Przemysłu Dziewiarskiego. Jej budowa rozpoczęła w 1971 roku, a trzy lata później przedsiębiorstwo już działało. To była chluba władz komunistycznych, jedno z największych przedsiębiorstw tej branży w Europie. „Zakład bardzo szybko stał się jednym z najważniejszych dostawców syntetycznych przędz dla zakładów w całym kraju” – chwalił fabrykę „Dziennik Łódzki”. Zresztą nie tylko on. Szło tak dobrze, że zakłady odwiedził nawet ówczesny pierwszy sekretarz PZPR Edward Gierek.

– Nasza Bistona uchodziła za jednego z lepszych pracodawców w mieście – wspomina drobna kobieta, która siada przed Maliną. Policjant zdejmując granatową czapkę i kładzie ją na stół. – Wyposażenie było nowoczesne, budynki klimatyzowane, a nawet odpylane! Działała stołówka i sklep. Dobrze mi tam wtedy było. I to właśnie tam poznałam Jakuba. Kilka miesięcy później wzięliśmy ślub – opowiada.

Jakub Lanc pracował w Zakładach „Bistona” do czasu, kiedy ojciec przepisał na niego młyn. Elżbietę, swoją przyszlą żonę, wypatrył w hali produkcyjnej.

– Łączyły nas stosunki koleżeńskie, a po pewnym czasie dowiedziałam się, że Jakub jest homoseksualistą. Ponadto był alkoholikiem, pił codziennie. Ale mimo to zdecydowałam się mieć z nim dziecko – opowiada.

Malina, który zapisuje jej zeznania, ociera pot z czoła.

– Przepraszam. Nie dosłyszałem. Może pani powtórzyć?

– No mówię, że Jakub był moim mężem. Ale że był także homoseksualistą i alkoholikiem, i ja o tym wiedziałam, a i tak chciałam mieć z nim dziecko.

– Aha...

Kiedy powiedziała mu o ciąży, zaproponował małżeństwo. Zgodziła się, choć zdawała sobie sprawę, że nie stworzą „normalnej” rodziny. Po ślubie nawet nie zamieszkali razem.

– Chcę jednak zaznaczyć, że to mi w sumie pasowało. Bo inaczej ludzie ze wsi gadaliby: sama bachora wychowuje.

Po ślubie Elżbieta zamieszkała w Łodzi, a Jakub w Boczkach z matką i ojcem, by pracować w młynie. Po narodzinach małej Marysi młode małżeństwo mieszkało razem tylko przez kilka tygodni. To Elżbieta się wyprowadziła.

– A potem wystąpiłam z pozwem o rozwód, bez orzekania winy. Nasze kontakty ograniczyły się do odwiedzin córki u ojca, bo po orzeczeniu rozwodu władza rodzicielska nie została Jakubowi ograniczona. Miał zasądzone alimenty, płacił regularnie. Był dobrym ojcem, tylko nieodpowiedzialnym partnerem – kwituje.

Elżbieta i Jakub Lancowie ostatni raz widzieli się tydzień przed jego śmiercią. Między 7 a 27 lipca Elżbieta pomieszkiwała z córką w domu matki Jakuba.

– Pojechałam tam na wakacje z córką na zaproszenie dziadków. Moje kontakty z Jakubem ograniczały się do codziennych wspólnych posiłków – opowiada.

Podczas pobytu na wsi była żona zauważyła, że mężczyzna pije więcej niż wcześniej. 21 lipca do młyna przyszedł też nieznajomy mężczyzna, który dał mu zgrzewkę piwa. Długo rozmawiali, śmiali się. Oficjalnie widywali się w interesach, ale żona Lanca ma co do tego wątpliwości.

– KobiECE przeczucie – mówi.

Tego dnia około dwudziestej drugiej jej były mąż wraz z nieznanym mężczyzną wyjechał autem, po czym wrócił do domu kompletnie pijany. Elżbieta obserwowała go z okna pokoju, a teściowa następnego dnia doniosła jej, że syn spędził noc z nieznajomym. I że nad ranem gdzieś pojechali.

– 27 lipca przywiózł mnie samochodem do Łodzi. Wtedy widziałam go po raz ostatni – mówi kobieta.

– Coś panią zastanowiło w jego zachowaniu? – Malina marszczy brwi.

– To było dziwne, ale podczas mojej ostatniej wizyty Jakub wprost powiedział mi, że jest homoseksualistą. Ja o tym wiedziałam, ale nigdy nie chciałam rozmawiać. Dodał też, że nie ma stałego partnera. Nie wtajemniczał w te sprawy swoich rodziców.

Elżbieta nie wie, czy Lanc miał wrogów. Dużo pracował i dobrze zarabiał, interes w młynie kręcił się od kilku lat. A wieś? Jak to wieś. Plotkowała.

– Jakub twierdził, że z jednej strony widzi siebie mieszkającego w Boczkach z rodzicami, a jednocześnie uważał, że wieś go do końca nie akceptuje, bo jest inny. Nie interesowały go tematy rolnicze, lubił czytać książki. Wyróżniał się.

– A miał przyjaciół?

– Wiem, że miał znajomą w Łodzi, Czesławę. Traktował ją jak swoją powiernicę.

*

– No to jeśli homo, to już wszystko wiadomo – rzuca młody sierżant zadowolony z głupiego żartu.

– Co wiadomo? – gasi go Malina.

Sierżant zmieszany wyjmuje notatki.

– No wie szef... Pochodziliśmy po wsi, popytaliśmy.

– Dobra, mów. Tylko bez wygłupów.

Policjant streszcza, że między ofiarą a Ryszardem Białkiem dochodziło do scysji. W Łodzi znali się z pikiet. A Lanc, gdy mieszkał w Łodzi, sprowadzał do siebie młodych mężczyzn. Około ośmiu lat temu jeden z nich go nawet pobił.

– No, panowie. To jest coś – Malina nie kryje zadowolenia. – To co, niezapowiedziane odwiedziny u tego, jak mu tam? Białka?

*

Ryszard Białek chodzi niespokojnie po wąskiej kuchni i pokrzykuje.

– On był moim najlepszym kolegą! Poznałem go w liceum. Kilka lat temu rzeczywiście się poszarпалиśmy, ale nawet nie pamiętam dlaczego. To za dużo alkoholu – rzuca rozemocjonowany.

– I chce pan powiedzieć, że nie byliście razem? – przyciska go Malina.

– My? Razem? Jakie razem?! – Mężczyzna czerwieni się ze złości. Policjanci mają wrażenie, że zaraz rozniesie dom. A to uboga drewniana chata opalana piecem, z dwiema izbami.

– Lanc był homoseksualistą – mówi policjant.

– Panowie! Co wy? I dlatego, że on był, ja też mam być?!

– Mów prawdę. I przestań się wydzierać – denerwuje się Malina.

– Słuchajcie, ja pod koniec lat sześćdziesiątych zacząłem podejrzewać, że Jakub jest gejem. On mi zresztą powiedział o tym wprost parę lat później. Spotykaliśmy się towarzysko. Piliśmy i rozmawialiśmy. Jak koledzy.

– I o czym rozmawialiście?

– O wszystkim, ale najwięcej o polityce! – mężczyzna znów pokrzykuje.

O politykę też się z Lancem pokłócił. Ale jako że kilka miesięcy później miał się żenić, postanowił załagodzić sytuację i zaprosić go na ślub. Po weselu znów zaczęli się kolegować.

Białek, przyciskany przez policjantów, przyznaje w końcu, że na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych jeździł z Lancem na łódzkie pikiety. W miejsca, gdzie Jakub poznawał innych mężczyzn. Policjantów nie dziwi, że był to m.in. dworzec Łódź Fabryczna. Wypiera się jednak, by sam był zainteresowany kontaktami z nimi. Jeździł tam dla towarzystwa i z ciekawości.

– A gdy Lanc znajdował sobie kogoś, to albo wracałem do domu, albo szedłem do mieszkania jego przyjaciółki Czesławy. Spotkania te były zawsze w nocy, więc nie zawsze miałem możliwość powrotu na wieś. Byłem na paru takich wypadach, ale tuż przed ślubem przestałem to robić.

– Lanc też miał żonę – zauważa Jarek.

– Ale ja bym swojej nie oszukał!

Białek opowiada, że po ślubie spotykał się z Jakubem raz w miesiącu. Pomagał mu w gospodarstwie albo młynie, zawsze spontanicznie. Pili alkohol, mniej więcej pół litra na dwóch. Jego zdaniem Lanc był alkoholikiem, a pod wpływem stawał się agresywny. No i niewątpliwie był egocentrykiem.

– To co, może zaprosimy tutaj twoją żonę? – Malina uchyla drzwi. Do kuchni wchodzi przestraszona chuda kobieta. – Zofia Białek – mówi cicho, spoglądając nerwowo na męża i na policjantów. – Męża poznałam w 1983 roku i po trzech miesiącach pobraliśmy się. Tuż przed ślubem poznałam Lanca, bo był najlepszym kolegą męża. Po ślubie widywali się rzadziej, a to wszystko przez obowiązki małżeńskie. Mąż po prostu nie miał czasu.

– Wiedziała pani...

– ...że on jest homo? Tak. Po ślubie mąż opowiedział mi o Lancu i uprzedził o zbrodniach, bym w przyszłości nie popełniła żadnej gafy. W młodości podobno Lanc ubierał się charakterystycznie, lubił wypić i swoje skłonności ujawniał po wódce. Miał też kobietę z Łowicza. Na co dzień był jednak normalnym człowiekiem. Był skryty i sprawy swoje załatwiał tak, żeby nikt o niczym nie wiedział. Nie wiem, skąd brał partnerów. Przypuszczam, że z Łodzi.

– A pani mąż? – nie ustępuje Malina.

– Ale o co pan pyta? Mój mąż nie jest homo! Współżyjemy normalnie. A nawet ogląda się za innymi kobietami, jak każdy normalny mężczyzna. Z Lancem po prostu długo się znali. Gdy Lanc był pijany, to w stosunku do mnie nie był ani agresywny, ani natrętny. Czasami tylko się kłócili.

Policjanci pokazują małżeństwu okulary i pierścione. Białkowie kręcą głowami i wzruszają ramionami.

Malina wychodzi z drewnianej chaty lekko skołowany.

– Dobra, to jeśli nie Białek, to może ktoś ze wsi? – Młodszy funkcjonariusz otwiera drzwi policyjnego auta przed przełożonym.

Kolejni policjanci chodzą od domu do domu, wypytyując sąsiadów o ostatnie dni życia Lanca. Od ludzi słyszą, że rodzina Lanców była

oddalona od reszty wsi.

– Mieli pieniądze, dużo jak na nasze warunki – mówią sąsiedzi. Ojciec Lanca pochodził z rodziny dawnych młynarzy, zawsze powodziło im się lepiej niż innym.

– Głowy nosili wyżej niż inni, ale czy mieli wrogów? Nie sądzę – mówi właścicielka małego spożywczaka.

– Kilka lat temu zaczęły chodzić słuchy, że Lanc jest homo. Od mieszkańców okolicznych wsi słyszałem. Ale nikt mu chyba z tego powodu nie dokuczał – komentuje kolejny mieszkaniec, który zaparkował rowerem przed jedynym we wsi sklepem. – Byłem u niego parę razy. Wypiliśmy trochę wódki, ale Lanc nie mógł dużo pić, już po paru głębszych kołowało mu się w głowie.

Z kolejnych plotek: w szkole najbardziej kolegował się z Białkiem. Miał też brata, który co niedzielę przyjeżdżał do rodziców w odwiedzinach, Lanc pijany jeździł po mieście, a jak było gorąco, to nawet rozebrany do połowy, w samych spodenkach. Dziwny był, kontrowersyjny, mówią mieszkańcy. Nosił okulary w drewnianej oprawie, nad rzekę nie chodził się kąpać, a jak już, to tylko opalać.

4.

Piątek, 2 sierpnia 1990

Czesława Włodarczyk podczas przesłuchania nie kryje zdenerwowania. To z nią Lanc pracował w Łowiczu i o niej wspominała policji jego była żona oraz Białek.

– To był mój najlepszy przyjaciel! – zawodzi.

Z Lancem poznali się we wrześniu 1970 roku, gdy przyszedł do zakładów przemysłu pończoszanego. Lanc mieszkał na stacji, Czesława miała swoje mieszkanie, ale kolega coraz częściej ją odwiedzał. W końcu się zaprzyjaźnili. Po roku doszło między nimi do zbliżenia, ale Lanc traktował

ją jak przyjaciółkę, a ona jego jak młodszego brata. – Jakub zwierzył mi się ze swoich skłonności. Powiedział, że woli spotykać się z chłopakami. Winił za to swoją matkę. Staralam się mu pomóc, ale wiedziałam, że to nieuleczalne – mówi kobieta.

W tym czasie Jakub poznał mężczyznę o pseudonimie Cygan. Młody, przystojny, mówili o nim, że tak jak Lanc ma „duszę artysty”. Pod koniec lat siedemdziesiątych Jakub spotykał się ze studentem z Gdyni. Pisali do siebie listy, ale znajomość nie przetrwała próby odległości. Lanc mieszkał wtedy w Łodzi i kolegował się z Białkiem.

– Tyle że ten Białek... – waha się Czesława.

– Co z nim? – przyciska ją policjant.

– Kiedyś leczył się na schizofrenię, zachowywał się nietypowo. Mimo że był przyjacielem Jakuba, to wiele razy mówił mi, żebym nie utrzymywała z nim znajomości. On twardo patrzył na życie, a Lanc często zabierał łebków z autostopu i dużo pił. Niby przyjaciele, ale takie dwie różne osobowości. To było dziwne.

Lanc, mieszkając u Czesławy, regularnie odwiedzał dworzec Łódź Fabryczna i park Na Zdrowiu. Któregoś dnia został tam pobity. Czesława opiekowała się nim przez dwa tygodnie.

Jakub nie zgłosił sprawy na policję.

– Nic go to nie nauczyło. Znów przyprowadził do domu młodych mężczyzn, którzy go okradli – opowiada Czesława. Tym razem zgłosił sprawę, a sprawcy zostali skazani.

– Co więcej, kilka lat wcześniej też został pobity. U mnie, w mieszkaniu, gdy byłam na wakacjach. Zostawiłam mu klucze, on zaprosił nieznajomego. Nawet sąsiedzi do mnie dzwonili, że są hałasy w mieszkaniu i żeby coś z tym zrobić.

Jakub i Czesława po raz ostatni widzieli się 27 lipca. Wtedy Lanc opowiedział jej o zabawie we wsi. Był tam przez chwilę, a potem pojechał do Łodzi, by kogoś poznać. Po drodze zatrzymał go autostopowicz i Lanc zawiózł go do siebie. Później Jakub odwiedził tego mężczyznę w Łodzi.

Czesława nigdy go nie poznała, ale on zawsze na niego narzekał: że się czepia, że jest kłótniwy.

Na wiejskiej imprezie Jakub był zestresowany. Czuł, że na wsi wszyscy wiedzą o jego orientacji. Nocą, gdy ludzie wracali z zabawy, zatrzymali się pod jego oknem i krzyczeli „pedał”

– A jego matka? – pyta policjant.

– Oficjalnie nie wiedziała, że jest homo. Ale wiadomo, plotki szybko się po wsi rozchodzą.

Policjant pokazuje Czesławie majtki, damskie figi, zegarek, budzik, pierścionek – rzeczy znalezione w lesie tuż obok zwłok Lanca.

– Budzik jest mój. Popsuł mu się, więc mu pożyczyłam. Pierścionka nie znam, okulary są Jakuba, a białe figi kupił sobie sam.

– Lanc? Figi?

– No tak. Jakub lubił damskie ciuszki.

✱

Na komendzie zeznaje też Zygmunt Lanc, brat Jakuba. Po raz ostatni bracia widzieli się dwa dni przed zabójstwem. – Nie widziałem w jego zachowaniu nic nadzwyczajnego. Wiadomość o jego śmierci mocno mnie zaskoczyła – mówi mężczyzna.

– Nasze kontakty były dość częste, ale niezbyt głębokie. Co tydzień odwiedzałem rodziców, czasem wstępowałem do niego. Oficjalnie nie wiedziałem o jego kontaktach homoseksualnych, ale domyślałem się, kim naprawdę był.

Według Zygmunta wszyscy ze wsi wiedzieli, że Lancowi bardzo dobrze się powodzi. Jakub nosił gotówkę przy sobie, miał konto dewizowe.

– Matka mówi, że w pokoju mógł trzymać nawet kilka milionów. Niestety, nadużywał alkoholu – mówi Zygmunt, nie dając po sobie poznać żadnych emocji. – Dwa razy z nim o tym rozmawiałem, ale on twierdził, że jest uzależniony i nic już z tym nie robi. Nie leczył się. A szkoda, bo ostatnio dowiedziałem się od jego byłej żony, że kiedyś podjął leczenie

z homoseksualizmu poprzez akupunkturę i wizyty u psychologów. Ale nic z tego nie wyszło.

5.

Sierpień-październik 1990

Na początku sierpnia o sprawie zabójstwa dowiaduje się komisarz Stanisław Laszczuk, naczelnik pionu kryminalnego w łódzkiej komendzie wojewódzkiej.

Awansował szybko. Bez znajomości i koneksji, co w tych czasach zdarza się rzadko. U Laszczuka przełożeni docenili umiejętność analitycznego myślenia i determinację, której wtedy w policji brakowało najbardziej.

O pomoc przy rozwiązaniu zagadki śmierci młynarza spod Zgierza prosi go Malina. Znają się jeszcze ze szkoły milicyjnej. Od dwóch lat pracują w tej samej jednostce i nie pierwszy raz działają razem. Rozbijali już pierwsze gangi przemycające papierosy i alkohol, a pod koniec ubiegłego roku zatrzymali trzon grupy, która pierwsza w Łodzi wprowadziła do miasta sieć agencji towarzyskich.

Dziś Laszczuk jest o piętnaście kilo szczuplejszy niż w szkole. Jada mało i rzadko. Do domu wraca na kilka godzin snu, czym swoją małżonkę wprowadza w stan permanentnego niepokoju.

Już po kilku dniach po przejrzaniu notatek Laszczuk typuje możliwych zabójców Lanca. Według niego to krąg osób ze środowiska homoseksualnego, które często legitymowane są w rejonie łódzkich pikiet. Lista, którą przygotował, jest długa: Majchrzak, Widzyk, Rychta, Wach, Heinrich...

Ostatni z listy przesłuchiwany jest jako pierwszy.

– To może być on – typuje Laszczuk. – Nie raz go obserwowaliśmy, normalny to on nie jest.

Mężczyzna po pięćdziesiątce, bez zawodu, na rencie, od podstawówki leczy się w poradni zdrowia psychicznego. Opiekują się nim rodzice.

– Moje kontakty homoseksualne urwały się około pięciu lat temu – mówi. – W ubiegłym roku napadli mnie pod Dworcem Fabrycznym, a niedługo odbędzie się sprawa, bo złapano tych, co mnie... No.

– Skoro, jak sam mówisz, urwałś kontakty homoseksualne, to co robiłeś pod dworcem? – dociska go Laszczuk, który od razu wziął się do przesłuchania typowanych.

– Byłem tam przypadkiem, czekałem na autobus – tłumaczy się mętnie mężczyzna.

Laszczuk pokazuje mu zdjęcie Lanca. – Nie znam, nie wiem, jak się nazywa, nigdy go nie widziałem. Przyrzekam.

To samo kolejni. Twierdzą, że nie znają Lanca. Nigdy go nie spotkali, nie wiedzą, kim jest ani gdzie mieszka. O Głównie ani tym bardziej o Boczkach Domaradzkich też nie słyszeli. Tylko jeden z nich mówi: – Zdaje się, że znam go z widzenia. Być może był ze dwa albo trzy razy w szalecie publicznym przed kinem Młoda Gwardia. To było jakoś w tym roku, za każdym razem wchodził tam samotnie. Ale co tam robił i z kim, to ja już, panowie, nie wiem.

– Czyli to nie oni. – Malina spogląda na Laszczuka.

– Ja bym się nie poddawał – szepcze Laszczuk. – Chodźmy za kolejnymi tropami, ale nie porzucajmy żulerskiego. Mam przeczucie, że to któryś z nich.

*

Po kilku dniach policjantom udaje się ustalić sprawcę pobicia Jakuba Lanca sprzed lat. Tyle że mężczyzna nie żyje. Od kilku dni.

Na komendę zapraszają jego młodszą siostrę.

– 5 września nad ranem do mojego mieszkania przybiegł znajomy, krzycząc, że mój brat nie daje oznak życia. Ojciec zadzwonił na pogotowie. Brat rzeczywiście nie żył. Leżał w wannie. I jak sądzę, przyczyną jego śmierci było upojenie alkoholowe. Sekcji zwłok jednak nie zrobiono.

- A wie pani, co robił pani brat 30 i 31 lipca? – pyta Laszczuk.
- Nie mam pojęcia – dziwi się dziewczyna.
- A sprawa pobicia Lanca? – dopytuje ją policjant.
- Rzeczywiście, kiedyś z kolegą go pobili i zabrali mu jakieś rzeczy. Odpowiadali za to przed sądem i zostali skazani. Ale czy potem się kiedykolwiek widzieli? Nie wiem.

*

Tymczasem w Boczkach Domaradzkich huczy od plotek, które w końcu docierają do komendy wojewódzkiej.

– Podobno Jakub Lanc zakochał się w młodym chłopaku z okolicy, a on go nie chciał. – Zziębnięty sierżant wbiega do pokoju Maliny.

– Ochłoń, młody, spokojnie...

– I podobno jego żona o tym wiedziała. – Siada zdyszany na krześle.

Malina po trzydziestu minutach staje pod niskim, szarym blokiem, w którym mieszka była żona Lanca z córką. Puka do drzwi. I wprasza się na herbatę.

– Tak jak mówiłam, nie wiem nic o bliższych kontaktach mojego męża z mężczyznami. Mimo chęci nie mogę pomóc. – Kobieta patrzy prosto w oczy policjantowi.

– I nie słyszała pani o tym, że spotykał się z dużo młodszymi? We wsi mówią co innego.

– Teraz ludzie mówią, co chcą, bo on nie żyje. Słyszałam o tych plotkach, że zapoznał w młynie młodego chłopaka, ale tam codziennie było dużo osób. Nie wiem, ile w tym prawdy.

– Proszę nie kłamać. Ma pani dziecko. I chyba niedobrze byłoby, gdyby ktoś zarzucił pani składanie fałszywych zeznań.

Elżbieta już widzi, że nie warto dalej brnąć.

– No dobrze – mówi w końcu i wzdycha głęboko.

Opowiada, że gdy była u niego z córką na wakacjach, Jakub przyznał się jej, że podoba mu się szesnastoletni chłopak. Przyjeżdżał do młyna z ojcem.

– On często mówił dziwne rzeczy, u niego pojawiały się stany depresyjne. I on to powiedział prawdopodobnie tylko po to, żeby powiedzieć coś kontrowersyjnego. A to wszystko przez alkohol.

– Czyli jednak...

– Nigdy nie mówił, że się z młodymi spotykał!

– Coś jeszcze się pani przypomniało? – pyta złośliwie Malina.

– Tak... – Kobieta zawiesza głos. – Jakub tydzień przed morderstwem powiedział mi, że nie lubi lipca. Że to dla niego najgorszy miesiąc.

6.

Marzec-czerwiec 1991

Matka Jakuba krząta się po pokoju syna. Minęło ponad pół roku, od kiedy go zamordowano. Z półek ściera kurz, otwiera też szufladę. W głębi, między komiksami, które bardzo lubił jej syn, dostrzega pogiętą karteczkę. To mandat policyjny. Kobieta dzwoni do drugiego syna, a on do komendy wojewódzkiej, do Maliny.

Mandat, który znalazła matka Lanca, to tak zwana karta MKR-5, druk używany podczas legitymowania obywateli. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że mandat nie był wypisany. To pusty druk z pieczętką policjanta, który miał go przy sobie podczas patrolu.

– Znaliście Lanca? – Laszczuk siada naprzeciwko młodych policjantów, którzy wypisali dokument.

– Ja? My? Jakiego Lanca? – Patrzą po sobie.

– Utrzymywaliście z nim kontakty? – ciśnie Malina.

Mężczyźni początkowo myślą, że starsi rangą koledzy w coś ich wkręcą. Ale gdy orientują się, że Malina nie żartuje, zaczynają panikować.

Po chwili na biurku lądują zdjęcia ofiary z lasu. Na wydrukach nagie, posiniaczone ciało przykryte ściółką leśną. Policjanci znów spoglądają

z niedowierzaniem na siebie. Nie wiedzą, skąd Lanc miał ich druki w mieszkaniu. Sugerują, że być może wypadły im na służbie lub podczas zatrzymywania kogoś, gdy za kimś biegli.

– Może je znalazł i sobie wziął? – zastanawiają się na głos.

Malina wierzy policjantom, ale Laszczuk dla pewności pobiera od nich ślady linii papilarnych i zarządza przeprowadzenie ekspertyzy.

– Co ty ich tak ciśniesz? Widać, że nie mają z tym nic wspólnego – pyta Malina, kiedy wsiadają do granatowego poloneza.

Laszczuk nawet nie drgnie. Zbyt dobrze pamięta historię porucznika z Gdańska, który pod koniec lat osiemdziesiątych został anonimowo oskarżony o bycie „czynnym homoseksualistą” i prywatne spotkania z trójmiejskimi gejami. Młody porucznik robił szybką karierę, gdy z powodu anonimowego donosu runęło mu życie. Służby zaczęły go dokładnie sprawdzać. Prześwietlono jego historię, rodzinę i bliskich. Ostatecznie oczyszczono go z zarzutów, ale kariery już nie zrobił. A Laszczuk do dziś uważa, że takie plotki nigdy nie powstają bez powodu.

7.

Czerwiec-sierpień 1991

Za okna auta, które powoli przemieszcza się w okolicach ulicy Narutowicza, Laszczuk obserwuje ulicznych handlarzy. Na rogu sznur ludzi stojących przed okienkami PKO. Laszczuk wie, że w sprawie Lanca stracił wszystkie tropy. Że jeśli nie wydarzy się cud, sprawa zostanie zamknięta.

Cud niełatwo wymodlić, ale okoliczności sprzyjają. Na początku czerwca z czwartą pielgrzymką do Polski przyjeżdża Jan Paweł II. Siły policyjne z całego kraju mobilizowane są do pilnowania porządku. I choć tym razem papież omija Łódź, wielu miejscowych funkcjonariuszy wysyłanych jest do Radomia, Łomży czy Białegostoku, by wesprzeć kolegów. Zgłasza się też Laszczuk.

– Prezydent Lech Wałęsa odmówił podpisania ustawy o ordynacji wyborczej. Czy to początek sporu z Sejmem? – słyszy policjant, odpalając swojego poloneza, który zgasł mu na światłach. Ale politykę Laszczuk ma gdzieś. Po głowie chodzi mu jedno: akcja „Hiacynt”, przypadek policjanta z Gdańska oraz łódzkie pikiety. Do tego akta ze śledztwa w sprawie Wawrosa i Jeżyka, które dzień wcześniej trafiły na jego biurko. Choć bardzo się stara, trudno mu odrzucić myśl, że w Łodzi gejów zabija seryjny morderca. – Tylko po co jechałby aż do Zgierza? – zastanawia się, stojąc w korku na Kilińskiego.

Laszczuk wyjeżdża poza Łódź. Po kilkudziesięciu minutach podjeżdża pod bramę cmentarza w Głownie. Spotyka tam dwóch pracowników: kobietę, która pracuje w administracji, i grabarza. Policjant wypytuje o klucze do bramy, przegląda księgi cmentarne, przeczesuje pomieszczenie gospodarcze. Nie wiedząc już, czego się trzymać, wpada na najprostszy pomysł. Gdzie znaleziono zwłoki? Przy cmentarzu. Kto mógł zabić? Pracownik cmentarza.

Sam już nie wierzy w to, co robi. Ale jeszcze próbuje.

Tak jak prokurator Agata Lubińska, która przeklina pod nosem swoją wiecznie zacinającą się maszynę do pisania. Być może kobieta nie denerwowałaby się tak bardzo, gdyby wiedziała, że właśnie w Polsce wysłano pierwszego w historii e-maila. I że niedługo stare maszyny zastąpią zajmujące połowę biurka komputery i monitory.

Tymczasem wystukuje na niej: „Postanawiam umorzyć śledztwo w sprawie zabójstwa przez uduszenie w wyniku zagardlenia i zatykania otworów oddechowych Jakuba Lanca, którego zwłoki znaleziono w Głownie, na terenie województwa łódzkiego, w dniu 31 lipca 1990 roku”

Tego samego sierpniowego dnia, gdy prokuratorka pod zdaniem o „niewykryciu sprawcy” stawia pieczętkę i składa swój podpis, Laszczuk znów odwiedza cmentarz w Głownie. Staje nad grobem Lanca. Nagrobek z modnego wówczas lastryko ozdobiony jest sztucznie połączanymi literami, które układają się w imię i nazwisko ofiary oraz formułkę o wiecznym odpoczywaniu.

Intuicja podpowiada mu, że to nie koniec. Wie, że zabójca znów się ujawni.

ROZDZIAŁ VIII

Jan Gąszcz

Miejsce: Łódź

Czas: 1992

Śledczy: Stanisław Laszczuk, komenda wojewódzka policji

1.

Poniedziałek, 24 lutego 1992

Banery reklamowe, którymi zalewana jest Łódź, trzeszczą przy każdym podmuchu. Jest dziesięć stopni mrozu, ciemno. Polonez caro ostro wchodzi w ostry zakręt i podjeżdża pod piętrowy niski budynek na skraju Śródmieścia i Bałut. Do środka wchodzi pewnym krokiem. Kilkanaście minut wcześniej Laszczuk odebrał telefon w mieszkaniu. – Ożeż kurwa, nie miał kiedy... – denerwuje się po odłożeniu słuchawki. To miał być wieczór dla rodziny. Obiecał, że weźmie synów na hamburgery do ulubionego baru przy Piotrkowskiej. W miejscu, w którym za dwa lata powstanie pierwszy w Łodzi McDonald.

– Muszę jechać – mówi chłopcom, odwracając głowę, żeby znów nie patrzeć im w oczy. I nie widzieć rozczarowania. Żona odwraca się tylko plecami.

*

Zwłoki starszego mężczyzny leżą nieruchomo na środku pokoju. Na szyi ma zawiązaną pętlę z przewodu elektrycznego. Przewodem oplecione są też jego ramiona. Dookoła brunatna plama krwi. Mężczyzna ubrany

w biały podkoszulek i kalesony ma widoczne rany głowy, barków, jamy ustnej. I otwarte oczy. Zmarły to Jan Gąszcz, właściciel budynku.

– Zabójstwo, znowu? – mówi do Laszczuka Aurelia Garbowska, która właśnie pojawiła się na miejscu i stanęła w drzwiach.

– Nie ma wątpliwości – odpowiada Laszczuk, uśmiechając się do kobiety. Znają się od lat.

– Zabezpieczyć ślady – rzuca policjant do techników, spoglądając na dwie szklanki i butelkę po wódce na stoliku przy ścianie. – Czyli tuż przed śmiercią kogoś u siebie gościł. Kogoś, kogo znał.

– Albo dopiero chciał poznać... – dopowiada Aurelia. – Coś ci to przypomina?

*

Małe mieszkanie, w którym znaleziono ofiarę, znajduje się na parterze. Pokój, kuchnia, łazienka. Wyblakły tapczanik i szafka ze złamaną nóżką. Obok stolik, na nim szklane naczynia. Kuchnia prowizorycznie urządzona. Łazienka wymaga gruntownego remontu. Do tego w każdym z pomieszczeń walają się pudła z chemią z Niemiec i miękkim, zagranicznym papierem toaletowym.

– Świadkowie? – pyta młodszego technika Laszczuk, bierze do ręki pudełko proszku i próbuje przeczytać zagraniczną etykietę. Gdyby zabójstwa dokonano miesiąc wcześniej, pewnie byłby tu z Maliną, ale podoficera przeniesiono do pionu kryminalnego w Komendzie Głównej. Awansował szybciej niż Laszczuk, co u naczelnika wydziału kryminalnego w łódzkiej komendzie wywołało mieszaną gniewu i zazdrości. Od tej pory nie mają kontaktu.

– Czekają na piętrze, szefie – melduje posłusznie policjant.

Mężczyzna i kobieta, oboje po pięćdziesiątce, siedzą na wąskim narożniku. Przed nim stolik z popielniczką, w środku kilkanaście petów. Para wynajmowała od Gąszcza pokój. To oni znaleźli zwłoki.

– W weekend nas tu nie było. Wyjechaliśmy do rodzin. I jak wróciliśmy, zapukaliśmy, żeby zapłacić – zaczyna kobieta.

– W kuchni paliło się światło – dodaje jej partner. – Nie otwierał, więc weszliśmy. No i on tam leżał.

Laszczuk prosi ich, by opowiedzieli o swoich stosunkach z właścicielem, ale nie dowiaduje się niczego szczególnego.

– Nie rozmawialiśmy za dużo, tylko tyle co o pogodzie albo cenach. Czasami wypięło się piwo i obejrzało wspólnie jakiś teleturniej. Ale każdy żył swoim życiem.

– Może sąsiadka z naprzeciwka będzie coś wiedziała? Znali się dobrze, często odwiedzali – zastanawia się na głos kobieta.

W drzwiach staje chuda, wysoka czterdziestoparolatka. Jest tak blada, że Laszczuk od razu podsuwa jej krzesło.

– O, pani Halino, pani z nieba nam spadła! – krzyczy na jej widok lokatorka. – Właśnie o pani wspomniałam!

– Widziałam, że policja przyjechała, przyszłam zobaczyć, co się stało... – mówi. – O mój Boże, ktoś go zabił, tak? Wiedziałam, że tak się stanie!

– Co pani? – Laszczuk, do tej pory milczący i trochę znużony, spogląda z ożywieniem na kobietę, która w końcu osuwa się na krzesło. – Całe życie mu mówiłam, żeby nie zapraszał do siebie obcych mężczyzn! – wykrzykuje znajoma ofiary, a Laszczuk sięga do kieszeni po paczkę papierosów.

*

W piątek, 21 lutego Jan Gąszcz gościł u siebie mężczyznę. Około dwudziestej pierwszej trzydzieści zaprosił też sąsiadkę. Kobieta wspomina, że Jan prowadził samotny tryb życia. Jego rodzina mieszkała poza Łodzią, nie utrzymywali zbyt bliskich kontaktów. Jan, choć nie był wykształcony, według sąsiadki był bardzo zabawny i pomocny. Żony nie miał, bo był homoseksualistą.

Kobieta pamięta jeszcze z tego wieczoru, że Jan szybko się upił.

Lokatorzy, którzy przysłuchują się rozmowie, kiwają głowami. Sami nieraz widzieli, jak przychodzą do niego obcy faceci. A kobiety, oprócz sąsiadki, raczej nigdy.

– Dobrze, proszę mówić dalej. W ten piątek... – Laszczuk naprowadza sąsiadkę.

– No właśnie!

W ten piątek, gdy po raz ostatni się widzieli, sąsiadka siedziała z nimi ponad godzinę, ale dość szybko się znudziła. Nieznajomy, który był u Jana, w ogóle nie był rozmowny. Pił tylko wino i co chwilę patrzył na gospodarza. Sąsiadka pozwoliła sobie nawet na uwagę: w kuchni zasugerowała Janowi, że nie jest to chyba najlepszy pomysł, by spotykać się w domu z obcymi. Ale on nigdy jej w tej sprawie nie słuchał.

– Pamięta pani, jak wyglądał ten mężczyzna? – pyta ją Laszczuk.

– No tak... Dość szczupły, wysoki, ale też bez przesady. Może miał jakiś tatuaż przy oku, ale w pokoju było dość ciemno. Trudno powiedzieć. I coś z dłońmi było nie tak, bo często chował ją w mankiet koszuli.

– A jak się nazywał? Przedstawił się?

– Oj, nie pamiętam. Robert? Rafał? Roman? W ogóle nie zainteresowała mnie jego osoba. A można powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Odstraszyła, choć trudno mi powiedzieć dlaczego.

– Czy Jan był bogaty? Trzymał pieniądze w domu? – pyta Laszczuk.

Kobieta wzrusza ramionami. – Bogaty to może nie, ale coś tam miał. Prowadził parę małych barów. Takie budki, wie pan, z jedzeniem, przy Kilińskiego i Zachodniej. Rok temu sprzedał też kioski, podobno za sto siedemdziesiąt milionów złotych, ale z tego, co wiem, wszystko wpłacił na książeczkę w PKO.

2.

Środa, 26 lutego 1992

– Kolejny. Najpierw Lanc, teraz on. Wcześniej Starak, Wawros. Na kilometr czuć, że to ten sam sprawca. Najgorsze, że w wojewódzkiej w ogóle nie chcą o tym słyszeć. Bo jak wyjdzie na jaw, to będzie panika. A za panikę

ktoś będzie musiał beknąć – Laszczuk podekscytowany zwraca się do żony, która właśnie przyprawia rosół. Zapach unosi się po całym mieszkaniu.

Panuje tam również harmider. Dwaj chłopcy ubrani w bawełniane kolorowe dresy z łatami na kolanach co chwilę wbiegają do ciasnej kuchni.

– Tato, pobaw się z nami! – Ciągną ojca za spodnie. Laszczuk załania ręką zdjęcia, które chwilę wcześniej rozłożył na kuchennym stole. – Do pokoju! – krzyczy do chłopców. W okamgnieniu znikają mu z pola widzenia.

– Seryjny zabójca? W Łodzi? – zgrabna brunetka z czerwonymi paznokciami ścisza głos.

– Mam tu gdzieś wyniki sekcji... – Policjant rozgląda się dookoła. Po chwili otwiera kopertę i na głos czyta jej dokument. – „Stwierdzono istnienie bruzdy, której przebieg odpowiadał przebiegowi przewodu elektrycznego oplecionego wokół głowy. W okolicy czołowo-ciemieniowej po prawej stronie głowy stwierdzono istnienie rany cięto-tłuczonej. Zdaniem obecnego na miejscu zdarzenia i dokonującego oględzin biegłego lekarza medycyny sądowej zgon nastąpił przed upływem kilkunastu godzin od momentu dokonania oględzin, to jest od godziny 2.20 w dniu 24 lutego”

Kobieta lekko się krzywi.

– Musisz tak ze szczegółami?

– Słuchaj, Baśka, czyli to musiał być ten ktoś, kto go wtedy odwiedził. Robert. Roman – mówi policjant. – Nie wiadomo jeszcze tylko, jak dokładnie zmarł.

– To znaczy?

– No wiesz, czy zgon powstał od uderzenia, czy przez uduszenie. Aurelia też jeszcze tego nie stwierdziła – mówi Laszczuk do żony, coraz bardziej nakręcony, gdy nakłada mu porcję rosółu na talerz. – Wiadomo natomiast, że we krwi wykryto zero sześć promila. Na ciele ujawniono kilka włosów, a to może pomóc – cieszy się, próbując gorącej zupy. Z aprobatą kiwa głową.

*

Gdy Laszczuk przychodzi na komendę, technicy informują go o wynikach oględzin pokoju Gąszcza.

Ściany i sprzęty okopcone były sadzą. Zapaliły się dwa pufy i część dywanu, prawdopodobnie od grzejnika elektrycznego. Wygląda na to, że ogień uległ samostłumieniu. A grzejnik wyłączył się po przepaleniu bezpiecznika. Można powiedzieć, że lokatorzy z dołu mieli szczęście, bo wszystko mogło pójść z dymem.

– Czekajcie. Czyli mógł zrobić to ktoś, kto lubił bawić się ogniem? – Laszczuk też się zapala.

Technicy przytakują. I tłumaczą, że prawdopodobne jest, że ktoś specjalnie włączył grzejnik, bo chciał podpalić dom i zatrzeć ślady po zbrodni.

Laszczuk opowiada Jarkowi, co już wiedzą: że mężczyzna był gejem, że z pokoju ofiary zginął magnetowid marki Sanyo. Że Wawros, Lanc i inni... Że te zabójstwa są do siebie bardzo podobne. Wszystkie w Łodzi i okolicy. Wszyscy denaci byli homoseksualni.

– Dziwne, że zabójca nie wyniósł innych wartościowych przedmiotów. A pokój był wypełniony rzeczami, które mogły stanowić łup. No i pytanie, czy działał sam – myśli na głos Laszczuk. – Oraz czy aby na pewno ten nasz R. zabija dla pieniędzy.

– A jaki może być inny powód?

– Może nienawidzi gejów?

*

Ceny w sklepach rosną, chłopaki za chwilę idą do szkoły. Premia za złapanie seryjnego to byłoby coś. Sąsiedzi, którzy otworzyli sklep spożywczy na osiedlu, już planują zagraniczne wakacje. Balaton, może Bułgaria. O nowym polonezie nie wspominając. Tymczasem średnia płaca w policji znacznie odstaje od krajowej. Na wakacje w Bułgarii z całą rodziną za niecałe osiemset tysięcy Laszczuk musiałby odkładać trzy lata.

Przydałaby się premia albo awans z podwyżką. – No, Stasiu, dasz radę – dopinguje sam siebie naczelnik i pewnym krokiem wchodzi do biura komendanta wojewódzkiego. Szef przysłuchuje się ustaleniom z miną niewyrażającą nic prócz znużenia.

– Słuchaj, Stasiu... Wiesz, że jesteśmy w nowej Polsce, prawda? Nie jest tak, jak byśmy chcieli. Ludzie są zmęczeni tym pierdoleniem polityków, biedą, bezrobociem. Po chuj mamy ich jeszcze straszyć seryjnymi mordercami, co? Niech sobie wrócą w spokoju do domów, zjedzą zupę i pójną spać w tych obsranych od strachu pizamach, co? Stasiu... Mamy nową formację, nowe porządki, trzeba dbać o morale, prestiż, ty jesteś łebski chłopak, ty to zrozumiesz. Zajmij się tym, znajdź go, masz swoich ludzi, ale po cichu. Zresztą, jak mówisz, ten zabójca to żul, to może sam się wykończy.

– Panie komendancie, on zabija od czterech lat i będzie zabijał.

– To go złap, kurwa, Stasiu. Ale po cichu.

– A jak znów się ujawni?

– Nie martw się na zapas.

*

Na odprawie wydziału po pewności siebie aspiranta nie ma śladu. Po wyjściu z gabinetu komendanta zrezygnowany Laszczuk musiał przez kilka godzin posiedzieć w samotności. Dopiero wtedy potrafił znaleźć w sobie ostatki sił, by skutecznie zakamuflować przed zespołem zawód, jaki sprawił mu komendant.

– Mamy prawo podejrzewać, że to ten sam sprawca. Niewykluczone, że zaatakuje jeszcze raz – mówi do policjantów w sali konferencyjnej.

– Może mieć na imię Rafał, może Roman, a może chuj wie jak – dodaje naczelnik i do korkowej tablicy przybija pinezką naszkicowany męski portret. Każdy z policjantów dostaje kopię protokołu.

W dokumencie napisano: „Rozłożona w pokoju pościel na wersalce, a także fakt, że zwłoki ubrane były niekompletnie, pozwoliły nam

na wysunięcie przypuszczenia, że zabójcą jest homoseksualista lub osoba za homoseksualistę się podająca”

– Znajdźmy go, zanim znów się ujawni, dobra? Do roboty.

Jeszcze tego samego dnia Jarek ustala, że Gąszcz nawiązywał znajomości głównie przez listy. Kontaktów szukał w ogłoszeniach na ostatnich stronach gazet. Pisał anonse: „Szukam przyjaciela do rozmów i nie tylko”, „Młody, przystojny pozna wypłacalnego”. Kiedy ktoś odpowiadał, Gąszcz wysyłał listy z zaproszeniem do siebie. Zazwyczaj na piątek lub sobotę. Goście pomieszkiwali u niego dwa lub trzy dni.

Sąsiedzi i lokatorzy widzieli, jakie życie prowadzi Jan, ale nie komentowali tego głośno.

– Krzywdy nam nie robił. Poza tym ja nie wiedziałam, czy to aby nie ktoś z rodziny do niego przyjeżdżał. Pokoje wynajmował nam bardzo tanio, więc nie chcieliśmy być niemili i wypytywać go o szczegóły – tłumaczyła policjantom lokatorka.

Zwraca jednak uwagę na mężczyznę w kapturze na głowie, który często odwiedzał Jana. Jego twarzy nigdy dobrze nie widziała, ale tajemniczy gość przychodził do ofiary zawsze po zmierzchu. I nigdy się nie witał, nie odpowiadał na „dzień dobry”.

Laszczuk czuje, że to może być to. Coś w środku podpowiada mu, że może mu się udać. Tyle że gdy wieczorem widzi wzrok swojej żony, wie już, że wystąpi o rozwód, jeśli znów nie uda im się pojechać na wakacje.

– Dobra, chłopaki, spróbujcie go znaleźć, ustalić, kto to – mówi podwładnym. Po czym w kadrach przybija kartę urlopową.

✱

Kiedy Leszczuk wraca z urlopu, na jego biurku leży pismo z prokuratury.

– Jak, kurwa, umorzona? – mówi do słuchawki, od której niemal nie wyrwał kabla.

– Przykro mi, Stasiu – odpowiada prokurator. – Efektów nie było. Poza tym góra nie chce nawet słyszeć o seryjnym zabójcy. Radzą zająć się czymś pożytecznym.

W ciągu kolejnego roku Laszczuk zatrzyma sprawców dwóch zabójstw, czterech gwałtów i kilku poważnych rozbojów. Po seryjnym, choć nie daje mu to normalnie żyć, nie ma śladu.

*

Upłynął rok od umorzenia ostatniego zabójstwa. Jest po dziewiętnastej, więc słońce na placu Dąbrowskiego schowało się już za monumentalny gmach Teatru Wielkiego. Z autobusu na przystanku przy ulicy Jaracza wolno wysiada starszy, łysiejący mężczyzna. Idzie chodnikiem wzdłuż budynku.

Wystarczą mu dwa spojrzenia. Pierwszym szacuje, że nieznajomy, który opiera się o tylną ścianę kiosku przy parku, jest przed trzydziestką. Tak przynajmniej mówią o nim: dziecinna, smukła twarz, włosy ciemny blond zaczesane na bok, drobne usta i piwne oczy, a nad nimi wąskie brwi. Kolejny rzut oka. Uszy przylegające, nos prosty i krótki, przy lewym oku wytatuowana niebieska kropka. Chyba nielubiana, bo widać ślady prób jej usunięcia.

– Błędy młodości – myśli Czesław Skowyra i w tej samej chwili tę myśl porzuca, bo trzecie spojrzenie krzyżuje się ze wzrokiem nieznajomego.

– Masz papierosa? – uprzedza go młodszy mężczyzna.

– Czekasz na kogoś? – odpowiada pytaniem rencista, wyjmując paczkę kosynierów i próbuje ukryć znudzenie, które towarzyszy mu za każdym razem, gdy musi bawić się w te gierki.

– Nie, ja tu tak bez celu.

– To zapraszam na kawę – przyspiesza starszy.

– Jestem Roman. – Mężczyzna wyciąga dłoń, a pięćdziesięciolatek kątem oka zauważa wytatuowane litery na palcach i brud za paznokciami. No trudno. Przynajmniej buzię ma ładną, myśli.

W mieszkaniu Czesława są czterdzieści minut później. Gospodarz częstuje domowym winem z butelki po rafaelu i rozkłada wersalkę.

– To co? Bierzemy się do rzeczy?

ROZDZIAŁ IX

Kazimierz Kamiński, część 1

Miejsce: Łódź

Czas: 1993

Śledczy: Stanisław Laszczuk, komenda wojewódzka policji

1.

Piątek, 9 lipca 1993

– Dlaczego nie chciałeś zdjąć koszuli? – pyta po wszystkim rencista.

– Chyba ważniejsze, że zdjąłem coś innego, co?

Czesław spogląda na wiszące na kaloryferze slipki Romana i czuje przypływ ciepła w brzuchu. Rozmowa się nie klei, więc włącza telewizor.

– Sam mieszkasz?

– Z matką, niedaleko Rzgowskiej.

– Wychodzisz gdzieś czasem?

– Rzadko. Matkę mam chorą, ktoś musi się nią zająć.

– A skąd się znasz na tych rzeczach?

Roman przez chwilę patrzy w ekran. W końcu mówi, nie odwracając głowy:

– Jak miałem piętnaście lat, byłem w poprawczaku. I mnie zgwałcili.

Przed północą skarpetki i majtki Romana wciąż są mokre, więc gospodarz daje mu czystą bieliznę i odprowadza na przystanek.

– Nie mam pieniędzy, pożyczysz na bilet?

Przy przystanku stoi taksówka. Czesław rozmienia sto tysięcy u kierowcy i daje Romanowi dziesięć.

– To kiedy się zobaczymy? Musisz odebrać majteczki – mówi rencista i uśmiecha się zalotnie.

Umawiają się na jutro na siedemnastą, również na placu Dąbrowskiego. Kierowca autobusu zapamięta pasażera, któremu do biletu zabrakło dwóch tysięcy, ale był uprzejmy, więc pozwolił mu jechać.

Roman wysiada na ulicy Rzgowskiej, przy domu handlowym Uniwersal.

2.

Sobota, 10 lipca 1993

Skowryra przyjeżdża na plac Dąbrowskiego punktualnie. Od razu zauważa Romana, który pod kioskiem rozmawia z dużo starszym od siebie mężczyzną. Czesław zna go z widzenia, przychodzą na plac w tym samym celu.

– Chyba byliśmy umówieni – mówi podniesionym głosem, idąc w ich stronę. Roman niezauważalnie się uśmiecha, a mężczyzna odwraca się na pięcie i odchodzi.

– Podrywał cię?

– Zapraszał na kawę. Jeszcze pięć minut i byś się spóźnił.

– Pojedziemy na chwilę do mojego kolegi Kazika, dobrze? Sprawdzę, co u niego, wypijemy herbatę, a potem do mnie, zgodzisz się?

– A twój kolega jest zorientowany w tych sprawach?

– Nie martw się, Romeczku, spodobasz mu się.

Kiedy otwierają drzwi do mieszkania Kazika, od progu uderza ich zapach drożdżowego ciasta. Kulinaryny talent Kazimierza Kamińskiego znany jest na całym osiedlu. Po jego bułki w każdą sobotę ustawia się na klatce kolejka sąsiadów. Tak gospodarz weekendami dorabia do skromnej emerytury. Wszyscy biorą po jagodziance, Kazik właśnie nalewa herbatę, gdy do drzwi puka Grażynka, sąsiadka spod czwórki.

– Kazik, zapomniałeś? Mieliśmy iść na imieniny.

*

Gdyby wszystkie Elżbiety obchodziły imieniny jednego wieczoru, następnego dnia trzeba by wstrzymać produkcję w co drugiej fabryce i kopalni, a na drzwiach urzędów i instytucji wywiesić kartkę „Dziś nieczynne, chorujemy”. Program telewizyjny powinien zaczynać się o dziesiątej, a co trzeźwiejszy sklepikarz mógłby dowozić do domów mleko i kwas z ogórków. Zarobiłby tyle, ile przez miesiąc stania za ladą.

W 1993 roku z pokolenia, które hucznie obchodzi imieniny, Elżbiet, obok Barbar, Ann i Krystyn, jest najwięcej. Dlatego w kalendarzu wyznaczono aż osiem dni, w których mogą przyjmować życzenia.

Ela, wdowa emerytka z ulicy Zelwerowicza, imieniny obchodzi 8 lipca. W tym roku wypadły w czwartek, ale imprezę organizuje dziś. Ma dwie butelki jarzębiaka, śledzie i kiełbasę. Przed przyjściem gości włącza gramofon i w takt przebojów Mieczysława Fogga płąsa po domu z odkurzaczem. Na przyjęcie zaprasza dwójkę przyjaciół. Kilka lat temu pracowali w jednych zakładach, dziś wszyscy są na emeryturze, ale wciąż się regularnie spotykają. Kazik mieszka kilka ulic dalej, przy Konstytucyjnej, a Grażynka to jego sąsiadka, z jednego piętra. Gospodyni jest trochę zdziwiona, kiedy z Kazikiem przychodzi jeszcze dwóch mężczyzn. Tuż przed imieninami odwiedzili go w mieszkaniu, nieładnie mu było ich wyprosić. To Czesław Skowyra, którego solenizantka dobrze zna, oraz o połowę młodszy od wszystkich Roman, którego nie widziała nigdy. Kazik mówi, że to jego kuzyn, więc Ela nie ma nic przeciwko. Na imprezie jak zwykle wspominają okres, kiedy pracowali w Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego „Olimpia”

Fabryka powstała pół wieku temu, ale złoty czas ma dawno za sobą. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych była wzorem znacjonalizowanego przemysłu i jednym z największych zakładów w Łodzi. W szczytowym okresie pracowało w niej trzy tysiące osób. Produkowano tu ubrania z modylonu, anilany i elastoru. Ponad połowa produkcji, prawie sześć milionów sztuk rocznie, przeznaczona była

na eksport. Głównie do ZSRR, ale w ubraniach szytych przy Piotrkowskiej 250 chodzili też Amerykanie, Kanadyjczycy, Szwedzi i Anglicy.

Po transformacji fabryka straciła na znaczeniu, niektóre budynki wydzierżawiono, a produkcja skupiła się w budynku przy ulicy Obywatelskiej.

– Teraz to nie to samo – mówi solenizantka w przerwie między tańcami a kolejką za jej zdrowie. – Jak przyszedłam do pracy trzydzieści lat temu, to ruch panował jak w ulu. Trzy tysiące ludzi się uwijało, po tysiąc na zmianie. A teraz?

– Podobno komisarza planują wprowadzić, bo takie straty przynosi – wtrąca Kazik, trzymając widelec z kawałkiem śledzia.

– Bo gdzie tam nam do kapitalizmu! – denerwuje się Ela. – Mało zakładów padło w tym czasie? Za komuny jak było, tak było, ale pracę mieli wszyscy. Kuzyna mi ostatnio zwolnili, trzydziestolatka. Zdrowy, rozumny, do pracy się garnał. Ale: restrukturyzacja, mówią.

– Bezrobocie w Łodzi ma sięgnąć w tym roku dwudziestu procent. Będzie najwyższe od transformacji – dodaje gorzko Skowyra, najbardziej konkretny ze wszystkich.

Goście wypalają kilka paczek papierosów i trochę tańczą. Piją niedużo. Dwie połówki jarzębiaka solenizantka wychyla do spółki z Grażyną, Kazikiem i Romanem. Czy Kazik kiedykolwiek wspominał, że ma kuzyna? Nikt sobie tego nie przypomina, ale i nikt nie wypytuje o szczegóły. Czesław ma nadciśnienie. Pije herbatę. Przed dwudziestą drugą goście jeszcze raz całują Elę w rękę i przenoszą się do Kazika. To kilka ulic dalej, przejście zajmie im niecały kwadrans. Po wyjściu z zadymionego mieszkania uderza ich podmuch świeżego powietrza.

W tym samym czasie za Atlantykiem, w Bushkill w Pensylwanii, polski pięściarz przygotowuje się do walki z Marionem Wilsonem. W ciągu ostatnich miesięcy Andrzej Gołota przebojem dostał się do zawodowego boksu, wygrał wszystkie dwanaście walk i wielkimi krokami zmierza do pierwszej potyczki o mistrzowski pas federacji WBC w wadze ciężkiej.

– Jeszcze nie za późno, może zadzwonimy po Wiesię? – proponuje rozochocony paroma kieliszkami Kazik. Wiesia mieszka trzy bloki dalej, to jego najlepsza przyjaciółka. Kiedy parę lat temu Kazik gorzej się czuł, dał jej klucze do mieszkania. – Jak mi się co stanie, będziesz wiedziała pierwsza – mówił.

Pewnie się nie spodziewał, że klucze przydadzą się tak szybko.

– Wiesiunia, musisz przyjść do mnie natychmiast – mówi do słuchawki chwilę po tym, gdy wszyscy w dobrych nastrojach weszli do jego mieszkania. Aparat stoi na półce w przedpokoju, po prawej stronie od drzwi.

– Jezus Maria, co się stało? – Wiesia panikuje jak zwykle.

– Z Cześkiem problemy – odpowiada Kazik, doskonale grając zatroskanego kolegę.

– Źle się czuje?

– A gdzie tam, kochana. Pijany jak świnia. Sam nigdzie nie dojdzie. Przyjdź, proszę cię.

Wiesia odkłada słuchawkę, wsuwa sandały i pędzi przez trawnik. Po chwili zamasyżuje otwiera drzwi do Kazika i potyka się o wycieraczkę. Czesław udaje pijanego w sztok, ale nagle podbiega do niej żwawo i całuje w policzek. Wszyscy wybuchają śmiechem. Emerytka teatralnym gestem grozi palcem, ale po chwili łagodnieje i zdejmuje żakiet. Skoro Kazik już ją wyciągnął z domu o tej porze, to niech przynajmniej coś naleje.

U Kamińskiego wódki nie ma. Emeryt rozlewa w trzy szklanki domowe wino i wstawia wodę na herbatę.

– Czy ktoś poczęstuje mnie papierosem? – pyta nieśmiało Roman po trzeciej szklance.

Wiesia wyciąga paczkę marsów, Roman bierze jednego, odpala i milczy do końca imprezy. Przed dwudziestą trzecią z mieszkania wychodzą Wiesia, Grażyna i Czesław. Wszyscy oprócz Romana. Cała trójka zapamięta, że gdy wychodzili, Roman siedział w fotelu przy drzwiach, a Kazik bliżej balkonu. I że atmosfera w mieszkaniu była bardzo wesoła.

3.

Niedziela, 11 lipca 1993

Leslie jest w Denver dopiero od kilku miesięcy, a już miała romans z Dexem, Jeffem, Michaeliem Culhanem, Seanem Rowanem i Clayem Fallmontem. Jednak ostatnia znajomość przelała czarę. Rodzina ostatecznie traci do niej szacunek.

Alexis i Blake walczą łeb w łeb o stanowisko gubernatora, Jeff oświadcza się Sammy, czym wprawia w zdumienie Stevena i Fallon. Właśnie szykują się do rozmowy, kiedy w małym mieszkanku w Łodzi, trzy bloki od Kazika, rozlega się jazgot telefonu. Wpatrzona w telewizor Wiesia podskakuje w fotelu.

– Na litość boską, czy ty nie masz zegarka? *Dynastię* oglądam – krzyczy do słuchawki, gdy poznaje głos przyjaciela.

– Wiesia, czy Kazik się z tobą kontaktował? – Czesław jest wyraźnie poruszony.

– Nie, a co?

– Miał dzwonić rano, jest popołudnie, do tej pory się nie odezwał. Dzwonię i dzwonię, ciągle zajęte. Chyba aż tak się nie upił, żeby spać cały dzień?

– Przyjdź, mam do niego klucze, pójdziemy razem.

Przyjaciele szukają Kazika od rana. Siostrze miał zanieść wczorajszą partię jagodzianek, a Grażynce pomóc ze słoikami w piwnicy. O tym, że stało się coś złego, Skowyra upewnia się, przechodząc obok bloku Kazika. Zastłony w jego oknach wciąż zastłonięte, a jest popołudnie. W taki upał?

Kilka minut później Wiesia otwiera zamek zapasowym kluczem i razem z Czesławem niepewnie wchodzi do mieszkania przyjaciela.

– Patrz, to dlatego było zajęte – skinieniem głowy wskazuje odłożoną słuchawkę telefonu.

Czesław wyprzedza ją w przedpokoju, zagląda przez kolejne drzwi i od razu wybiega z krzykiem. Bez pukania wbiega do mieszkania

Grażynki, na wprost, podnosi słuchawkę i drżącym palcem wybiera 997.

*

Policjanci z komendy wojewódzkiej wciąż czekają na obiecywaną po 1990 roku modernizację. Liczą na nowe maszyny do pisania i sprzęt biurowy, a najbardziej na radiowozy, które zastąpią flotę zdezelowanych polonezów. Teraz nie dość, że nie ma nowych, to stare co chwilę się psują. Dlatego pierwszy przy Konstytucyjnej 5 jest starszy posterunkowy z wydziału operacyjno-rozpoznawczego, który patroluje okolicę pieszo.

Nie szuka długo. Blok ma cztery piętra i trzy klatki. Przy pierwszej stoi już kilkoro sąsiadów, których sygnał karetki oderwał od śledzenia kolejnej intrygi w rodzinie Carringtonów.

Na wąskim półpiętrze posterunkowy mija się z lekarzem.

– Robota dla was, czekamy na dole – mówi medyk, schodząc niespiesznie na parter.

Drzwi do mieszkania na pierwszym piętrze są otwarte. Mundurowy pamięta z kursu, że w takich sytuacjach lepiej nie podchodzić za blisko, by nie zacierać śladów. Policjant wchodzi tylko do przedpokoju i z ciekawości zagląda przez kolejne drzwi. Jednym spojrzeniem omiata pokój, robi dwa kroki wstecz i znów jest na klatce. Dalsze czynności w mieszkaniu przeprowadzą jego koledzy z dochodzeniówki, a młody policjant wyjmuje notes i schodzi na dół, by rozpytać sąsiadów. Kiedy rozmawia ze starszym mężczyzną z parteru i wszystko, co wydaje mu się istotne, skrupulatnie spisuje w notatniku, pod blok podjeżdżają dwa radiowozy i trzy nieoznakowane auta. Wsiadają: lekarka sądowa Aurelia Garbowska, prokurator rejonowa i grupa policyjnych techników pod kierownictwem Stanisława Laszczuka. On już w samochodzie domyśla się, co zastanie na miejscu.

Podłoga w przedpokoju przykryta jest wykładziną, zaraz za drzwiami można potknąć się o gumową wycieraczkę. Na wykładzinie leży beżowa koszula poplamiona brunatną cieczą. Należała do zabójcy? W aktach

sprawy będzie oznaczona jako ślad numer 1 i na początku dochodzenia posłuży jako kluczowy trop.

Laszczuk rozgląda się po wąskim przedpokoju. Po prawej stronie, na półce, leży szary aparat z odłożoną obok słuchawką. Dalej szafa dwudrzwiowa i dwa krzesła. Po lewej drzwi do toalety, a na wprost do jedynej w mieszkaniu pokoju. Na futrynie podkomisarz zauważa brunatną plamę. Ślad numer 2.

Gdyby ze zdjęć, które zrobili tego dnia technicy, usunąć ciało i ślady krwi, zostałby krajobraz po dość kulturalnej, acz tłocznej imprezie. Tylko przewrócony wazon podpowiada, że spotkanie zakończyło się szarpaniną. Gdyby upadł na skutek nieostrożnego tańca, gospodarz pewnie by go podniósł.

Na wprost drzwi, przy ścianie po lewej, stoi rozłożona wersalka. Na niej biała pościel z trzema czerwonymi plamami. Na prześcieradle w słabym świetle żarówki mieni się delikatnie coś złotego. To ślad numer 3, medalik z Matką Boską.

Laszczuk chowa go do papierowej koperty.

Po prawej stronie fotel, za nim stolik przykryty szarym obrusem. Dwie szklanki z winem, otwarta paczka kosynierów i trzy nieruszone bułki z jagodami. Laszczuk bierze jedną z talerza, przykłada do nosa i nadgryza. Świeże.

Obok bułek popielniczka z trzema niedopałkami. Pod koniec oględzin technicy włożą je do koperty z podpisem „ślad numer 5”

Kolejne dwa krzesła na wprost drzwi są z innego zestawu. Za nimi kredens, na półce przewrócony niebieski wazon. Obok leży legitymacja ubezpieczeniowa i książeczka wojskowa na nazwisko Marek Jaszowski.

Od kanapy do przeciwległej ściany z oknem i balkonem Laszczuka dzielą trzy kroki. Cała ściana jest za grubą kotarą, która w letni dzień dobrze zabezpiecza pokój przed słońcem. Pod oknem szafka z dwiema półkami. Na wyższej stoi wyłączony telewizor Horyzont, a niżej zakurzone radio Śnieżnik. Gdyby komuś zależało na pozbyciu się ciała, zawinąłby je

w leżący na podłodze gruby dywan. Ale żeby je znieść z pierwszego piętra, trzeba by dwóch silnych mężczyzn.

W mieszkaniu jest jeszcze kuchnia, ale podkomisarz, oprócz pustych butelek po winie i kolejnych jagodzianek, nie zauważa tam nic godnego zanotowania.

Na wyniesieniu zwłok nikomu nie zależało, więc Kazik Kamiński od kilkunastu godzin leży na podłodze. Nie wygląda na swoje sześćdziesiąt dwa lata. Nagie, szczupłe ciało przykrywa biały szlafrok w zielone pasy przewiązany powyżej pępka. Przyprószone siwizną gęste włosy rozlewają się po dywanie jak lwia grzywa. Nogi ma zgięte w kolanach, stopy oparte o podłogę, głowę odwróconą w kierunku telewizora. Już na miejscu Aurelia Garbowska stwierdza m.in. złamanie nosa, liczne rany tłuczone na twarzy i potylicy oraz otarcia naskórka. Zaznacza, że rany zadano narzędziem tępym i kanciastym. „Przyczyna zgonu nieustalona. Podejrzewam morderstwo i współudział osób trzecich. Wskazana sekcja zwłok” – notuje.

– Czas? – pyta Laszczuk, zaglądając jej przez ramię.

– Mniej niż dobie tęmu. Pewnie minionej nocy – odpowiada, patrząc na ciało. – Tego to już chyba nie ukryjecie...

Aurelia i Laszczuk wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

– Szefie, przepraszam, że przeszkadzam, ale to chyba ważne... – Do mieszkania wchodzi posterunkowy, który przesłuchiwał świadków na dole. – Ten Kamiński... on był homo. Mamy podejrzanego. Jest kluczowy świadek, który spędził noc z potencjalnym zabójcą...

– Wszystkich na komendę, niech na mnie czekają – rozkazuje Laszczuk.

Kiedy sanitariusze wynoszą z mieszkania ciało Kazika w czarnym worku, Laszczuk ostatni raz rzuca okiem na pokój. Zatrzymuje wzrok na podłodze, w miejscu, w którym przed chwilą leżało ciało.

– A to co? – mruży oczy, pochyla się i dwoma palcami podnosi drobny łańcuszek. Pewnie ten od medalika. Ślad numer 4.

Poniedziałek, 11 lipca 1993

Po raz pierwszy Laszczuk ma ślady biologiczne zabójcy. Wie, że zakrwawiona koszula należała do niego. Są też świadkowie, którzy widzieli podejrzanego, a ten kluczowy, Czesław Skowyra, spędził z nim noc. Wszyscy zeznają, że podejrzanym ma na imię Roman, tak jak mężczyzna, który według sąsiadki odwiedzał Jana Gąszcza przed śmiercią.

Przesłuchanie świadków, których Laszczuk ściągnął na komendę, trwa do rana. Podkomisarz przepytuje wszystkich, którzy poprzedni wieczór spędzili z Kamińskim. Ich wersje się pokrywają, tylko Romana każdy pamięta trochę inaczej.

Czesław zapamiętał najwięcej szczegółów. Na przykład brud za paznokciami. – Wyglądały, jakby były obgryzane. Oprócz kropki koło oka miał też wytatuowany napis LOVE na palcach dłoni. Ale litery były niewyraźne. I zęby miał brzydkie, na górnych jedynekach ubytki. Spodnie podniszczone, buty niemodne, na grubej podeszwie. No i duże klapy w marynarce, nikt już tak nie chodzi. Wysławiał się normalnie, bez wiejskich naleciałości – zeznaje rencista. – Aha... – przypomina sobie na koniec. – Wskazujący palec lewej ręki...

– Co z nim? – dopytuje Laszczuk.

– Tak jakby był zdeformowany. Krzywy po prostu.

Grażyna, sąsiadka Kamińskiego zaznacza, że Roman był ciemniejszy niż pozostali. I małowówny. – Nie odezwał się przez cały wieczór – dodaje.

– Może pamięta pani, jak był ubrany? – dopytuje Laszczuk.

– Na pewno miał jasną koszulę – może beżową? Z długim rękawem. Czy w paski? Nie pamiętam.

Wiesia, poza tym, że poczęstowała go marsem, też niewiele pamięta.

– Zwracał się do mnie per pani, więc w którymś momencie zaproponowałam bruderszaft. Był zażenowany. Nie wiedział, jak się zachować, jakby nigdy nie całował kobiety.

– Na oko trzydzieści lat, wzrostu ze sto osiemdziesiąt centymetrów, szczupły – wylicza Ela, solenizantka. – Krótkie włosy, ciemny blond. Przy

lewym oku i na krtani znaki szczególne. Wytatuowane kropki. I jeszcze nienaturalnie krzywy palec u lewej dłoni. Ela dodaje, że Roman raz zaprosił ją do tańca. – Muzyka była bardzo wolna – zaznacza. – W czasie tańca powiedział mi do ucha, że nie lubi takich wolnych melodii, że woli szybsze.

– Był dobrym tancerzem?

– Oj... wciąż czuję podeptane palce.

Czesław Skowyra na komendzie zostaje dłużej. To on pracuje z rysownikiem nad portretem pamięciowym podejrzanego. Laszczuk pokazuje mu łańcuszek z medalikiem i poplamioną koszulę.

– Nie wiem, cały czas miał na sobie koszulę – zeznaje rencista.

– Tę koszulę?

– Tak, był w nią ubrany w piątek i w sobotę – potwierdza Skowyra.

Technicy mają zbadać materiał w laboratorium. Sprawdzą, czy jest na niej krew ofiary. Z zabezpieczonych niedopałków chcą wyodrębnić materiał genetyczny. W tym czasie Laszczuk zastanawia się, co Roman mógł założyć przed wyjściem, skoro na miejscu zbrodni zostawił koszulę.

– Jeszcze raz przeczesać okolicę. Śmietniki, klatki, krzaki i żywopłoty. Interesują nas wszystkie miejsca, gdzie można było coś schować lub porzucić – poleca funkcjonariuszom. – I znaleźć tego mężczyznę ze zdjęcia – pokazuje książeczkę wojskową z mieszkania Kazika. – Aha – przypomina sobie kolejny trop. – Doprowadzić emeryta z placu Dąbrowskiego. Skowyra wie, jak wygląda.

Późnym wieczorem Laszczuk zapisuje okoliczności zbrodni i wstępne ustalenia.

„Na podstawie pierwszych czynności operacyjno-rozpoznawczych można stwierdzić, że zarówno denat, jak i podejrzany wywodzą się z kręgów homoseksualnych. Mamy w Łodzi kolejną ofiarę zabójcy gejów”. Przed północą na klawiaturze małej nokii wystukuje numer do komendanta. Zanim usłyszy pierwszy sygnał, klnie pod nosem.

– Panie komendancie, przepraszam za porę, ale to bardzo ważne – mówi.

– Zabójca znów się ujawnił.

ROZDZIAŁ X

Krzywy palec

Miejsce: Łódź

Czas: 2018

Śledczy: Władysław Petrycki, komenda wojewódzka policji, Archiwum X

Styczeń-marzec 2018

1.

Przestudiowanie akt zajmuje Władkowi kilka tygodni. Z każdej z siedmiu spraw sporządza obszerne notatki. Wypisuje nazwiska świadków i kluczowe tropy, którymi podążali śledczy. Czuje, że nie wszystkie zbrodnie należy łączyć z jedną osobą, bo nie wszystkie do siebie pasują. Dlaczego ciało Jakuba Lanca znaleziono w lesie, a nie, jak innych, w mieszkaniu? Dlaczego z domu Jana Gąszcza, w przeciwieństwie do pozostałych, nic nie zginęło? Czy inne kradzieże świadczą o motywie rabunkowym, czy miały zmylić trop? I wreszcie czy jeden mężczyzna mógł związać i pobić właściciela mieszkania, splądrować lokal i wynieść wszystko niezauważony?

Mimo wielu wątpliwości jednego Władek jest pewien. Kluczem do połączenia wszystkich spraw z mężczyzną, którego wskazał niedawno informator, jest zabójstwo Kazimierza Kamińskiego. Tylko w tej sprawie świadkowie widzieli sprawcę, spędzili z nim nawet cały wieczór. Stworzony przed laty portret pamięciowy może nie jest dość precyzyjny, ale gdyby dziś pokazać świadkom zdjęcie nowego podejrzanego, może zidentyfikowaliby go ze sprawcą.

Na polecenie Władka Młody sprawdza wszystkich świadków, których dwadzieścia pięć lat temu przesłuchiwał na komendzie Stanisław Laszczuk.

Czesław Skowyra zmarł na AIDS dwa lata po zabójstwie Kamińskiego.

Nie żyje też Ela, solenizantka.

Przesłuchać można sąsiadkę Kamińskiego Grażynkę i jego przyjaciółkę Wiesię. Obie są po osiemdziesiątce.

Władek ma jeszcze jeden trop. W prokuratorskich aktach tego nie ma, ślad po nim jest w notatkach policyjnych sporządzonych zimą 1993 roku w Komendzie Rejonowej w Śródmieściu. Pół roku po zabójstwie Kamińskiego na komendę znów zgłosił się Czesław Skowyra. Tego dnia, kiedy szedł chodnikiem ulicą Zachodnią, minął go samochód, w którym zauważył dwóch mężczyzn. Stwierdził, że na miejscu pasażera siedział Roman. Zapisał numery rejestracyjne auta. Policjanci szybko znaleźli kierowcę. Ten przyznał, że wiozł wtedy autostopowicza, który z jednej z okolicznych miejscowości chciał dostać się do Łodzi. Ale całą drogę milczał, więc nie może o nim nic powiedzieć.

Dwadzieścia pięć lat później z tym samym kierowcą rozmawiał Władek. Pokazał mu zdjęcie zabójcy Kazimierza Kamińskiego wykonane w 1995 roku.

– Pamiętam go. Miał na imię Roman, kilka razy umówiłem się z nim na seks – odpowiedział bez wahania. I dodał, że w przeszłości dwóch policjantów już go o to pytało. Wtedy skłamał, że to autostopowicz. Ze strachu, że ktoś się dowie. Dziś już się nie boi. Wyoutował się przed rodziną i znajomymi kilka lat temu. Po tej rozmowie Władek wiedział, że trzeba iść tropem „nowego Romana”.

Kolejną osobą, którą odwiedza, jest osiemdziesięciodwuletnia emerytka z ulicy Konstytucyjnej. Wiesia siedzi w wysłużonym fotelu. Tym samym, w którym przez lata śledziła kolejne odcinki *Dynastii*. Dziś obok niej siedzi policjant z zespołu do spraw niewykrytych Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Mówi o nowym tropie w śledztwie.

– Pamięta pani portret pamięciowy, który przedrukowano w „Expressie”? – Petrycki musi mówić głośno i wyraźnie.

– Pamiętam.

– Co pani o nim sądzi?

– Nawet nie przypominał Romana. Owszem, przychodzili policjanci, pokazywali zdjęcia. Mnie, Czesiowi i innym. Naoglądaliśmy się ich setki. I co z tego?

– Chciałbym, żeby pani spojrzała na to – mówi spokojnie Władek i wyciąga z plecaka tablicę z dziesięcioma zdjęciami. Wszystkie przedstawiają portrety mężczyzn w wieku około dwudziestu siedmiu – trzydziestu trzech lat. Mają krótkie włosy ciemny blond i gęste brwi. Mężczyźni na czterech zdjęciach mają też wytatuowaną kropkę przy lewym oku.

Wiesia bierze do ręki tablicę i uważnie przygląda się każdej twarzy.

– Proszę się nie spieszyć. – Władek widzi, że emerytce trzęsą się ręce.

– Minęło tyle czasu... – Wiesia kręci głową, ale wciąż przypatruje się tablicy.

Typowany mężczyzna, czyli „nowy Roman”, jest na czterech z dziesięciu fotografii. Każda z innego okresu. Jedną wykonano w 1995 roku w zakładzie karnym, dwa lata po śmierci Kazika.

– Czy któryś z nich przypomina mężczyznę z tamtego wieczoru?

– Nie wiem. Nie rozpoznaję żadnego. Przykro mi.

– Jest pani pewna?

– Tak. Boję, że wskazałabym niewinnego człowieka. Przez te wszystkie lata starałam się o tym zapomnieć. Proszę wybaczyć.

Władek zbiera się do wyjścia. Kiedy naciska kławkę, w jego kieszeni dzwoni telefon.

Na ekranie cienkiego huaweia wyświetla się zdjęcie Młodego.

– Szefie, wracam od Grażyny, sąsiadki Kamińskiego. Widziała tablicę. – Władek słyszy, że młodszy kolega jest podekscytowany.

– I co?

– Wskazała go. Nie jest pewna na sto procent, ale wskazała naszego Romana.

*

„W dniu 11 lipca 1993 roku w mieszkaniu przy ul. Konstytucyjnej 5 sąsiedzi ujawnili zwłoki Kazimierza Kamińskiego. Grupa dochodzeniowo-śledcza zastała leżące na podłodze w pokoju zwłoki. Oględziny ujawniły obrażenia tylnej części głowy, złamanie nosa, rany na twarzy, wiele otarć i sińców na całym ciele. Charakter obrażeń głowy wskazywał, że zadane one zostały narzędziem tęnym, ostrokrawędziastym. W mieszkaniu zabezpieczono koszulę z rozwodnionymi plamami krwi należąca najprawdopodobniej do sprawcy, ślady biologiczne (krew, niedopałki papierosów oraz kilkanaście linii papilarnych). W toku śledztwa wytypowano, że potencjalnym sprawcą zabójstwa jest mężczyzna przedstawiający się imieniem Roman. Dzień wcześniej zapoznał go Czesław Skowyra, bliski znajomy Kamińskiego” – notuje Władek.

Musi przekonać przełożonych, że połączenie zabójstw sprzed ponad dwudziestu lat z mężczyzną, o którym mówił informator, pozwoli rozwiązać największą zagadkę kryminalną w historii łódzkiej policji. Opisuje okoliczności, w jakich Czesław Skowyra poznał Romana. Píše o imieninach u Eli i domowym winie u Kamińskiego.

„Na podstawie zeznań osób, które widziały mężczyznę o imieniu Roman, sporządzono portret pamięciowy. Można też podać cechy charakterystyczne rysopisu i zachowania typowanego” – dodaje Władek i wylicza wymieniane w aktach elementy rysopisu. Ale w przeciwieństwie do starszych kolegów próbuje też stworzyć coś w rodzaju psychologicznego portretu sprawcy. Wie, że Roman pochodzi spoza Łodzi, choć miał orientację w mieście. Nie śmierdział groszem. Chodził skromnie ubrany i palił papierosy, nie wybierając marki. Mówił, że opiekuje się chorą matką. Przed seksem zawsze mył się i prał bieliznę. W łóżku prezentował wyszukaną technikę seksualną ze skłonnością do sadyzmu. Podczas kontaktu seksualnego nie zdejmował koszuli i nie odpinał rękawów mimo nalegań, co prawdopodobnie miało wiązać się z tatuażami na górnej części ciała lub bliznami. Po wszystkim dążył do tego, by zostać w mieszkaniu partnera.

Dwie kolejne strony poświęca mężczyźnie, którego niedawno wskazał informator. Píše, że w czasie, kiedy doszło do zabójstwa Kamińskiego, przebywał na tzw. niepowrocie do zakładu karnego. W marcu 1993 roku wyszedł na przepustkę, miał wrócić następnego dnia, ale ślad po nim zaginął. Trzy dni później wydano za nim list gończy, ale zatrzymano go dopiero dwa lata później, latem 1995 roku.

„Kontynuując czynności w sprawie nawiązano kontakt z Marią W., jego konkubina z lat 1990-1993. W rozmowie ustalono, że typowany miał wytatuowaną kropkę przy lewym oku oraz duży napis na klatce piersiowej Belial. Miał ślady po samookaleczeniach na rękach i brzuchu. Miał nienaturalnie wygięty wskazujący palec jednej dłoni. A także miał problem z alkoholem, był impulsywny i agresywny. Był kryptogejem, a jego związek z konkubina miał być tylko przykrywką. Jego byłej konkubinie okazano portret pamięciowy wykonany po zabójstwie Kamińskiego. Kobieta rozpoznała w nim byłego partnera. Reasumując można stwierdzić, że poszukiwanym mężczyzną o imieniu Roman w sprawie zabójstwa Kazimierza Kamińskiego może być mężczyzna wskazany przez informatora”

Władek kończy czytać notatkę, by za chwilę przedstawić ją przełożonym. Na ekranie komputera widzi powiadomienie. Młody wysyła wiadomość: „Proszę zerknąć na ten film”

ROZDZIAŁ XI

Kazimierz Kamiński, część 2

Miejsce: Łódź

Czas: 1993

Śledczy: Stanisław Laszczuk, komenda wojewódzka policji

1.

Wtorek, 13 lipca 1993

Ściany obite są żółtą, cuchnącą papierosami boazerią. Na podłodze wykładzina z krótkim włosiem, a na środku okrągły stół. Po blacie, jak hokejowy krążek, z rąk do rąk ślizga się kryształowa popielniczka.

W sali konferencyjnej komendy wojewódzkiej policji trwa kolejna odprawa. Za stołem naczelnicy wszystkich wydziałów i komendanci jednostek rejonowych z Łodzi.

– Co mamy?

Na głos komendanta Laszczuk natychmiast podnosi się z krzesła.

– Na podstawie ponadnormatywnej pracy operacyjnej możemy...

– Bez pierdolenia, Laszczuk...

– Tak jest, panie komendancie – policjant próbuje zebrać myśli. – Mamy portret pamięciowy, rysopis i pięcioro świadków, którzy widzieli potencjalnego zabójcę. Lada dzień będą wyniki sekcji, a w laboratorium badają materiał genetyczny i ślady linii papilarnych. Mężczyzna, którego szukamy, najprawdopodobniej ma na imię Roman i mieszka w okolicy Rzgowskiej. Jeszcze raz przeczesujemy teren wokół miejsca zbrodni. Jest kilka poważnych tropów.

Laszczuk mówi o wytatuowanych kropkach przy oku i na krtani poszukiwanego, o tatuażu na palcach prawej dłoni, zakrwawionej koszuli i dokumentach na obce nazwisko znalezionych w mieszkaniu ofiary.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że poszukiwany mężczyzna był w zakładzie poprawczym. Tatuaże wskazują, że odbywał kary również za poważniejsze przestępstwa. Jest jeszcze jeden świadek, który widział go w dniu zabójstwa. Będzie doprowadzony na przesłuchanie.

– No dobra, Stasiu. Nie będziemy udawać, że nic się nie dzieje. – Komendant opiera łokcie o blat i w tej pozycji zwraca się do pozostałych. – Portret powielić i rozesłać do wszystkich jednostek w kraju. Kopię do Komendy Głównej. Z prasą się jeszcze wstrzymamy, nie będziemy ludzi straszyć seryjnym zabójcą. Jeszcze dziś wystąpię do Warszawy o dodatkowe środki. Raportować na bieżąco.

*

Okolice bloku przy Konstytucyjnej 5, na granicy Śródmieścia i Włocławka, od rana przeczesuje kilkunastu policjantów. Sprawdzili już klatki, mieszkania i piwnice w dwóch sąsiednich blokach. Przeszukują skwery i trawniki. Pukają do dalszych sąsiadów Kazika i pytają, czy w nocy z soboty na niedzielę nie wydarzyło się tu nic podejrzanego.

– Może byśmy im wody wynieśli, co? Oni tu od rana bez przerwy. – Wiesia spogląda z troską przez okno mieszkania. Naprzeciwko niej przy okrągłym kuchennym stole siedzi Czesław. Nabiera ostatnie łyżki ogórkowej i wyciera twarz kuchenną ścierką.

– Ty myślisz, że to moja wina, prawda?

– Że taki upał?

– Że Kazik nie żyje.

– Czesiu, ja wiedziałam, że te wasze... – Emerytka gryzie się w język, bierze oddech i szuka łagodniejszych słów. – Że to wszystko to się źle skończy. Teraz najważniejsze, żebyś policji zgodnie z prawdą powiedział. Oni i tak do tego dojdą, a sekretami nabawisz się tylko większych

problemów. Powiedziałeś im wszystko? Gdzie się poznaliście, kto z wami poszedł?

– Wieśka, daj mi już spokój. Co to ma za znaczenie?

– Czesiu, ja cię proszę, powiedz im, sumienie będziesz miał czyste, lżej ci będzie, zobaczysz. Na mszę dałeś?

– Chciałem. Ksiądz mnie wyrzucił. – Skowyra odwraca głowę w stronę okna i zatrzymuje wzrok na dwóch policjantach przeczesujących trawnik między blokami.

– Wszyscy już wiedzą – mówi do siebie.

*

Z notatek, które podwładni od rana zostawiają na biurku Laszczuka, zbierał się już duży stos. W komendzie wojewódzkiej sprawę seryjnego zabójcy homoseksualistów w końcu traktują priorytetowo. Zaangażowano do niej najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy, którzy przerwali inne śledztwa, by zająć się wyłącznie poszukiwaniem Romana.

Pierwsza z góry: „W dniu dzisiejszym wspólnie ze świadkiem Czesławem Skowyrą udałem się do Komendy Rejonowej Policji Łódź-Górna celem okazania mu albumów fotograficznych osób policyjnie podejrzanych. Po ich dokładnym obejrzeniu Skowyra stanowczo stwierdził, że na okazanych zdjęciach nie ma mężczyzny, którego szukamy”.

Następna: „Udałem się do Biura Ewidencji Ludności dla dzielnicy Łódź-Górna mieszczącego się w Łodzi przy ul. Politechniki. W udostępnionym mi archiwum szukałem mężczyzn o imieniu Roman mieszkających w okolicy ul. Rzgowskiej, rocznik 1963-1970. Po dokładnym przejrzeniu udostępnionych danych nikogo takiego nie znalazłem”.

Rzgowska ciągnie się siedem kilometrów od południowej granicy miasta przez Łódź-Górna do Piotrkowskiej i parku Reymonta. Roman miał powiedzieć Czesławowi, że mieszka „w okolicach Rzgowskiej”. Jeśli to prawda, trzeba by szukać w promieniu trzystu-czterystu metrów na całej długości. To kilka tysięcy adresów. Nawet gdyby Laszczuk dostał trzydzieści osób ekstra, rozpytanie zajęłoby parę dni. Szkoda czasu.

Notatek, w których mężczyźni wskazują potencjalnych sprawców, jest dziś osiem. Laszczuk na razie każe sprawdzać wszystkich, ale za kilka dni takich wskazań będzie już ponad pięćdziesiąt. Trzeba wymyślić efektywny sposób selekcji.

Z następnej notatki podkomisarz Laszczuk dowiaduje się, że dwaj jego podwładni byli w mieszkaniu mężczyzny, którego dokumenty leżały na półce w pokoju Kazika. Poszukiwanego nie zastano, ale udało się porozmawiać z jego matką. Kobieta stwierdziła, że od kilku lat jej syn mieszka gdzie indziej. Ponadto – jak piszą – wydała synowi „negatywną opinię”. Dowiedzieli się, że Marek w zakładach karnych odsiedział jedenaście lat za włamanie i rozboje. Matka twierdzi, że jest chory psychicznie, nie chce się leczyć. Jest zaniedbany, ma długie włosy i chodzi w podartych ubraniach. Nocuje tam, gdzie zostanie go noc. Bywa, że pod mostem lub w polu. Widziała, jak kiedyś publicznie, stojąc w gronie znajomych, obnażał się. Kilka lat wcześniej, kiedy syn był koło trzydziestki, przyszła do domu wcześniej niż zwykle. Otworzyła drzwi, nakryła go z innym mężczyzną i wyrzuciła z domu.

Telefon.

– Panie podkomisarzu, grupa z Zelwerowicza coś znalazła. Mają przynieść czy zabezpieczyć i czekać?

– Nic nie ruszać. Sam przyjdę. – Policjant jednym łykiem dopija poranną kawę, bierze kolejne dwie kartki ze stosu i wychodzi.

Dwadzieścia arów prywatnej działki od ulicy Zelwerowicza dzieli płot i ściana gęsto sadzonego ostrokrzewu. Naprzeciwko jest budynek liceum, a obok dom Eli, która w sobotę organizowała imieniny. Na jednym z wyższych krzaków za ogrodzeniem prywatnej działki na wysokości ramion wisi beżowa marynarka w niebieskie paski.

– Nie ma środkowego guzika – zauważa od razu Laszczuk, kiedy technicy ostrożnie zdejmują ubranie z gałęzi. Obie zewnętrzne kieszenie są puste. Policjant znajduje jeszcze dwie kieszonki wewnątrz. Lewa pusta, w prawej zwinięty papier toaletowy. Żadnych plam ani śladów zniszczenia.

– To Kazika! – woła z daleka Ela. Wybiegła z domu, bo przez okno zauważyła poruszenie.

– Jest pani pewna?

– Dzień dobry, panie komisarzu. Na pewno, był w niej u mnie na imieninach.

– Zdejmował ją u pani?

– Raczej nie. Nie przypominam sobie.

– A myśli pani, że mógł ją tu zostawić w drodze do domu?

– A po co miałby marynarkę na drzewie wieszać? Nie, aż tak pijany nie był. Jak poszukiwania? Bo jeśli trzeba w czymś...

– Jak będziemy potrzebować, zadzwonimy – ucina Laszczuk i odwraca się do czekających na polecenia funkcjonariuszy.

– Panowie, wiemy, w którą stronę poszedł. Ściągnąć tu resztę załogi z osiedla i przenieść ciężar poszukiwań na Zelwerowicza. Idziecie ławą całą szerokością ulicy, aż do centrum.

*

Z Markiem Jaszowskim nie jest tak źle, jak mówiła jego matka. Ma niechlujnie związane włosy i twarz przeoraną zmarszczkami, ale wyraża się logicznie, a na pytania odpowiada konkretnie.

W za dużych spodniach w kratę i podartej marynarce siada na krześle przed biurkiem Laszczuka.

Ma czterdzieści jeden lat. Z dzieciństwa najbardziej pamięta ssanie żołądka z głodu.

– Rodzice nie przejmowali się mną za bardzo. Ojciec był spawaczem, ale więcej pił, niż pracował, wyrzucali go z każdej roboty – zeznaje. – Jak już się stoczył na dno, wyrzuciła go i matka, a my z bratem musieliśmy zarabiać na dom. Tam się złom ukradło, tam włamało do starego baraku. Zawsze było co kraść. Ale krzywdy to się nie robiło nikomu. Miałem osiemnaście lat, jak złapali mnie pierwszy raz. W zakładzie karnym zostałem przecwelony przez współwięźnia. Wie pan, takie wieści szybko się rozchodzą. Po paru dniach inny zrobił mi to samo. Potem już wszyscy,

kiedy chcieli. Z kryminału wyszedłem po trzech latach. Po bracie ślad zaginął. Dopiero po paru miesiącach sąsiedzi powiedzieli, że siedzi za rozbój w innym zakładzie. Nie miałem za co żyć, wróciłem do matki. Pomyślałem, że będę zarabiał na oddawaniu się mężczyznom. Na dworzec chodziłem prawie codziennie. Łatwo było kogoś znaleźć, bo wszyscy szukali takich młodych i niebrzydkich. Dostawałem parę groszy, część oddawałem matce na dom, a trochę zostawiałem dla siebie. Buty się nowe kupiło, piwo koledze można było postawić. Tak poznałem Kazika.

– Płacił panu? – Laszczuk w końcu się ożywia. Obok młody posterunkowy spisuje zeznania na maszynopisie.

– A gdzie tam. Kamiński jest... znaczy był, bardzo porządnym człowiekiem. Z zasadami. Chodził na dworzec, szukał młodszych mężczyzn, ale nigdy za pieniądze. Zdarzało się, że jak ktoś był w potrzebie, to prezerwatywy pożyczał. Odbywałem z nim stosunki, ale to było dawno i nie za pieniądze.

– Kiedy widzieliście się ostatni raz?

– Nasze dobre relacje skończyły się zimą 1980 roku. Spędziłem u niego noc, następnego ranka Kazik poszedł do pracy. Było zimno. Miałem starą, podartą kurtkę. Zajrzałem do szafy, a tam piękny, ciepłutki kożuch, prawie w moim rozmiarze. To się wzięło i ukradło. Chodziłem całą zimą, a Kazika unikałem jak ognia. Na wiosnę kożuch sprzedałem i urządziłem się, żeby zagłuszyć sumienie. W końcu, już w następnym roku, spotkaliśmy się przy dworcu. Kazik podszedł do mnie i powiedział, że w kieszeni kurtki, którą u niego zostawiłem, były dokumenty. I że czekają na mnie, bo on kradzież mi wybacza. Nigdy ich nie odebrałem. Raz, że nie były mi potrzebne, ale bardziej to chyba ze wstydu.

– Co pan robił w zeszłą sobotę, 10 lipca?

– Rano byłem na wysypisku przy Nowosolnej. Szukałem metali kolorowych. Sprzedałem w skupie trochę kabli i poszedłem pod zabawę koło leśniczówki w Wiączyńniu.

Jaszowski dodaje, że kręcił się tam, bo kiedyś udało mu się znaleźć ukryte pół litra wódki. Tym razem nie miał szczęścia. Po zabawie

na trzeźwo zasnął na przystanku. Rano pozbierał resztki ze śmietników i rozpałił ognisko. Odkąd znowu wyszedł z więzienia, nie ma stałego adresu.

– Matka do domu nie wpuszcza, nie mam pieniędzy na pokój, śpię gdzie popadnie.

– Wie pan, że Kamiński został zamordowany?

– Słyszałem.

– Co pan jeszcze słyszał?

– Że w Łodzi grasuje seryjny zabójca i poluje na homoseksualistów. Jedni mówią, że z nienawiści, bo sam jest gejem. Drudzy, że któryś go zgwałcił i się mści.

– I komu pan wierzy?

– Ja myślę, że to musi być podły człowiek, skoro zabił takiego faceta jak Kazik.

– A imię Roman coś panu mówi? Tak wygląda. – Laszczuk podsuwa świadkowi portret pamięciowy.

– Nie, nie znam. Ale na pikiecie nie byłem już parę lat. Nie wiem, kto się tam teraz pojawia... A komu on się tak przedstawił? Bo wie pan, w tym środowisku każdy ma jakiś pseudonim. Czasem męski, czasem damski. Zależy, jak kto woli... no, w tych sprawach. Niewykluczone, że Roman to tylko ksywa.

2.

Środa, 14 lipca 1993

Laszczuk zostawia komendantowi komunikat, który komenda wojewódzka ma wysłać do wszystkich jednostek w kraju. Przełożony najpierw patrzy na dołączony do pisma portret pamięciowy Romana. Na jego owalną, trochę dziecięcą twarz, prosty nos i gęste włosy zaczesane na prawą stronę. W notatce pisze o zmasakrowanej twarzy denata, magnetofonie

skradzionym z mieszkania Kamińskiego i o podejrzanym, który przedstawia się imieniem Roman. O tym, że potencjalny zabójca był na pikiecie, nie miał papierosów ani pieniędzy, a w trakcie stosunku nie chciał zdjąć koszuli.

Przegląda rysopis:

„Wiek z wyglądu 25-28 lat.

Wzrost 176-178 cm.

Sylwetka średnia, wysmukła, wysportowana.

Włosy ciemny blond lub szatyn, średniej długości, proste, czesane na prawy bok.

Oczy brązowe/piwne.

Twarz owalna z lekkim zarostem na brodzie, możliwe, że się nie goli.

Cera gładka, dziewczęca, dłonie duże, kciuki szerokie z krótkimi paznokciami.

Znaki szczególne: Niebieska kropka po zewnętrznej stronie lewego oka ze śladami usuwania oraz wyraźna niebieska kropka na krtani. Na palcach prawej lub lewej ręki napis LOVE ze śladami usuwania. Lekko zdeformowany wskazujący palec u lewej dłoni.

Ubiór: Koszula beżowa z długimi rękawami, z kieszonką po lewej stronie, białe guziki. Spodnie koloru brąz z cienkiej tkaniny. Buty czarne do kostek zapinane na pasek z przyklepcem”.

Na koniec poleca napisać tak:

„Zakrojone na szeroką skalę czynności operacyjno-śledcze nie doprowadziły do ustalenia tożsamości Romana. Można domniemywać, iż pochodzi on spoza Łodzi. W związku z powyższym proszę o zlecenie stosownych zadań osobowym źródłom informacji, w szczególności pracującym w środowisku homo, i typowanie na podstawie podanego rysopisu i portretu pamięciowego ewentualnych sprawców”.

Stawia pieczętę, a Laszczuk zanosi dokument do wysłania.

*

Kiedy policyjne faksy w całej Polsce drukują pismo z Łodzi, Czesław Skowryra siedzi na tylnej kanapie zielonego poloneza zaparkowanego przy placu Dąbrowskiego. Z przodu dwóch policjantów w cywilu. Funkcjonariusze obserwują plac od czterech dni, przez całą dobę. Czesław siedzi z nimi po kilka godzin dziennie. Chodzi o to, by bez cienia wątpliwości zidentyfikować Romana, kiedy pojawi się tu ponownie.

– O, Andrzejek już wydobrzył, patrzcie. – Rencista wskazuje policjantom mężczyznę utykającego na lewą nogę. Na oko czterdziestokilkulatek przechodzi przez ulicę i zmierza w stronę publicznego szaletu.

– Co mu się stało? – pyta policjant za kierownicą. Obaj zdążyli się już z Czesławem trochę poznać.

– Kiedy to było... A, nie dalej jak tydzień temu. Wraciał z jakimś młodym z Orfeusza. Nudzi się teraz dzieciakom, a pogruchotać kości starym pedałkom to niezła frajda. We czterech go napadli. Pobili, skopali, a ta noga to od kija. Takie rzeczy coraz częściej się zdarzają. Trzeba by więcej patroli ustawić, panowie, nie tylko od wielkiego dzwonu. Przyjdźcie sami po zmroku, zobaczycie, że strach was obleci. O, a widzicie tego, co idzie? – Skinieniem głowy pokazuje młodszego mężczyznę w skórzanej kurtce. – Pokręci się chwilę i wróci sam.

– Skąd pan wie? – dopytuje drugi policjant.

– Wszyscy wiedzą, że się nie bada.

– Nie bada?

– Jeszcze parę lat temu mało kto się tym przejmował, dziś większość bada się parę razy w roku. Tylu wspaniałych ludzi to skurwysyństwo zabrało – dodaje gorzko Czesław i odwraca głowę w stronę okna.

Nieoznakowany radiowóz stoi bokiem do przystanku, na który właśnie podjeżdża miejski autobus.

– Zaraz, zaraz, panowie. To ten kierowca – ożywia się Czesław i nerwowo stuka palcem w szybę.

– No ten, jak nic. W piątek w nocy odprowadziłem Romana na przystanek i dałem mu dziesięć tysięcy, bo nie miał na bilet. To ten kierowca go wiózł. Autobus był prawie pusty, linia B. Może coś pamięta?

– Owszem, pamiętam – odpowiada policjantom szofer, kiedy po chwili pytają go o piątkowy kurs. – Zabrakło mu dwóch tysięcy, ale był miły, pozwoliłem mu jechać za dziesięć.

– Wie pan, gdzie wysiadł?

– Pod Uniwersalem, na Rzgowskiej. Pamiętam, bo był ostatni. Jak wysiadł, zrobił kilka kroków do przodu i ukłonił mi się z podziękowaniem. Kiedy odjeżdżałem, szedł wzdłuż trasy – odpowiada kierowca.

Mundurowi zapisują jego dane i wracają do auta. – Pan się tu pokręci chwilę, panie Skowyra. Zaraz ktoś podjedzie na podmiankę – mówi jeden. – Dobrze żeś pan trafił z tym szoferem. – Drugi policjant kiwa głową i zatrzaskuje drzwi poloneza.

*

Laszczuk chwali funkcjonariuszy z biurka. A potem komentuje ich informacje: – Następny przystanek jest czterysta metrów dalej. Skoro wysiadł koło Uniwersalu, może mieszkać w pobliżu.

– Panie podkomisarzu, można? – Kolejny funkcjonariusz wchodzi do pokoju bez pukania. W wąskim pomieszczeniu, w którym połowę miejsca zajmuje szerokie biurko, robi się już tłoczno. Mundurowy kładzie na biurku wyniki sekcji zwłok Kamińskiego i melduje, że policjanci ustalili nazwisko i adres emeryta z placu Dąbrowskiego.

Naczelnik od razu sięga do podsumowania na ostatniej stronie. Czyta, że we krwi Kazika było 0,9 promila alkoholu. Ofiara miała złamany nos, rozdarte nozdrza, poprzeczne złamanie mostka, rany kłute na szyi, klatce piersiowej, na uchu, złamanie kości gnykowej, rany tłuczone w okolicy oczodołów i na czole, liczne sińce na tułowiu i kończynach. I na koniec: „Kazimierz Kamiński zmarł śmiercią gwałtowną na skutek uduszenia przez zadławienie (ucisk ręką lub rękoma na szyję). Obrażenia w postaci sińców, otarć naskórka i ran tłuczonych powstały od działania narzędzia tępego bądź tępokrawędziastego. Rany cięte małżowiny lewego ucha mogły powstać od działania ostrza noża”.

Laszczuk wydaje kolejne rozkazy. Zespół z ulicy Zelwerowicza po znalezieniu marynarki na drzewie nie raportował o innych tropach. Prowadzący śledztwo przerzuca więc wszystkich z Zelwerowicza na Rzgowską. Policjanci mają zapukać do drzwi każdego domu i mieszkania w promieniu trzystu metrów od przystanku, na którym wysiadł Roman.

Kiedy Laszczuk odkłada słuchawkę, z korytarza dobiega coraz głośniejszy, chwilami piskliwy głos.

– Ja się z orientacją, panowie, nie chowam! – ktoś krzyczy.

Naczelnik wychyla się zza biurka, by przez uchylone drzwi zajrzeć na korytarz.

– Mordę mi obili z tego powodu nieraz, ale nie będę, za przeproszeniem, pieprzył się gdzieś po lasach tylko dlatego, że komuś się to nie podoba.

Ostatnie słowa Laszczuk słyszy już bardzo wyraźnie, bo właściciel piskliwego głosu bez pukania wchodzi do pokoju i nieproszony siada na krześle przed jego biurkiem. Posterunkowy, który miał go przyprowadzić, wchodzi tuż za nim.

– Pański świadek, naczelniku, Zdzisław Perkała. – Wzrusza ramionami i zamyka za sobą drzwi.

Perkała jest w marynarce w kwiaty, sztruksowych spodniach i butach z cholewami. Schlebia mu, że swoim wejściem zbił śledczego z tropu.

– Znałem Kazika kilka lat – zaczyna wywód. – Nigdy nie łączyła nas zażyłość, bo obaj gustowaliśmy w młodszych. Zdarzało się, że konkurowaliśmy nawet o jedną zdobycz, ale nigdy nie podchodziłem do tej rywalizacji z zazdrością. Według moich informacji to Kazik był kiedyś żonaty, ale zorientował się, że mężczyźni mają więcej atutów. No więc Kazik od tej żony odszedł, a to musiało być dawno, bo od paru lat był już jawnym, zdeklarowanym homo, proszę pana, seksualistą.

– Dobrze, dobrze, panie Perkała, powoli – przerywa w końcu Laszczuk. – Co pan robił w piątek, 9 lipca? – pyta, uderzając rytmicznie ołówkiem w blat biurka, próbując narzucić tempo przesłuchania.

– Na placu byłem po południu, około szesnastej. Wie pan, panie władzo, wracałem od znajomych z obiadu, niedziela, piękna pogoda, poczułem nagły zew natury. Pokręciłem się chwilę, ale plac świecił pustkami. Udałem się więc do szaletu, za potrzebą. W środku czekał jeden facet, na oko trzydzieści lat, ciemny blondyn o przyjemnej powierzchowności. Był w marynarce, ale niemodnej, z szerokimi klapami. Zapytałem, czy wchodzi do kabiny, a on, że nie, że nie przyszedł na siku. No więc skorzystałem, wymyłem ręce i przedstawiłem się. Zauważyłem, że na palcach prawej ręki ma tatuaże. Chyba na czterech, oprócz kciuka. Potem stanęliśmy obok szaletu, ale nie zdążyliśmy nawet porozmawiać, bo od strony Narutowicza przyleciał Skowyra – ciągnie Perkała.

Świadek dodaje, że Skowyra wyszedł z nieznajomym, bo rzekomo byli już umówieni. – Wtedy sobie przypomniałem, że dzień wcześniej widziałem Skowyrę z jakimś młodzieńcem. Szedł z nimi jeszcze ten doktor...

– Doktor? – Laszczuk wstrzymuje na chwilę rytm i dłońią z ołówkiem celuje w świadka.

– Nie znam nazwiska. Na imię ma chyba Ignacy, a może to pseudonim? W każdym razie jest lekarzem, chyba znanym w mieście, bo na plac przychodzi bardzo rzadko i po kryjomu. Nic więcej nie wiem. Przecież mówiłem, że nie pomogę.

Kiedy Perkała wychodzi z małego pokoiku, naczelnik podnosi słuchawkę, kładzie ją na barku i przytrzymuje policzkiem. Palcem wskazującym prawej dłoni nerwowo wykręca numer wewnętrzny.

– Znaleźć mi Skowyrę, natychmiast.

3.

Czwartek, 14 lipca 1993

Po kilku dniach wyczerpującego upału przychodzi załamanie pogody. Od rana nad Łodzią kłębią się granatowe chmury. – Brać parasol czy nie? – zastanawia się Czesław. Stoi przed lustrem w swoim mieszkaniu. Beznamiętnie patrzy w grzebień, do którego przyczepiła się kolejna kępka jego siwych włosów. Potem na szarą, zmęczoną twarz i zapadnięte oczy, które już dawno nie świeciły tak jak w latach młodości. Rencista poprawia krawat i wychodzi. Po chwili wraca i sięga do szafy po parasol.

Kazik nie miał dużej rodziny, skromną uroczystość zorganizowała siostra zmarłego. W kościele, oprócz przyjaciół, żegna go kilku bywalców pikiety. Z przodu w stylowym garniturze Zdzisław Perkała. Kilka rzędów dalej w dziurawej skórzanej kurtce garbi się Marek Jaszowski. Na zewnątrz wszystkim gościom przygląda się postawny mężczyzna w brązowym płaszczu. Połowę twarzy zasłania mu wysoki kołnierz, drugą połowę głęboko wciśnięty kapelusz.

Cmentarz komunalny Doły to największa łódzka nekropolia. Powstał pod koniec XIX wieku. Najpierw chowano tu luteranów i rzymskich katolików, ale kilka lat później stał się miejscem pochówku baptyistów, prawosławnych, muzułmanów, mariawitów, a także tych, którzy nie identyfikują się z żadnym wyznaniem. Tak jak Kazik, którego ciało wnoszą właśnie przez bramę cmentarza. Trochę dalej, w alejce dla zasłużonych mieszkańców, okazałe marmurowe groby mają m.in. Kazimierz Dejmek, Wojciech Jerzy Has i pierwszy prezydent Łodzi w III RP Grzegorz Palka.

Kazik pomnika nie ma, a zgromadzeni wokół dziury w ziemi oznaczonej jako „grób nr 47” patrzą, jak trumna powoli znika w prostokątnym dole. Księdzu się spieszy, bo deszcz leje coraz mocniej. Odbębnia dwie zdrowaśki, wieczny odpoczynek i ucieka na plebanię.

Przyjaciele stoją jeszcze kilka minut w ciszy. W końcu Wiesia daje znak, że trzeba wracać. Skowyra idzie ostatni, w jednej ręce trzyma parasol, drugą ma w kieszeni kurtki. Przez całą drogę patrzy pod nogi, bo ulewa szybko zmieniła cmentarne alejki w bagno.

Kiedy grupa znajomych mija ostatnie drzewa w alejce i wychodzi naprzeciw bramy, zza szerokiego pnia klonu nagle wyłania się postać

w brązowym płaszczu. Staje pół kroku przed Skowyrą i zastawia mu drogę.

*

Laszczuk nie jest w dobrym nastroju. Nad ranem odebrał telefon z laboratorium. Dowiedział się, że niemal wszystkie zabezpieczone na miejscu zbrodni ślady linii papilarnych należą do ofiary i jego znajomych. Tylko jeden odcisk, ten ze szklanki z herbatą, może należeć do Romana. Problem w tym, że na podstawie jednego niewyraźnego śladu w laboratorium nie mogą znaleźć odpowiednika w rejestrze. Nie wiadomo więc, czy Roman był wcześniej karany.

Przed południem przychodzi też opinia techników, którzy badali materiał biologiczny. Koperta z napisem „Ślad numer 5” z niedopałkami papierosów jest do wyrzucenia. Nie stwierdzono na nich żadnego materiału genetycznego. Technicy zbadali też ślad numer 1, koszulę, którą Roman prawdopodobnie zostawił u Kazika po zabójstwie.

Wyróżnili na niej trzy rodzaje śladów krwi.

Ślady rozpryski: „Mogły powstać przy powtarzających się uderzeniach tępym narzędziem. Rozpryski nie powstają przy pierwszym uderzeniu, nawet wówczas, gdy uderzenie to spowodowało uszkodzenie powłok skórnych oraz naczyń. Rozpryski na wyżej wymienionym dowodzie wskazują, że krew mogła rozpryskiwać się we wszystkich kierunkach, gdy plecy koszuli były izolowane od źródeł krwawienia (przód marynarki mógł być otwarty, a mankiety koszuli zapięte)”

Ślady stykowe: „Powstały na skutek dotyku zakrwawionym przedmiotem lub kontaktu z zakrwawioną powierzchnią”

Najwięcej o Romanie mówią ostatnie. Ślady zacierane. „Powstałe w wyniku zacierania lub usuwania, zapewne wodą. Ten rodzaj śladów widoczny jest na powierzchni lewego przodu koszuli, w dolnej części prawego przodu oraz wolnych końcach rękawów”

Laszczuk liczył, że oprócz krwi Kazika na koszuli będą też ślady biologiczne zabójcy. Materiał porównawczy mógłby być solidnym dowodem po znalezieniu podejrzanego. Na razie jednak nie ma ani

sprawcy, ani materiału do porównania, a za chwilę u komendanta ma zreferować efekty śledztwa.

Kolejny powód do niepokoju siedzi skulony na tylnym siedzeniu.

– Czy ja mam pana aresztować za utrudnianie śledztwa? – Laszczuk odwraca się do Skowry z kajdankami w dłoni. Musi mówić głośno, by przekrzyczeć bębniące w karoserię grube krople deszczu.

– Nie rozumiem, przecież już wszystko powiedziałem.

– Gówno pan powiedziałeś. Z kim pan się widział na placu Dąbrowskiego oprócz Romana?

– A co to ma za znaczenie teraz, z kim byliśmy?

– Może na dołku coś się panu przypomni – ucina prowadzący sprawę i przekręca kluczyk w stacyjce.

– Ja po prostu nie chciałem, żeby wszyscy wiedzieli...

– O czym?

– O panu doktorze. On jest poważanym lekarzem, pół miasta go zna. Nikt o nim nie wie. To jest naprawdę dobry człowiek.

– Panie Skowyra, czy pan myśli, że my tu prowadzimy agencję matrymonialną? Chuj mnie obchodzi, kto z kim sypia i po co chodzi na plac. Pański przyjaciel już zginął, ale ofiar może być więcej. Nie przyszło panu do głowy, że to kluczowy świadek? Że może nam coś powiedzieć o zabójcy?

– Ja wiem, jacy są ludzie. Oni go zniszczą. A doktor ma reputację, rodzinę. Żal człowieka.

– A Kazika panu nie żal?

– Nawet sobie pan nie wyobraża... Sprowadziłem mu do domu mordercę. O niczym innym nie myślę.

– Co to za doktor? – Laszczuk widzi, że świadek mięknie, więc idzie za ciosem.

– Kiedy szedłem z Romanem w stronę przystanku, spotkaliśmy mojego lekarza. Zapytał, dokąd idziemy i jakie mamy plany, zaprosiłem go na lampkę wina. Nie w celach matrymonialnych, w podziękowaniu za wypisanie recepty. Pojechał z nami, wypił herbatę, wino i wyszedł.

- Miał okazję do rozmowy z Romanem bez pana?
- Chyba nie.
- A kto herbatę robił?
- No ja.
- I gdzie byli wtedy goście?
- No faktycznie przez chwilę siedzieli sami w pokoju, ale ile to wodę wstawić i zalać wrzątek. Chwila moment.
- Nazwisko.
- Panie komisarzu, ale czy to jest konieczne, naprawdę?
- Przecież i tak się dowiem, panie Skowyra...

*

Media w całej Europie transmitują konferencję londyńskiej policji. Mundurowi mówią o grasującym nad Tamizą seryjnym zabójcy. W ciągu kilku miesięcy zabił pięciu mężczyzn. Jego ofiary to: znany reżyser teatralny, bibliotekarz, amerykański biznesmen, który przeprowadził się do Londynu trzy lata wcześniej, zarządca domu spokojnej starości i kucharz. Przed śmiercią byli związani, bici, w większości chłostani. Wszyscy zostali zamordowani w mieszkaniach lub domach i wszyscy byli homoseksualistami. Zabójca kontaktuje się z policją, ale anonimowo. Właśnie przekazał, że co tydzień będzie zabijał jednego mężczyznę. – Chyba że mnie złapiecie – dodał.

Istotną rolę w brytyjskim śledztwie odegra jeden z najbardziej znanych na świecie profilerów Paul Britton, autor książki *Profil mordercy*. Kilka dni później policja zatrzyma mężczyznę, którego zarejestrowała kamera monitoringu w obecności jednej z ostatnich ofiar. Ponieważ będzie pasował do profilu stworzonego przez Brittona, zostanie aresztowany. Przyzna się dopiero po trzech tygodniach. Podczas przesłuchania powie, że chciał zostać seryjnym mordercą. „Czytałem książki i pomyślałem sobie, że ja też bym tak potrafił” – powie. Za kratami spędzi całe życie.

W polskiej policji o profilerach jeszcze nikt nie słyszał. Intuicyjnie, po omacku, „profil” Romana bada podkomisarz Laszczuk. Właśnie puka

do drzwi komendanta z najnowszym raportem.

– Słyszałeś? W Londynie też mają zabójcę gejów. Epidemia jakaś, kurwa.

– Komendant wyłącza telewizor i skinieniem głowy wskazuje krzesło po drugiej stronie biurka. – Mów.

– Wiem, że spodziewa się pan przełomu, ale na razie nic z tego – zaczyna.

– Mamy za to wiele wspólnych elementów.

Oprócz orientacji ofiar wszyscy oprócz Jakuba Marksa zginęli w swoich mieszkaniach. Przyczyny zgonów podobne. Uduszenie lub śmierć na skutek ran kłutych. To nie wygląda na działanie wyrafinowanego zabójcy. Prawie za każdym razem z mieszkań coś ginęło, więc najbardziej prawdopodobny jest motyw rabunkowy.

– A dlaczego homoseksualiści? – pyta komendant, ale w odpowiedzi dostaje tylko skwaszoną minę i niezdarnie rozłożone ręce Laszczuka.

– A te tatuaże? Ktoś im się przyjrzał?

– Jeden z naszych zaufanych ludzi dokładnie analizuje ich znaczenie. Są pewne różnice między zakładami, ale wytatuowana kropka na krtani oznacza kogoś, kto nadużywa alkoholu. Ta przy lewym oku to albo cynkówka – mogą ją mieć tylko grypsujący, albo przedłużka – znak, że ktoś jest totalnie zdemoralizowany. W ten sposób pokazuje, że może przedłużyć sobie wyrok, bo nie ma nic do stracenia.

– A świadkowie? Podobno są cztery osoby, które spędziły z nim pół nocy?

– Przesłuchani, pod telefonem. Razem z Czesławem Skowyrą, który spał z naszym podejrzanym, codziennie sprawdzamy plac Dąbrowskiego, bar Orfeusz i okolice dworca, ale nikt tam już nie chce z nami rozmawiać.

– Tęskni się za starymi zwyczajami, co? – Komendant uśmiecha się, jakby powiedział rubaszny żart, ale Laszczukowi nie jest do śmiechu. Końcowa opinia z laboratorium przyjdzie lada dzień, ale już dzwonili, że nic z tego nie będzie. Są za to wyniki krwi. Wiadomo, że sprawca próbował zatrzeć ślady. Zabójstwo prawdopodobnie popełnił w koszuli, pobrudził się krwią i próbował zmywać plamy wodą.

– To chyba nie świadczy o nim najlepiej.

– Jest jeszcze coś. Kamiński zmarł dopiero na skutek uduszenia, ale wcześniej był bity i kaleczony. Ktoś nawet próbował odciąć mu ucho. Tymczasem na koszuli zabójcy jest tylko krew ofiary. To nieprawdopodobne, żeby przy takich ciosach pokrzywdzony w ogóle się nie bronił.

– Może napastników było więcej? Jeden albo dwóch trzymało ofiarę, a ten twój Roman był najbliżej i zadawał ciosy? – sugeruje komendant, ale szybko zmienia temat, bo jego wzrok zatrzymuje się na leżącej na biurku notatce.

– Przyszło z Komendy Głównej, już się zainteresowali sprawą. Na razie mówią, że chcą pomóc, ale wiesz, jak jest. Jak nie będzie efektów, mogą nam zabrać sprawę, więc nie spierdol tego, Stasiu, bo będzie wstyd na całą Polskę.

– Przejrzę w drodze, komendancie. Jeśli to wszystko, wolałbym się odmeldować. Pędzę do świadka, który, jak się okazało, miał kontakt z poszukiwanym dzień przed zabójstwem.

– I nikt go jeszcze nie rozpytał?

– Świeża sprawa. Jeden ze świadków dopiero wskazał, że był tam ktoś jeszcze. To lekarz, podobno znany w mieście.

– Jeszcze jedno. – Komendant zatrzymuje go w drzwiach. – Z Warszawy prosili, żeby wysłać komunikat do prasy. Teraz wszystko się załatwia transparentnie, rozumiesz. Bądźcie gotowi na zalew telefonów, trzeba będzie to jakoś przesiać.

„W związku z zabójstwem K. Kamińskiego i ustaleniami dotyczącymi Romana dokonano ponownej analizy akt śledztwa w sprawie zabójstwa Stefana Wawrosa, ps. Rafał, dokonanego w Łodzi przy ul. Grabowej 16 w dniu 19 lipca 1988 r. celem ujawnienia ewentualnych elementów zbieżnych w obydwu sprawach” – czyta Laszczuk, wychodząc na parking przed komendą.

W Warszawie sugerują, że należy sprawdzić trzech mężczyzn wymienionych w aktach pierwszego zabójstwa.

Pierwszy to Włodzimierz Nowak, pseudonim Cygan. Nie ma jego rysopisu, nie jest znany policji. Jego nazwisko pojawia się tylko w jednym z protokołów przeszukań.

Drugi to Jarosław Pokora, zamieszkały w Podczaszej Woli w województwie radomskim. W tamtym czasie przebywał na terenie Łodzi bez zameldowania. Z mieszkania Wawrosa ukradł kurtkę z kluczami. Przypuszczał, że to klucze ofiary, i chciał okraść jego mieszkanie. Z notatki Laszczuk dowiaduje się, że Pokora pracował wtedy w zakładach Eskimo.

Podkomisarz kończy czytać pismo już w służbowym passacie, odpala silnik i jedzie na Stare Bałuty. Drzwi mieszkania w dwupiętrowym bloku otwiera mężczyzna w średnim wieku. Naczelnik przedstawia się pełnym nazwiskiem i stopniem.

– Możemy porozmawiać?

– Oczywiście, zapraszam – mówi z przejęciem lekarz.

– Może słyszał pan o zabójstwie, do którego doszło na granicy Widzewa i Starego Miasta? – Laszczuk wie, że ma mało czasu, nie dba o konwenanse.

– Herbaty? – pyta w tym samym czasie lekarz. – Tak, słyszałem, wielka tragedia.

– Znał go pan?

– Zamordowanego? Nie, nie, skąd.

– Panie doktorze, czy jesteśmy sami?

– Żona wyjechała z dziećmi do rodziny na kilka dni.

– To porozmawiajmy szczerze.

– Zamieniam się w słuch.

– Według moich informacji dzień przed zabójstwem rozmawiał pan z mężczyzną, którego typujemy jako sprawcę zabójstwa. Przedstawia się imieniem Roman. Poznał go pan, kiedy spotkaliście się ze Skowyrą na placu Dąbrowskiego w piątek, 9 lipca.

– Tak, tak, pamiętam.

– Panie doktorze, mnie nie interesuje, co pan robił na placu. Ile razy pan tam bywał i w jakim celu. Ale musi mi pan powiedzieć wszystko, co jest związane z Romanem. Rozumie pan?

– Jasne, jestem gotowy do współpracy.

– To od początku.

Około siedemnastej na placu Dąbrowskiego lekarz natknął się na Czesława Skowyrę. To jego pacjent, ma problemy neurologiczne. Szedł z młodym mężczyzną, lekarz od razu zwrócił na niego uwagę. Był przystojny, choć niedbale ubrany. Kiedy go mijali, Czesław ukłonił się i obydwaj przystanęli. Skowyra poprosił o wypisanie recepty. We trzech podeszli do kiosku, doktor wypisał dokument na ladzie. Z wdzięczności Czesław zaproponował lampkę wina. Przedstawił nieznanego doktorowi, ale kilka słów zamienili dopiero u Skowiry. Gospodarz postawił na ławie butelkę wina i dwa kieliszki. Sam nie pił, problemy z sercem. Potem poszedł do kuchni zrobić kanapki.

– Szybko wypił swoją lampkę, więc wziąłem butelkę i nalałem mu kolejną – opowiada lekarz. – Na ławie leżała gazeta otwarta na stronie z horoskopem. Przeczytałem swój i zapytałem Romana, spod jakiego jest znaku. Odpowiedział tylko, że z czerwca. Czyli Bliźnięta, mówię. Generalnie był bardzo skryty, ale nie sprawiał wrażenia niezdolnego do rozmowy. Odniosłem wrażenie, że to raczej jego wyrafinowanie.

– A jak już mówił, to co? – naciska Laszczuk.

– Że mieszka w okolicy Rzgowskiej i opiekuje się chorą matką. Spytałem, czy zajmuje się czymś zawodowo.

– Powiedział, że pracuje w Zakładach Dzierżyńskiego. Ucieszyłem się nawet, że rozmowa się rozkręci, bo mamy wspólny temat. Moi rodzice tam pracowali, dopytałem więc, czy jest na przędzalni, czy wykańczalni. On na to, że jest robotnikiem. Więcej nie pytałem. Pół godziny później wyszedłem i pojechałem do domu.

– Zaraz, zaraz. Zakłady Dzierżyńskiego?

– Tak powiedział. Zakłady Dzierżyńskiego.

– Czyli Eskimo?

– Tak, teraz Eskimo.

– Dziękuję, panie doktorze. Będziemy w kontakcie.

Laszczuk podrywa się z fotela i pędzi do drzwi. – Panie podkomisarzu, ale rozumiem, że wszystko zostaje między nami?

– Jeśli niczego pan nie ukrywa, nie musi się pan bać – rzuca przy wyjściu policjant i wybiega do auta.

4.

16 lipca – 10 sierpnia 1993

„Express Ilustrowany” to lokalny tabloid. Ukazuje się nieprzerwanie od 1923 roku. Jego weekendowe wydanie ma ćwierć miliona nakładu.

Mężczyzna, który patrzy z okładki dziennika z 16 lipca, ma owalną twarz, ciemne włosy zaczesane na bok i przedziątek na wysokości zewnętrznej krawędzi lewego oka. Nos szczupły, usta pełne, uszy zasłonięte włosami. Jego obojętny wzrok kontrastuje z bijącym po oczach tytułem „Zabójca – sadysta”, który nadano głównemu artykułowi wydania.

Portret pamięciowy przedrukowany w „Expressie” różni się od tego, który kilka dni wcześniej wysłano do jednostek wojewódzkich policji. Twarz Romana jest wydłużona, wygląda na szczuplejszą.

– Co to za gęba? Zupełnie do niego niepodobny – dziwi się Wiesia. Egzemplarz dziennika z samego rana przyniósł jej Czesław.

– „Zabójca sześćdziesięcioletniego mieszkańca ulicy Konstytucyjnej wyjątkowo brutalnie pastwił się nad swoją ofiarą – czyta na głos emerytka. – Śródmiejska policja w czasie oględzin zwłok zauważyła rozerwane nozdrza i naderwane ucho, rozbitą głowę oraz wyraźne ślady duszenia mężczyzny”. – Wiesia czuje, że kolejne zdanie nie przejdzie jej przez gardło. Zamyka oczy, bierze kilka oddechów i czyta dalej: „Z soboty na niedzielę (tydzień temu) odbywało się kilkusobowe przyjęcie imieninowe, w którym uczestniczył przypadkowy gość. Balowicze, zmieniając lokale, trafili do mieszkania przy ulicy Konstytucyjnej. Późnym

wieczorem, gdy skończył się alkohol, wyszli wszyscy, z wyjątkiem tegoż, nikomu bliżej nie znanego dwudziestokilkulatka. Rano znaleziono okaleczone zwłoki gospodarza. Gość znikł. Jest poszukiwany przez policję”

– Balowicze? To o nas? Zabrakło alkoholu? Co to za brednie? – Emerytka kipi ze złości, ale ciekawość nie pozwala jej odłożyć gazety. Pod koniec artykułu autor podpisany jako „k” pisze, że poszukiwany mężczyzna jest szczupły, ma około stu siedemdziesięciu sześciu-stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrów wzrostu i „ładną, delikatną twarz”. Wymienia tatuaże na twarzy i sugeruje, że na klatce piersiowej może mieć blizny lub „malunki”. I że mógł być widziany nocą w niedzielny ranek w okolicach ulic Konstytucyjnej, Narutowicza i Rzgowskiej.

– Oni go nigdy nie znajdą – kwituje Wiesia i rzuca gazetę na stół.

✱

Policja na razie dawkuje prasie informacje o Romanie. Komendant zdecydował, by nie informować jeszcze o poprzednich zabójstwach i nie przekazywać informacji o orientacji ofiary ani poszukiwanego.

Ale pierwsze doniesienia nie przynoszą efektów, dlatego po kilku dniach mundurowi zmieniają strategię. 29 lipca ta sama gazeta publikuje kolejny artykuł – *Kochał i mordował. Morderca siedmiu homoseksualistów poszukiwany*. A w nim: „Policja poszukuje mężczyzny, który prawdopodobnie jest zabójcą siedmiu homoseksualistów z Łodzi”. Informuje, że pierwsze morderstwo miało miejsce w 1988 roku, a ostatni raz zabójca dał o sobie dać 11 lipca. I dalej: „Morderca działał w sposób bestialski. W mieszkaniu znaleziono zwłoki mężczyzny z nadgryzionym uchem i poranionymi plecami (...) Policja nie wyklucza, iż wszystkie morderstwa zostały popełnione przez tę samą osobę. Może na to wskazywać wyjątkowo sadystyczny sposób działania. Wiemy, iż również on jest homoseksualistą. Przez wiele lat morderca wymykał się policji, tym razem pozostawił wiele śladów”.

Dalej jest rysopis i portret pamięciowy, tym razem twarz Romana jest zbliżona do naturalnych rozmiarów.

O seryjnym zabójcy homoseksualistów piszą też „Życie Warszawy” i „Gazeta Wyborcza”. Komunikat z portretem pamięciowym emitują w *Wiadomościach* TVP, w *Łódzkich Wiadomościach Dnia* w regionalnym ośrodku telewizji polskiej i w *Aktualnościach* w lokalnej stacji Tele 24.

Następnego dnia telefon w komendzie dzwoni bez przerwy. Laszczuk poinstruował podopiecznych, by informowali go wyłącznie o wiarygodnych sygnałach. Za taki policjanci uznają między innymi wiadomość od kobiety pracującej w szalecie publicznym na placu Niepodległości.

– Ten mężczyzna z okładki... On tu był, przed chwilą – powiedziała przez telefon. – Zapamiętałam go, bo wszedł na stronę damską i nie chciał wyjść. Posłuchał mnie dopiero, gdy zagroziłam, że wezwę policję. Dałam mu klucz do kabiny i papier. Z brązowego portfela wyjął dwa banknoty po tysiąc złotych. Podał mi tak, że wierzch dłoni miał skierowany w stronę podłogi. Nie widziałam, czy na palcach ma namalowane litery. W kabinie przebywał może minutę.

Kobieta wspomniała też, że kilka miesięcy wcześniej pracowała w innym szalecie, na ulicy Narutowicza.

– I tam też go widziałam – przyznała. – Tak samo chciał skorzystać z damskiej, ale stanowczo odmówiłam. Już wtedy pomyślałam, że to mylenie kabin jest trochę dziwne. Ja ze względu na rodzaj pracy spotykam się z różnymi ludźmi. Potrafię ich rozpoznać po zachowaniu. A ten mężczyzna idealnie pasował mi do grupy określanej jako pedały.

Na miejsce jedzie najbliższy patrol. Dwóch policjantów najpierw dyskretnie obserwuje okolicę szaletu. W okolicy widzą spacerującego trzydziestokilkulatka, który z daleka przypomina mężczyznę z portretu. Policjanci rozdzielają się, jeden idzie za typowanym, drugi z daleka próbuje obejść szalet, by zablokować mu drogę ucieczki. Po chwili ten z tyłu zbliża się do spacerującego na odległość kilku kroków, wtedy on przystaje i odwraca się do niego. Policjant spostrzega, że mężczyzna zupełnie nie przypomina Romana.

Tego samego dnia inny mundurowy puka do działu kadr w zakładach Eskimo. Na komendę wraca z listą pracowników o imieniu Roman. Jest ich dziesięciu. Laszczuk każe sprawdzić wszystkich. Jeśli zabójca rzeczywiście ma tak na imię, a to, co powiedział lekarzowi, było prawdą, musi być na tej liście. To dla prowadzącego sprawę kluczowy trop w śledztwie. W międzyczasie zaufanemu sierżantowi poleca odnaleźć i przesłuchać dwóch mężczyzn, o których w notatce napisali policjanci z Warszawy.

– Skup się na Pokorze. Zeznawał, że pracuje w Eskimo jako zaopatrzeniowiec. To może być punkt zaczepienia. Drugiego tylko przepytaj i pokaż portret pamięciowy – poleca młodemu sierżantowi.

✱

– Czy mogę liczyć na anonimowość? – pyta przez telefon pacjentka oddziału laryngologicznego szpitala w Skierniewicach. – Dzwonię w sprawie tego zabójcy, o którym piszą w „Expressie”. Podobny do niego mężczyzna przebywa na tym moim oddziale. Nie chce jeść posiłków we wspólnej sali, milczy i nie nawiązuje z nikim kontaktu.

– A jak wygląda? – pyta policjant.

– No tak jak ten na zdjęciu. Koło lewego oka ma ciemną kropkę, a na palcach jakieś litery. Ostatnio koło szpitala przejechał radiowóz. Na jego widok uciekł do środka, a kiedy ktoś zapytał go o ten tatuaż, schował rękę do kieszeni.

Dwie godziny później dwóch policjantów z wydziału operacyjno-rozpoznawczego komendy w Skierniewicach wchodzi do tamtejszego szpitala. Dowiadują się, że wskazany pacjent ma dziś operację ucha. Za chwilę ma być wieziony na salę.

– Proszę się przyjrzeć. – Policjanci dają lekarzowi dyżurnemu portret pamięciowy.

– Nie wiem, czy to on, właśnie zacząłem dyżur, a pacjenta przyjęliśmy dwa dni temu. Nie miałem z nim kontaktu – odpowiada medyk.

– Pan weźmie ten portret, pójdzie do sali i sprawdzi, czy jest podobny.

– A nie możecie sami, panowie? To chyba wasza działka.

– Panie doktorze, nie chcemy go przestraszyć. Pana obecność nie wzbudzi podejrzeń.

Po kilku minutach lekarz wraca na parter i mówi, że pacjent ma podobne włosy i tatuaże. – Na palcach wytatuowane jakieś litery, ale nie mogłem się przyjrzeć z bliska. Proszę go zabrać, panowie, nie chcemy tu zamieszania.

Policjanci przez radio zawiadamiają dowódcę. Mają zatrzymać pacjenta i przewieźć go na komendę w Skierniewicach.

Wbiegają do sali. Jeden czeka w gotowości z dłonią na kaburze, drugi sprawnie zakłada leżącemu kajdanki. Wyprowadzają pacjenta na dół i odwożą na komendę. Biorą odciski palców i robią zdjęcia. Ma wytatuowane, ale mocno przetarte litery na palcach i kropkę przy oku. Brakuje tatuażu na krtani.

– Panowie, to jest jakaś pomyłka. – Pacjent zeznaje w szpitalnym szlafroku, bo policjanci nie pozwolili mu nic ze sobą zabrać. Mówi, że 10 lipca, w dniu zabójstwa, przedpołudnie spędził z żoną i dziećmi, o trzynastej przyszedł po niego kolega i razem poszli do sklepu. – Kupiliśmy ćwiartkę wódki i poszliśmy do pijalni piwa na ulicę Północną. Jest wielu świadków, którzy mogą to potwierdzić. Policjanci faksem wysyłają zdjęcie do Łodzi. Tego samego dnia mundurowy z czarno-białą fotografią pacjenta puka do mieszkania Czesława Skowry. Rencista zerka na zdjęcie i kręci głową.

– Nie, to na pewno nie on.

*

Na liście czynnych homoseksualistów, którą od dwóch tygodni tworzą policjanci z łódzkiej komendy, jest już ponad dwieście nazwisk. Mundurowi wciąż penetrują plac Dąbrowskiego i okolice dworca Łódź Fabryczna. Za niektórymi chodzą do ich domów, by na osobności pokazać im portret Romana. Jak wynika z notatek, które potem trafiają do Laszczuka, rozpytania niewiele wnoszą. „Był małomówny”, „Nie chciał

rozmawiać”, „Na pytania odpowiadał jednym słowem: tak lub nie”. „Nie chciał otworzyć drzwi”.

Rozmawiają też z prostytutkami z rejonu dworca PKP, parku Moniuszki i ulicy Składowej. Wszystkie notatki kończą się tak samo: „wynik negatywny”.

Dwaj policjanci odwiedzają bar piwny przy Rzgowskiej. Z rozmowy z właścicielem sporządzają notatkę. „Właściciel baru, gdy zorientował się, że dużo wiemy na temat lokalu, powiedział nam, że od około dwóch miesięcy, tj. od czasu, kiedy otworzył lokal, częstymi jego gośćmi są homoseksualiści. Przychodzi ich, jak powiedział, cała masa. Było u niego ponad stu mężczyzn z tego środowiska. Twierdzi, że mają do niego zaufanie, wielu z nich utrzymuje z nim bliższe kontakty, ale nie są to kontakty seksualne. Polegają na tym, że opowiadają mu o swoich przygodach z innymi partnerami, o tym, jak to się stało, że zostali ludźmi tego pokroju, i innego typu wiadomości. Kiedy właściciel zorientował się, w jakiej sprawie przyszliśmy, zadeklarował wszechstronną pomoc. Okazaliśmy mu portret pamięciowy mężczyzny, którego poszukujemy jako sprawcę zabójstwa. Powiedział, że jakiś czas temu, ale nie pamięta dokładnie kiedy, był w barze podobny mężczyzna w towarzystwie innego homoseksualisty. Od tamtej pory ich nie widział i nie może z pewnością powiedzieć, czy to mężczyzna z portretu. Zostawiliśmy mu portret i zleciliśmy do wykonania stosowne działania, które przyczynią się do szybszego ustalenia i zatrzymania poszukiwanego przez nas mężczyzny”.

Sierżant z wydziału Laszczuka dociera do dwóch mężczyzn z notatki z Komendy Głównej. Tak jak kazał przełożony, skupia się na Jarosławie Pokorze, znajomym zamordowanego w 1988 roku Stefana Wawrosa z ulicy Grabowej. Jeśli serii zabójstw dokonał ten sam mężczyzna, to Wawros był pierwszą ofiarą Romana. Prowadzący śledztwo liczy, że Pokora go zna, bo, według informacji z akt i rozmowy z doktorem, obaj pracowali w zakładach Eskimo.

Pokora zeznaje, że był tam zaopatrzeniowcem do maja 1991 roku. Z tego okresu nie pamięta żadnego mężczyzny, który miałby wytatuowane palce

czy twarz, ale kto by to spamiętał, pracowały tam tłumy. Dodaje, że z homoseksualistami nie ma nic wspólnego. Z tym środowiskiem – zaznacza – spotkał się raz. Mogło to być w 1988 lub 1989 roku. Poznał mężczyznę o imieniu Rafał. Mieszkał w Łodzi przy Grabowej. Z początku w jego zachowaniu nic szczególnego nie zauważył. U niego w mieszkaniu był cztery, może pięć razy. Wyjeżdżał z nim na Węgry w celach zarobkowych. Gdy zorientował się, że jest homoseksualistą, to zerwał z nim kontakty. Woli nie zadawać się z podejrzanymi typami. Dwa miesiące później dowiedział się, że został zamordowany, ale on nie miał z tym nic wspólnego.

– To nam nic nie daje. Chyba że Pokora go kryje. Jak myślisz?

– Nie sądzę, naczelniku – odpowiada sierżant, który Laszczukowi składa meldunek z przesłuchania. – Był widocznie zaskoczony pytaniami. Na mój nos mówił prawdę.

– A co z tym drugim? Jak on się nazywał... Nowak?

– Włodzimierz Nowak, pseudonim Cygan. Przesłuchaliśmy go, ale zeznania też nic nie wnoszą – raportuje sierżant. Tyle że w meldunku pomija dwie informacje, które zanotował podczas przesłuchania. Po pierwsze, „Cygan” przyznał, że handluje artykułami gospodarstwa domowego i ubraniami. Pytany o to, w jakim środowisku się obraca, odpowiedział, że jest homoseksualistą i że „chodzi czasem do Pawlukowej na ulicę Wschodnią”

Gdyby przesłuchujący go policjant docisnął świadka i sprawdził, o kogo chodzi, Laszczuk miałby głównego podejrzanego. Ale przełożony przecież kazał skupić się na Pokorze, więc sierżant odpuszcza przesłuchanie.

Kolejni policjanci docierają do połowy z listy pracowników Eskimo o imieniu Roman. Do tej pory żaden z rozmówców nie odpowiada rysopisowi. Nadzieja na przełom przychodzi 10 sierpnia. Laszczuk dowiaduje się, że piętnastego każdego miesiąca w zakładzie wypłacają pensje. W ten dzień zwykle wszyscy meldują się w pracy. Po pieniądze przychodzą nawet ci na urlopach i zwolnieniach. Jeśli Roman naprawdę pracuje w Eskimo, piętnastego musi pojawić się w zakładzie.

Laszczuk ma pięć dni na zorganizowanie zasadzki.

ROZDZIAŁ XII

Twój Rozbójnik

Miejsce: Łódź

Czas: 2018

Śledczy: Władysław Petrycki, komenda wojewódzka policji, Archiwum X

Andrzeja Gołota nie wchodził na zawodowy ring od pięciu lat. Ostatnie walki przegrał z młodszymi kolegami w kraju. Przez techniczny nokaut z Tomaszem Adamkiem i przez nokaut z Przemysławem Saletą. Ale nie daje o sobie zapomnieć. W ostatnich latach wystąpił w dziesięciu odcinkach telewizyjnego show *Taniec z gwiazdami*, był gościem kulis sławy w programie *Uwaga TVN* i bohaterem wyprodukowanego przez Polsat filmu dokumentalnego *Andrzej Gołota. Prawdziwa historia*. Kiedy Władek włącza w internecie jeden z serwisów informacyjnych, na stronie głównej widzi reklamę kolejnej serii programu *Agent gwiazdy*. Były bokser będzie jednym z bohaterów.

Komisarz klika w link, który dostał od Młodego. To archiwalny odcinek jednego z popularnych pod koniec lat dziewięćdziesiątych programów talk-show. Poświęcony był miłości za kratami. Jednym z gości był mężczyzna, którego Władek typuje do zabójstwa Kamińskiego. Wraz z żoną Dorotą mówili, jak wzięli ślub, kiedy Roman był w więzieniu.

W tym samym czasie była supergwiazda polskiego boksu czterdziestodwuletni Andrzej Gołota odpadł z telewizyjnego show *Taniec z gwiazdami*.

Kolejny link od Młodego to profil typowanego mężczyzny na Facebooku. Z dostępnych dla wszystkich informacji można dowiedzieć się, że Roman pochodzi z Łodzi, dziś mieszka w Katowicach i jest

w związku. Na zdjęciu profilowym nie przypomina ani mężczyzny z portretów sporządzanych pod okiem podkomisarza Laszczuka, ani swojego zdjęcia z 1995 roku. Ma stylowe okulary z czarną oprawką i przyprószone siwizną krótkie włosy. Z przekrzywioną głową i lekko otwartymi ustami patrzy w obiektyw jak natchniony artysta. Do pozowanego zdjęcia dodał jeden z dostępnych w serwisie efektów. Jego twarz otaczają czerwone serduszka i białe gwiazdki.

Nie należy do najbardziej aktywnych użytkowników. Polubił tylko trzy strony. Wśród nich m.in. strona pobliskiej parafii, portugalska strona Orgulho Nos Nossos Bombeiros (Duma z naszych strażaków), na której można zobaczyć m.in. zdjęcia i filmy z pożarów i akcji gaśniczych, oraz Centrum Aktywizacji Społecznej. To organizacja, która pomaga wykluczonym. Zapewnia pomoc prawną i spotkania z doradcami zawodowymi, organizuje kursy i szkolenia.

Na ścianie kilka wpisów. Jeden z nich to wiersz opatrzony podpisem:
„Witaj Kochanie! To ja, Twój Rozbójnik”

*Wybacz wszystko co złego zrobiłem
Lecz żyć przy Tobie się nauczyłem
Odejść już dzisiaj od Ciebie nie mogę
Bo mi za bardzo zależy na Tobie
Kocham Ciebie stwierdzam fakt
Jest mi ciągle Ciebie brak
Opętałaś serce me Za to właśnie
Kocham Cię
Jesteś dla mnie wszystkim:
słońcem, marzeniem, przyszłością.
Całym moim światem, bo jesteś moją miłością.
Płonie we mnie to uczucie
i już na zawsze pozostanie.
W sercu moim już na zawsze
tylko Ty Kochanie!*

*Tylko Tobie chcę się zwierzyć,
Trzymać Cię za rękę.
Z Tobą mi niczego nie żal,
Nie pragnę nic więcej.*

Jeden z ostatnich wpisów to zdjęcie z kobietą. Stoją objęci na tle miejskiej dekoracji świątecznej. Zdjęcie nie ma opisu.

Jeszcze jeden to życzenia, które Roman zamieścił z okazji urodzin siostry. „Kochana Siostro! Sto lat w zdrowiu i miłości w dniu urodzin” – pisze.

W innym wpisie krytykuje działania fundacji, która pomaga m.in. byłym więźniom: „Nigdy jej nie słuchajcie! Owszem, na początku jest OK. Ale to gniazdo zła i obłudy. Zanim się zorientujecie, będzie za późno. To zwykły biznes, a bezdomni to tylko ściema pod płaszczykiem Boga. Zostańcie tam, gdzie jesteście, bo inaczej przepadliście”

*

Władek mija kolejne pokoje w wąskim korytarzu na szóstym piętrze i kieruje się do naczelnika, by zameldować o postępach w śledztwie. Przed drzwiami przełożonego odwraca się, słysząc przyspieszone kroki.

– Szefie, mogę na dwa zdania? – pyta Młody, który bez trudu dogonił starszego kolegę.

– Nie teraz, idę z raportem, to musi poczekać.

– Właśnie nie może, to się panu przyda za chwilę. – Wskazuje ruchem głowy drzwi naczelnika.

– Dwie minuty.

Policjanci wchodzą do pokoju, na biurku Młodego leżą akta z poprzednich zabójstw. Władek polecił mu je przejrzeć, by upewnić się, że niczego nie przegapił.

– W sprawie Kamińskiego przesłuchano dwóch świadków, którzy pojawili się w poprzednich zabójstwach, prawda? Jarosław Pokora i Włodzimierz Nowak.

– Do brzegu, Młody, naczelnik nie będzie czekał na twoją puentę.

– Przesłuchiwał ich jeden policjant. Ten od Laszczuka, pamięta pan? Miał skupić się na Pokorze, bo ten pracował w zakładach Eskimo – przyspiesza policjant. – Zeznań Nowaka nie ma w aktach w prokuraturze. O tym, że został przesłuchany, piszą tylko w notatce. I teraz proszę słuchać, co powiedział Nowak. „Jestem homoseksualistą, żyję z handlu. Sprzedaję używany sprzęt RTV” – Młody wyraźnie akcentuje to, co wydaje mu się ważne. – Na pytanie policjanta, z kim się zadaje, odpowiedział: „Chodzę czasem na Wschodnią, do Olechowskiej, Nowakowej i – uwaga – Pawlukowej”

– Pokaż to. – Władek nie wierzy, że mógł przegapić ten trop.

– Stoi jak byk. Proszę zobaczyć. Gdzie wtedy mieszkał nasz typowany?

– Na Wschodniej, z konkubiną.

Młody z dumą odkłada akta i bierze do ręki zdjęcie typowanego od miesiący mężczyzny.

– Nowakowi nie chodziło o kobiety. Gdyby tamten krawężnik mocniej go przycisnął, dowiedziałby się, że kolega Nowaka to nasz znajomy Roman Pawluk.

ROZDZIAŁ XIII

Kazimierz Kamiński, część 3

Miejsce: Łódź

Czas: 1993

Śledczy: Stanisław Laszczuk, komenda wojewódzka policji

11-15 sierpnia 1993

Charakterystyczne mury z czerwonej cegły przetrwały trzy narodowe powstania i dwie światowe wojny. Nie byłoby ich tu, gdyby nie młody Niemiec Ludwik Geyer, który przyjechał do Łodzi w 1826 roku. Na mocy kontraktu zawartego z Komisją Województwa Mazowieckiego dostał działkę budowlaną i zobowiązał się, że jak najszybciej utworzy tu dwadzieścia warsztatów tkackich. Geyer był jednak skuteczniejszy, niż się spodziewano. Szybko wykupił sąsiednie grunty, tworząc wielki fabryczny kompleks o powierzchni czterdziestu ośmiu hektarów. Przy Piotrkowskiej wybudował wielką przędzalnię i tkalnię mechaniczną, a niedługo potem sprowadził do niej pierwszą w Łodzi maszynę parową. Po drugiej stronie ulicy postawił kolejny budynek. Pracownicy nazwali go Białą Fabryką, bo w przeciwieństwie do pozostałych tego typu obiektów był otynkowany.

Geyer stał się ojcem łódzkiego przemysłu i najważniejszym fabrykantem w tej części Europy. Po jego śmierci interes prowadził syn Gustaw. Jego rodzinę z interesu usunęli dopiero naziści. Po wojnie władza ludowa znacjonalizowała fabrykę, tworząc Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego nr 3, które otrzymały nowego patrona – Feliksa Dzierżyńskiego, a w połowie lat sześćdziesiątych nadano im nazwę Eskimo. Dziś w białej fabryce jest Muzeum Włókiennictwa, a produkcja

odbywa się w budynku z czerwonej cegły po drugiej stronie Piotrkowskiej. Wciąż pracuje w nim cztery tysiące ludzi. Za kilka dni w zakładowej kasie wszyscy mają odebrać lipcowe pensje.

Laszczuk stoi przed wysoką na trzy metry, dwuskrzydłową metalową bramą. Po obu stronach zdobią ją kamienne cokoły z ciemniejszym szczytem. Za bramą szerokie podwórze, a dalej budynek zakładów z czerwonej cegły i główne wejście.

Jeśli wszyscy pracownicy będą wychodzić z budynku w tym samym czasie, na podwórzu zrobi się tłum. Policjanci mogą mieć problem z rozpoznaniem Romana. Trudniej będzie go też zatrzymać w razie ewentualnej ucieczki. Zamknąć bramę i puszczać pracowników pojedynczo? Trzeba by rozmawiać z kierownikami, a to już ryzyko przecieku.

– Jestem, panie naczelniku. – Rozważania Laszczuka przerywa posterunkowy w cywilu. Na polecenie podkomisarza przeprowadził rozpoznanie wewnątrz fabryki.

– Kasa jest na parterze, prowadzi do niej wąski korytarz. Pieniądze wypłacane są od godziny dziewiątej do piętnastej – referuje. – Część pracowników z pierwszej zmiany może przyjść po wynagrodzenie w przerwie. Będą schodzić z linii produkcyjnej. Ci z popołudnia zaczną schodzić się koło czternastej, żeby zdążyć przed pracą. Są jeszcze zaopatrzeniowcy, konserwatorzy i stróże, którzy mogą przychodzić przez cały dzień.

*

– Mówię wam, że go nie znajdą. – Grażyna kręci głową, opróżnia kieliszek aroniowej nalewki i patrzy przez okno na pusty trawnik między blokami przy Konstytucyjnej. Przyjaciele Kazika nie wiedzą o zasadzce, którą planuje Laszczuk. Kosztują owocowych nalewek Wiesi i wymieniają się przeciekami ze śledztwa.

– Sąsiadka z parteru mówiła, że jeszcze raz chodzą po domach i pytają o tamtą noc. To znaczy, że chyba nic nie mają, bo po co by wracali?

– Teraz do wszystkich wracają. Skoro Kazik był jego siódmą ofiarą i przez te wszystkie lata nikt go nie widział, to co to znaczy? Może już nie chce się ukrywać? Może mu nie zależy? – zastanawia się głośno Wiesia.

Grażyna nalewa sobie kolejny kieliszek. – A może ktoś go jednak widział, tylko nie chciał mówić? A teraz, jak już mają rysopis, portret, znaki szczególne, to powinni wrócić do tych świadków sprzed lat i im pokazać. Chyba niewielu jest ludzi z takimi tatuażami, co?

– Słuchajcie, to już nie jest tak jak kiedyś, że milicja chroni bandytów. Znajdą go, zobaczą – pociesza wszystkich Czesław. – Widzieliście przecież artykuły w gazetach. On już nie jest anonimowy. Prędzej czy później ktoś go rozpozna – dodaje rencista. Jego ostatnie słowa zagłusza dźwięk dzwonka do drzwi.

– Dzień dobry, szukamy Czesława Skowry – mówi jeden z policjantów, kiedy Wiesia otwiera drzwi.

– Siedzi u mnie, a co się stało?

– Pan pójdzie z nami, panie Skowyra. Będzie pan potrzebny.

✱

Gdyby na dachu Białej Fabryki stanął teraz fotograf i wyceLOWał aparat w kierunku bramy Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Eskimo”, w kadrze zmieściłoby się kilka z pozoru zwyczajnych elementów. Środkiem chodnika, w przyjemnym cieniu, który dają ceglane mury, spaceruje para. On w jasnej koszuli w zielone pasy, z rękami w kieszeniach. Ona w kwiecistej sukience i pantoflach na niskich obcasach. Trzyma go pod rękę i szepcze mu coś do ucha. Za chwilę miną młodego mężczyznę opierającego się o ozdobny cokół bramy. Niedopałki wokół świadczą, że stoi tu co najmniej od pół godziny.

Centralną część kadru zająłby fragment przestronnego podwórza, a na nim dwóch mężczyzn w granatowych kombinezonach. Można pomyśleć, że przyjechali naprawić którąś z maszyn lub przeprowadzić deratyzację.

Wewnątrz czerwonych murów Eskimo spaceruje kolejnych trzech mężczyzn. Dwóch ubranych na ciemno przy drzwiach wejściowych. Trzeci, w kremowej koszuli z krótkim rękawem, pod ścianą, przy okienkach kasy. To on będzie miał najlepszy widok na pracowników, którzy kolejno będą meldować się przed okienkami.

Z tej perspektywy obiektyw nie dojrzałby szarego passata zaparkowanego osiemdziesiąt metrów dalej, na ulicy Piotrkowskiej. W kierownicę nerwowo stuka palcami podkomisarz Laszczuk, obok siedzi jego zaufany sierżant, a na tylnej kanapie spocony z nerwów i upału Czesław Skowyra.

Laszczuk co chwilę zerka w kierunku policyjnego radia. Przeczuwa, że to jego ostatnia szansa na zatrzymanie zabójcy. Od kilku dni ma na głowie prokuratora nadzorującego śledztwo i komendanta, który domaga się szybkich efektów. Jeśli zasadzka w Eskimo nie wypali, może stracić tę sprawę. A z nią szansę na awans, premię i wakacje w Bułgarii. Baśka się wścieknie.

Przed dziewiątą kasjerki zajmują dwa stanowiska. W korytarzu wciąż pusto, zza drzwi słychać tylko szum maszyn. Pierwsi pracownicy schodzą do kasy o dziewiątej trzydzieści. Mężczyzna stojący obok okienka przygląda im się dyskretnie. Na porannej odprawie wszyscy dostali portrety pamięciowe Romana. Starali się zapamiętać jak najwięcej szczegółów, po czym każdy z policjantów złożył kartkę na pół i schował do kieszeni spodni.

Do godziny trzynastej jest jeszcze luźno, potem tłum gęstnieje. Po wypłatę przychodzą pracownicy z drugiej zmiany. Kiedy do dwóch okienek czeka już kilkumetrowa kolejka, do zakładu wchodzi młody, na oko trzydziestoletni mężczyzna. Blondyn, włosy czesane na bok, z przedziałkiem. Sierżant koło okienka wyteżę wzrok, ale obiekt jest za daleko, by zauważyć wytatuowaną kropkę. Kiedy zbliża się do kasy, a sierżant wychyla głowę to w prawo, to w lewo, do typowanego mężczyzny podchodzi nieznajomy. Blondyn staje do niego bokiem, sierżant widzi tylko tył jego głowy i połowę twarzy. Do kasy pracownicy

podchodzą razem, trzydziestolatek wciąż stoi tyłem do sierżanta. Policjant widzi tylko lewy profil mężczyzny, ale prosty nos, owalna twarz i włosy przypominają postać z portretu. Kiedy blondyn odchodzi od kasy, w zaparkowanym osiemdziesiąt metrów dalej szarym passacie rozlega się chrzęst radia i meldunek: „Mamy podejrzanego. Kieruje się do wyjścia”.

Blondyn wolnym krokiem przechodzi przez podwórze. Z kolegą żegna się dopiero za bramą, po czym skręca w lewo i mija opartego o cokół mężczyznę z papierosem. Tajniak daje mu odejść na kilka metrów, rzuca na chodnik kolejnego peta i rusza za nim. Przyspiesza też para zakochanych. On głębiej sięga do kieszeni, ona zaciska dłoń na jego ręce.

– Czekamy, aż skręci w boczną ulicę – mówi do słuchawki radia Laszczuk, włącza silnik i powoli rusza, mijając czerwone mury Eskimo.

Do podejrzanego ma sto dwadzieścia metrów. Przez przednią szybę dokładnie widzi, jak jego ludzie zbliżają się do mężczyzny.

Blondyn idzie jeszcze kilkadziesiąt metrów i znika w bocznej uliczce między kamienicami.

– Bierzemy go – rozkazuje podkomisarz i gwałtownie dodaje gazu. Do trzydziestolatka pierwszy podbiega tajniak od papierosów, tuż za nim mężczyzna, który szedł w parze z policjantką. Powalają go na ziemię i zakładają kajdanki. Auto Fotygi podskakuje na krawężniku i zatrzymuje się tuż przy głowie leżącego. W passacie otwiera się troje drzwi. Czesław przygląda się leżącej na chodniku postaci. Kiedy policjanci podnoszą blondyna z ziemi, rencista wygląda, jakby miał zemdleć.

ROZDZIAŁ XIV

„Nie”

Miejsce: Katowice, Łódź

Czas: 2020

Śledczy: Władysław Petrycki, komenda wojewódzka policji, Archiwum X

3-4 września 2020

Katowickie Bogucice, dwadzieścia minut piechotą od rynku. Po lewej zapomniane boisko sportowe, za nim rząd pomazanych sprejami blaszanych garaży. Po drugiej stronie supermarket z parkingiem na sto dwadzieścia miejsc, przy nim kamienica zbudowana na planie litery „U”. Jej ściany z czerwonej cegły nawet przypominają pofabryczną architekturę Łodzi.

Kamienica ma trzy kondygnacje. Mieszkania na parterze są na poziomie chodnika. Od ulicy dwie klatki, do pierwszej wchodzi dwóch policjantów z katowickiej patrolówki. Za nimi czterech mężczyzn w cywilu. Drewnianymi schodami kierują się na pierwsze piętro i pukają do drzwi na wprost.

Cisza.

*

Poszlak jest dużo. Chociażby daty zabójstw. Wszystkie pokrywają się z czasem, w którym Pawluk był na wolności. Jest też rysunek postaci leżącej na dywanie w romby. W takiej pozycji i na takim dywanie leżał zamordowany w 1990 roku Andrzej Starak. Władek twierdzi,

że w więzieniu Pawluk odtworzył obraz, który widział przed laty po zamordowaniu pacjenta szpitala psychiatrycznego.

Z akt ostatniego zabójstwa policjanci wiedzą, że zasadzka na Romana w Zakładach „Eskimo” skończyła się fiaskiem. Mundurowi zatrzymali wówczas tylko podobnego do mordercy mężczyznę. Na polecenie Laszczuka funkcjonariusze wysłali jeszcze komunikaty z portretem zabójcy do wszystkich zakładów karnych w kraju. Z trzech odpowiedzi, że ktoś podobny do Romana był w ich jednostce, sprawdzili dokładnie. Wynik negatywny. W uzasadnieniu umorzenia ostatniej sprawy z 8 października 1993 roku, które Władek Petrycki zna niemal na pamięć, prokurator napisał, że policja wykonała „szereg czynności operacyjno-procesowych”. Mundurowi rozmawiali ze wszystkimi bliższymi i dalszymi sąsiadami Kamińskiego i z jego przyjaciółmi, którzy w noc zabójstwa bawili się z nim na imieninach, a potem w jego mieszkaniu. Na podstawie zeznań stworzono komputerowy portret pamięciowy. Sporządzono rysopis ze znakami szczególnymi. Do poszukiwania zaangażowano niemal wszystkich funkcjonariuszy łódzkiej policji. Portret pamięciowy Romana przez kilka tygodni jeździł w każdym radiowozie w regionie. Opublikowano go w czterech gazetach, pokazano w ogólnopolskiej i lokalnej stacjach telewizyjnych.

Przez dwa miesiące niemal codziennie policjanci w cywilu sprawdzali miejsca, w których spotykali się homoseksualiści. Ciągłą obserwacją otoczyli plac Dąbrowskiego, plac Niepodległości, park Moniuszki, dworzec Łódź Fabryczna, okolice szaletów i pomnika w parku Na Zdrowiu oraz bary gejowskie w Łodzi przy Rzgowskiej i Jaracza. Na liście „czynnych homoseksualistów” umieścili dwieście dwa nazwiska. Sprawdzili ponad trzysta adresów w okolicy Rzgowskiej.

Rozmawiali z listonoszami, którzy obsługują mieszkania w tym rejonie. Sprawdzili zakłady poprawcze, poradnie dla osób chorych na AIDS i miejskie ośrodki pomocy. Schroniska dla bezdomnych, izby wytrzeźwień i siedziby pracowników socjalnych zajmujących się doraźną opieką.

Czesławowi Skowyrze okazano sto trzydzieści pięć zdjęć osób, które według policjantów mogły odpowiadać rysopisowi sprawcy.

W aktach jest jeszcze notatka podkomisarza Laszczuka, w której pisał, że Skowyra widział zdjęcie kolejnego podejrzanego: „Według świadka na okazywanych mu zdjęciach żaden mężczyzna nie jest nawet podobny do Romana”. I: „Mimo że często pokazywane są mu kserokopie zdjęć, to nie możemy mieć wątpliwości co do jego zeznań”.

Osiem dni wcześniej policjanci ze Śródmieścia pukali do drzwi mieszkania przy ulicy Wschodniej. Ktoś im doniósł, że sąsiad przypomina poszukiwanego Romana. Drzwi otworzył mężczyzna podobny do tego z portretu, ale zaraz za nim wyszła kobieta.

– To moja partnerka – przedstawił ją gospodarz. Funkcjonariusze wykluczyli go z kręgu podejrzanych, bo przecież szukali homoseksualisty. Na wszelki wypadek zrobili mu zdjęcie. Z tyłu podpisali: „Roman Pawluk”. Tego samego dnia razem z czterema innymi fotografiami pokazują je Czesławowi Skowyrze. Rencista odpowiada jak zwykle:

– Panowie, to przecież nie on!

Kilka miesięcy po umorzeniu śledztwa w sprawie Kamińskiego Czesław Skowyra widział Romana w przejeżdżającym przez centrum Łodzi samochodzie. Po dwudziestu pięciu latach mężczyzna, który wtedy prowadził auto, rozpoznał go na zdjęciu, na którym jest Roman Pawluk. Ale przed sądem nikt tego już nie potwierdzi, bo Czesław nie żyje od dwudziestu lat.

Tak jak Włodzimierz Nowak, który w 1993 roku zeznał, że zadawał się z „Pawlukową” z ulicy Wschodniej. Władek sprawdził wszystkich zameldowanych tam lokatorów w 1993 roku. Żadnej kobiety o tym nazwisku. Mieszkała tam za to Maria W., ówczesna partnerka Pawluka. A on – jak zeznała po latach konkubina – mieszkał tam wtedy z nią. Policjanci nawet zrobili mu zdjęcie, ale Czesław go nie rozpoznał. Dlaczego? Bo każdego dnia funkcjonariusze pokazywali mu dziesiątki fotografii? Bo zdjęciom z ówczesnych aparatów daleko było do jakości HD?

W to, że Czesław mógłby kryć zabójcę, policjanci nie wierzą. Był zbyt mocno zaangażowany w tę sprawę. Z zabójstwem przyjaciela nie mógł się pogodzić do końca życia.

Jednak wszystko wskazuje na to, że Młody miał rację, twierdząc, że damska końcówka nazwiska oznaczała wtedy homoseksualnego mężczyznę. Nowak chodził do Pawluka na Wschodnią. Może nawet z nim nakryła go Maria, kiedy wróciła z pracy?

Z innych źródeł Władek dowiedział się, że Włodzimierz Nowak w tamtym czasie miał kontakty z łódzkimi złodziejami. Skupował od nich kradzione przedmioty i sprzedawał na swoim stoisku. Jeden z nich pracował w Zakładach „Eskimo”, kolejny mieszkał przy ulicy Rzgowskiej, a jeszcze inny został zgwałcony w poprawczaku.

Skoro znali Nowaka, mogli znać i Pawluka. Fakty z ich życia jako swoje przedstawiał Roman, którego szukano w 1993 roku. Skowyrze powiedział, że został zgwałcony, lekarzowi, że pracuje w Eskimo. Mógł poskładać swój życiorys z kilku innych, a rzekome fakty z jego życia, o których opowiadał w towarzystwie, wydarzyły się jego znajomym.

– Moim zdaniem było tak – zaczyna Władek. O ustaleniach wraz z Młodym informują naczelnika, który ma podjąć decyzję o zatrzymaniu typowanego mężczyzny i doprowadzeniu go na przesłuchanie. – Było ich dwóch, może więcej. Roman odgrywał rolę wabika. Był przystojny, tajemniczy. Nie miał problemów z nawiązywaniem znajomości. Poznawał starszego mężczyznę i szedł z nim do jego mieszkania. Kiedy widział, że w lokalu jest coś wartościowego, dążył do kolejnego spotkania lub chciał zostać na noc, a w przypadku Kamińskiego wyszedł na chwilę z jego mieszkania tuż po pozostałych gościach. Kiedy po powrocie właściciel otworzył mu drzwi, razem z Romanem weszli jego koledzy. Zakneblowali gospodarza, dlatego nikt w bloku niczego nie słyszał. Torturami próbowali wymusić informacje na temat cennych rzeczy. Pewnie nic nie wskórali, bo Kamiński nie był bogaty. Zabrali radio, kurtki i nóż kuchenny. Takimi towarami handlował wtedy Włodzimierz Nowak. Sąsiadka Kamińskiego,

do której niedawno dotarliśmy, widziała zdjęcie Pawluka. Stwierdziła, że to on był z nimi wtedy u Kazika.

– Władek, ja widzę w tym sens, ale nie muszę ci mówić, że to nie są żadne dowody. Co z DNA, odciskami?

– Nie mamy materiału do badań biologicznych. Na koszuli, którą znaleziono na miejscu zbrodni, jest tylko krew ofiary. Z linii papilarnych też nie da się nic wyciągnąć.

– To nie mamy nic.

– Może się przyzna, jak go przyciśniemy?

– Po tylu latach?

– Właśnie po tylu latach. Każdy ma jakieś sumienie.

– Bierz go na wariograf. Tyle możemy zrobić. To wciąż gównie dowód, ale może coś nam powie...

*

Mężczyzna w okularach, który delikatnie wychyla się zza drzwi, wygląda na zaskoczonego.

– Roman Pawluk?

– Tak, o co chodzi?

– Jesteśmy z policji, mamy nakaz – mówi jeden z mundurowych. W tej samej chwili z półpiętra nagle wynurza się czterech mężczyzn w cywilu. Jeden po drugim szybko wchodzi do mieszkania na wprost i zamykają drzwi. Roman siada na taborecie w kuchni, obok jeden z funkcjonariuszy. Pozostali przetrząsają mieszkanie. Szukają czegokolwiek, co może mieć związek z zabójstwami sprzed ponad dwudziestu lat. Pół godziny później siedzi już w nieoznakowanym radiowozie. Policjanci zabierają go do Łodzi.

Przed osadzeniem w policyjnej izbie zatrzymań radiowóz zatrzymuje się przed łódzkim Szpitalem im. Babińskiego. Policjanci muszą sprawdzić, czy nie ma przeciwwskazań do dłuższego pobytu w zamknięciu.

Psychiatra pisze w opinii: „Pacjent lat pięćdziesiąt pięć, wielokrotnie hospitalizowany w oddziale detoksykacyjnym w związku z uzależnieniem od alkoholu. Leczony również na oddziale psychiatrycznym

z rozpoznaniem organicznych zaburzeń osobowości i ZZA [zespół zależności alkoholowej]. Ostatni pobyt w szpitalu w Częstochowie w stanie przeddelirycznym, cechy psychodegradacji alkoholowej. Podczas badania pacjent spokojny, nie prezentujący zachowań impulsywnych, zorientowany prawidłowo, w dobrym kontakcie słowno-logicznym, w nastroju dostosowanym do wypowiedzanych treści, napęd w normie, doznań psychotycznych nie ujawnia, stanowczo neguje myśli i tendencje S [samobójcze], potwierdza objawy niepokoju związane z obecną sytuacją życiową. W chwili obecnej brak przeciwwskazań psychiatrycznych do pobytu w PDOZ”

Lekarka zaleca tylko podanie pacjentowi jednej łyżki stołowej hydroksyzinum, syropu na uspokojenie.

4 września przed południem Roman Pawluk siada na krześle w pokoju przesłuchań. Naprzeciwko niego biegły sądowy z dziedziny badań wariograficznych. Świadek mówi, że czuje się dobrze i nie jest zmęczony. Co prawda choruje na nadciśnienie, ale nie bierze żadnych lekarstw. Biegły nie stwierdza więc przeciwwskazań do rozpoczęcia badania. Podłącza trzy mankiety do pomiaru ciśnienia, a na krześle pod ciałem świadka umieszcza poduszkę aktywności motorycznej.

Test stymulacyjny to kilka prostych pytań, m.in. o nazwisko i pogodę. Wynik pozytywny. Następnie biegły zadaje świadkowi jedenaście pytań, które wcześniej przygotowali policjanci. Czyta je powoli i wyraźnie, nie spuszczać wzroku z ekranu komputera.

Na każde z nich badany musi odpowiedzieć „tak” lub „nie”

4 września 2020

Po badaniu wariografem policjanci przewożą Romana Pawluka do Prokuratury Rejonowej Łódź-Śródmieście. Przesłuchanie rozpoczyna się o szesnastej dziesiąt. Czynności prowadzi prokuratorka rejonowa. Pawluk występuje w roli świadka.

– Czy wie pan, w jakiej sprawie jest pan przesłuchiwany?

– Tak. Chodzi o zabójstwo jakiegoś mężczyzny.

– Czy na ciele ma pan tatuaże?

– Tak. Na obu przedramionach mam dystynkcje na wzór wojskowych. Na brzuchu i torsie mam tatuaż kobiety, na klatce piersiowej napis „Belial”, na prawym ramieniu napis „Fabian”, na drugim napis „Diabeł”. Tatuaże robiłem w różnych okresach życia, od lat osiemdziesiątych do dwutysięcznych. Na oczach w przeszłości miałem „mgiełki”, ale teraz są prawie niewidoczne. Miałem kropkę obok lewego oka, ale wywabiłem. Mam też blizny po samouszkodzeniach na lewym i prawym przedramieniu.

– Gdzie pan mieszkał na początku lat dziewięćdziesiątych?

– Na ulicy Gałczyńskiego. Z matką i siostrą. W 1993 roku poznałem kobietę, przeprowadziłem się do jej mieszkania na ulicę Wschodnią. Mieszkaliśmy razem około dwóch lat aż do mojego aresztowania w 1995 roku. Żyliśmy w konkubinacie.

– Kiedy po raz pierwszy był pan na pikiecie?

– Nie wiem, co to jest pikiet. Zawsze unikałem wielkich skupisk ludzi. Raz byłem na finale Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

– Czy kiedykolwiek łączyły pana stosunki intymne z innym mężczyzną?

– Słucham? Pani chyba żartuje.

– Czy jest pan przeciwny osobom homoseksualnym?

– Tego nie powiedziałem.

Prokuratorka sięga do zeznań Marii W., byłej konkubiny Romana, z którą mieszkał na ulicy Wschodniej w Łodzi. Odczytuje fragment o tym, jak kobieta zastała go z innym mężczyzną w łóżku. Roman stwierdza, że to oszczerstwo, Maria próbuje go oczernić, bo ich związek zakończył się nieszczęśliwie.

– Czy był pan kiedykolwiek w mieszkaniu w bloku przy ulicy Konstytucyjnej 5?

– Nie przypominam sobie. Co mógłbym tam robić?

Prokuratorka pokazuje mężczyźnie zdjęcie mieszkania ze zwłokami Kazimierza Kamińskiego. – Czy poznaje pan to mieszkanie i tego

mężczyznę?

– Pierwszy raz widzę. Nie było mnie w nim i nie wiem, co to za mieszkanie.

– Czy znał pan Kazimierza Kamińskiego?

– Nie kojarzę.

– Czesława Skowyrę?

– Tak samo.

– Poznał go pan na placu Dąbrowskiego w lipcu 1993 roku, potem udał się pan z nim do mieszkania.

– Nic takiego nie miało miejsca.

Prokuratorka pokazuje mu zdjęcia zakrwawionej koszuli, którą policja zabezpieczyła na miejscu zbrodni.

– Poznaje pan?

– Mogłem taką nosić, choć wydaje mi się trochę za duża. Nie, to na pewno nie mój rozmiar.

– Proszę sobie przypomnieć lipiec 1993 roku. Czym pan się wtedy zajmował?

– Nie pamiętam. Mieszkałem w Łodzi, pracowałem dorywczo, na budowach, w ogrodnictwie, trochę siedziałem w więzieniu. Ale w lipcu? Nie wiem.

– W Łodzi w latach 1988-1993 dokonano sześciu zabójstw mężczyzn homoseksualnych. Są świadkowie, którzy twierdzą, że miał pan związek z tymi sprawami.

– To niemożliwe. Ja nie mam nic wspólnego z tym światkiem i nikogo nie zabiłem. Przepraszam, jestem już zniecierpliwiony. Czy to wszystko?

Prokuratorka wychodzi do pokoju obok, gdzie na finał przesłuchania czekają Władek i Młody. Po jej minie widzą, że czynności nie przyniosły przełomu.

– Nie przyznaje się. Nie znał Kamińskiego ani Skowyrę, mówi, że nie jest homoseksualistą.

– Wie pani, co wykazał wariograf? – Władek daje jej kartkę ze wstępnymi wynikami badania. Reguły interpretacyjne są proste. Jeśli

przy odpowiedzi na pytanie widnieje mniej niż minus trzy punkty, należy ją uznać za nieszczerą. Im bliżej zera, tym odpowiedź bardziej szczerą.

1. Czy w nocy, kiedy został zamordowany Kazimierz Kamiński, był pan w jego mieszkaniu przy ulicy Konstytucyjnej? – Nie. (Minus pięć punktów).

2. Czy w nocy, kiedy zginął Kazimierz Kamiński, ukradł pan coś z jego mieszkania? – Nie. (Minus 2 punkty).

3. Czy ukrywa pan jakiegokolwiek informacje, w jaki sposób zginął Kazimierz Kamiński? – Nie. (Minus 5 punktów).

4. Czy był pan obecny przy tym, kiedy umierał Kazimierz Kamiński? – Nie. (Minus 4 punkty).

5. Czy wie pan na pewno, kto zabił Kazimierza Kamińskiego? – Nie. (Minus 4 punkty).

6. Czy to pan zabił Kazimierza Kamińskiego? – Nie. (Minus 2 punkty).

7. Czy poza zabójstwem Kazimierza Kamińskiego brał pan udział w jakimś innym zabójstwie? – Nie. (Minus 6 punktów).

8. Czy wspólnie i w porozumieniu z kimś dokonał pan jakiegoś zabójstwa innego homoseksualisty? – Nie. (Minus 6 punktów).

9. Czy kiedykolwiek w 1993 roku odbywał pan stosunek seksualny z Kazimierzem Kamińskim? – Nie. (Minus 6 punktów).

10. Czy w 1993 roku, przebywając w mieszkaniu Kazimierza Kamińskiego, pobił go pan, a następnie udusił? – Nie. (0 punktów).

11. Czy ukrywa pan imię osoby, która zabiła Kazimierza Kamińskiego? – Nie. (Minus 6 punktów).

Prokuratorka odkłada kartkę wprost przed siedzącym przy biurku Władkiem.

– Chyba widzi pani, kogo przesłuchuje? – pyta Młody.

– Panowie, rozumiem wasze rozgoryczenie i doceniam wysiłki, ale wicie, co możemy z tym zrobić – odpowiada prokuratorka. Zarówno ona, jak i policjanci wiedzą, że nawet adwokat z urzędu go z tego wybroni. To żaden dowód.

– A jeśli dobrze się orientuję, oprócz tego macie same poszlaki. Przykro mi, ale nie postawię zarzutów, opierając się na wariografie, zeznaniach świadków po dwudziestu pięciu latach i rysunku zwłok na dywanie – dodaje śledcza i wychodzi do pokoju przesłuchań. Policjanci zostają przy stole w milczeniu.

*

Kilka minut później przez okno wychodzące na dziedziniec prokuratury widzą, jak funkcjonariusz w mundurze wyprowadza Romana Pawluka na parking. Otwiera przed nim drzwi i mówi: – Może pan wracać do domu.

EPILOG

Miejsce: Katowice
Czas: 21 sierpnia 2021

Sernik, który rzekomo upiekł sam, nie smakuje jak domowy. W ogóle nie smakuje. Biorę najmniejszy kawałek i szybko popijam herbatą. Łyk ekspresowej minutki po kawałku tego ciasta smakuje jak herbata w pałacu Buckingham.

*

Przed przyjazdem wiemy o nim już dużo.

Urodził się w 1968 roku w Łodzi. Z rodzicami i młodszą siostrą zajmował komunalne mieszkanie w kamienicy przy Gałczyńskiego. Ojciec był spawaczem, matka pracowała w Stomilu. Przez kilka lat mieszkała z nimi jeszcze przyrodnia siostra Romana. Była dużo starsza, szybko wyprowadziła się z domu.

Kiedy miał dziewiętnaście lat, policja zatrzymała go po raz pierwszy. Za współudział w rabunku z niebezpiecznym narzędziem dostał dwanaście lat. Warunkowo wyszedł po czterech, w 1988 roku, tuż przed pierwszym zabójstwem z serii. W 1992 roku został skazany za zniszczenie mienia, a ponieważ wcześniej na wolność wyszedł warunkowo, dostał kolejne trzy lata. W marcu 1993 roku (cztery miesiące przed ostatnim zabójstwem) wyszedł na przepustkę i nie wrócił. Ukrywał się przed policją, wysłano za nim list gończy. Zatrzymano go dopiero w lipcu 1995 roku. W więzieniu poznał Renatę. Wzięli ślub. Opowiadali o tym w znanym talk-show. Po wyjściu Romana małżeństwo szybko się rozpadło. Drugi raz ożenił się

z Moniką. Ma z nią syna. Zamieszkali wspólnie w mieszkaniu komunalnym.

Tamtej nocy został w mieszkaniu sam. Biegli stwierdzili, że zasnął z papierosem w ręku. Od papierosa zapalił się koc, od niego firanki i zasłony.

W środku nocy z płonącego mieszkania wyciągnęli Romana strażacy. Badanie wykazało, że miał dwa promile alkoholu. Kiedy karetka wiozła go do szpitala, w lokalu piętro wyżej znaleziono kobietę i troje dzieci. Wszyscy zatruli się tlenkiem węgla.

– Oskarżony mógł przewidzieć, że ogień rozprzestrzeni się i zagrozi innym mieszkańcom – pół roku później stwierdził w uzasadnieniu wyroku sędzie, skazując Romana Pawluka na cztery i pół roku więzienia. Wymierzając karę, wziął jednak pod uwagę skruchę oskarżonego. „Przeprosił za to, co zrobił, i żałował tego. Miał dobrą opinię wśród sąsiadów. Choć nadużywał alkoholu, nie był awanturnikiem, nie był też zdemoralizowany” – podkreślił sędzia w uzasadnieniu.

Roman został osadzony w zakładzie w Koronowie, tam przeszedł terapię w związku z uzależnieniem od alkoholu.

*

Przed spotkaniem z Romanem o ostatnich latach jego życia rozmawiamy z jego bliskimi i znajomymi.

Kolega z celi: – Wiedziałem, co zrobił. Po ludzku było mi go żal. Po tatuażach poznałem, że w zakładzie spędził połowę życia, ale w przeciwieństwie do innych w ogóle się tym nie chwalił. Po paru miesiącach pożyczył Biblię. Zmienił się. Był jakby mniej ponury, zaczął się odzywać, opowiadał historie z Pisma Świętego. W więzieniu zielonoświątkowcy organizowali spotkania. Chętnie brał w nich udział. Przy kościele naprzeciwko więzienia działał ośrodek terapii uzależnień. Tam też chodził regularnie. Czasem mnie wkurwiał, bo był natrętny, ale miał sporo do powiedzenia. Przed wyjściem opowiadał, że nie chce wrócić do Łodzi, bo tam jest skreślony. Znalazł organizację, która pomaga byłym

więźniom, pisał do nich listy, potem ktoś z tej fundacji do niego przyjeżdżał. Przekonywał ich, że się nawrócił i że będzie żył w zgodzie z prawem i Bogiem. To miał być jego życiowy cel. Taki sprawdzian silnej woli.

*

Organizacja, o której mówił kolega z celi Romana, to chrześcijańska fundacja z siedzibą w dużym mieście na Śląsku. Prowadzi ośrodek readaptacyjny dla byłych więźniów, pomaga w znalezieniu pracy i mieszkania. Na listy Romana odpisywał Arek, wolontariusz.

Arek: – Kilka lat wcześniej w telewizji zobaczyłem materiał o pożarze w Łodzi. Wszyscy zatruli się dymem, bo piętro niżej lokator zaprószył ogień. W materiale wypowiadali się sąsiedzi. Wyzywali go od pijaków, degeneratów i morderców. Myślałem wtedy, jak musi czuć się człowiek w takiej sytuacji. To przecież ból nie do zniesienia.

Rok później do fundacji przyszedł list z zakładu karnego w Koronowie. Osadzony żalił się, że jest samotny, nie ma z kim rozmawiać i chciałby z kimś nawiązać kontakt. Odpisałem, że mogę z nim korespondować. Zapytałem, czy chce rozmawiać o Ewangelii. Na początku był trochę sceptyczny. Twierdził, że Bóg, tak jak wszyscy, dawno o nim zapomniał. Ale potem się przełamał. Rozmawialiśmy dużo, o Chrystusie i Piśmie Świętym. Coraz chętniej się otwierał. Opowiadał o dzieciństwie, o konfliktach z prawem, uzależnieniu.

Pisaliśmy przez rok. W końcu zaproponowałem spotkanie. Dopiero wtedy zapytałem, skąd jest. – Z Łodzi – odpowiedział. Przypomniałem sobie materiał o pożarze. Wszystko się zgadzało.

Odwiedzałem go regularnie przez dwa lata. Podczas jednego widzenia zdarzyło się coś, co pamiętam do dziś. Kiedy przyszedłem na widzenie, powiedział, że strażnicy zaproponowali nam spotkanie intymne. Takie widzenia mają małżeństwa lub pary, nikt ich wtedy nie obserwuje. Popatrzył na mnie badawczo, jakby chciał sprawdzić moją reakcję. Po mojej minie zorientował się, że nie jestem zainteresowany, więc zaczął

się śmiać. „No co ty, Arek, żartuję. Chłop z chłopem?” Do tej pory nie daje mi to spokoju...

W 2015 roku czekałem na niego pod bramą zakładu. Wyszedł, był podekscytowany, ale widziałem, że się bał. Wsiedliśmy w autobus, potem w pociąg, prosto do Chorzowa. Wiedział, że jak wróci do Łodzi, znów wpadnie w stare koleiny. Wierzył, że tym razem będzie inaczej. I ufał Bogu. Że mu pomoże.

*

W ośrodku prowadzonym przez katolicką fundację Roman Pawluk dostał łóżko i jedzenie. Powiedzieli, że może się tu zatrzymać na trzy miesiące. W tym czasie pomogą mu znaleźć pracę i mieszkanie.

Adam, prezes fundacji: – Od razu wiedziałem, że się dogadamy. Widać było, że dźwiga spory bagaż, wydawało się, że niczego nie ukrywa. Był otwarty, komunikatywny, chętnie opowiadał o sobie.

Codziennie się modlił i dzielił przemyśleniami z Pisma Świętego. Pamiętam, jak poszliśmy do kościoła. Zrobiło to na nim duże wrażenie. Powiedział, że to jego pierwsza wizyta w świątyni, nie licząc więziennej kaplicy. W naszym ośrodku był kilka miesięcy. Załatwiliśmy mu mieszkanie. W tym czasie pomagał mi w remontach, dostał dorywczą pracę w MOPR. Zaczął kurs na opiekuna osób starszych. Aż do dnia, w którym do ośrodka wrócił kompletnie pijany. Dopiero wtedy zobaczyliśmy drugą twarz Romana. Wyzywał nas, rzucał się z pięściami. Tłukł wszystko, co wpadło mu w ręce. Po kilku tygodniach przez alkohol stracił mieszkanie. Wrócił do nas, obiecał, że nie będzie pił, ale nie wytrzymał. A u nas picia nie ma. Takie zasady.

*

Rok temu Roman wyprowadził się z ośrodka na stałe. Mieszka z Ewelina. To ją obejmuje na zdjęciu na tle miejskiej dekoracji świątecznej na Facebooku.

Ewelina: – Jestem samotną wdową, emerytką. Dorabiam sezonowo jako opiekunka seniorów w Niemczech. Jadę na kontrakt na sześć tygodni i wracam na miesiąc, dwa. To chyba ostatni rok, bo coraz bardziej dokucza mi kręgosłup.

Poznałam go trzy lata temu w siedzibie fundacji. Odprowadzałam znajomego, który nie ma gdzie mieszkać. Roman od razu wpadł mi w oko. Ma charyzmę, manierę. A jaki szarmancki! Był inny niż wszyscy bezdomni, w ogóle tam nie pasował. Zapytałam, co się stało, że taki facet znalazł się w tym miejscu. „Widzi pani, czasem życie układa się nie po naszej myśli”. Zaprosił na kawę do pokoju socjalnego i opowiedział całą historię. O pożarze, o żonie, która przyszła wtedy do niego w nocy i oblała mieszkanie benzyną. Chociaż spał pijany, to usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. No bo jak inaczej wytłumaczyć to, że paliło się wszystko oprócz niego? Gdyby zasnął z papierosem, to też by się spalił.

Widać po nim, że jest dobry, uczciwy. Tylko w oczach ma czasem taki zamęt, jakby te oczy należały do kogoś innego.

Po rozmowie odprowadził mnie do domu, potem sama przejęłam inicjatywę. Zaprosiłam go na obiad, normalnie, do restauracji. Zapłaciłam, bo przecież nie miał pieniędzy, a potem poszliśmy do mnie. Miałam butelkę szampana, zaproponowałam, byśmy wypili po lampce. Śmiesznie było, bo nie wiedział, jak go otworzyć. Kilka dni później stoi pod drzwiami z bukietem róż. „Skąd ty wzięłeś na to pieniądze”, pytam. Mówi, że pożyczył od znajomej. Dałam mu pięćdziesiąt złotych, żeby oddał, ale nie chciał. Następnym razem sama jej oddałam. Z reguły jestem powściągliwa, ale z nim zaprzyjaźniłam się szybko. Po paru miesiącach zaproponowałam, by ze mną zamieszkał, mam dwa pokoje, pomieścimy się. Zaskoczyłam go. Mówił, że jestem odważna, bo przecież nawet go nie znam. Ale ja jestem ryzykantka, ja się nie boję.

Momentami radzi sobie nieźle. Trochę pracował w MOPR, pomagał w dostawach i w magazynie, ale nie utrzymał się przez choroby. Potem w Chorzowie, sześć przystanków od nas, w hurtowni z meblami. To samo. Teraz czasem złapie coś dorywczo. A to przy remoncie, a to sprzątanie.

Najbardziej żał mi, że z synem nie ma kontaktu. Ta jego była żona to straszna suka. Jak można ojca do dziecka nie dopuścić?

Roman od lat walczy z chorobą alkoholową, depresją i zaburzeniami osobowości. Od kiedy u mnie zamieszkał, dwa razy był w szpitalu psychiatrycznym. Nie dalej jak miesiąc temu znów nałykał się tabletek. Spał wtedy w drugim pokoju, na kanapie. Obudziły mnie dziwne dźwięki. Wchodzę do niego, a ten półprzytomny leży na podłodze i wymiotuje. Na ławie cztery opakowania po psychotropach i kartka „Przepraszam, już dłużej nie mogę, zażyłem tabletki”. W szpitalu wprowadzili go w śpiączkę, po kilku dniach wybudzili i odratowali. Cudem.

Dwa tygodnie później miałam jechać do Niemiec. Romeczku, mówię, nie pojedę, zostanę z tobą. Nie pozwolił mi zostać. „Nie martw się o mnie, dam radę” – powiedział.

Parę dni po moim wyjeździe zadzwoniła sąsiadka z dołu. Powiedziała, że Roman urządza w mieszkaniu libacje. Że schodzi się szemrane towarzystwo. Zapytałam go o to następnego dnia. Wściekł się. Jeszcze w trakcie rozmowy ubrał się i powiedział, że do niej idzie. Podobno zszedł na dół i zwyzywał ją przez drzwi. Nie wiem, co mówił, ale sąsiadka zgłosiła sprawę jako kierowanie gróźb karalnych. Wiedzą o jego przeszłości, wszczęli postępowanie, co tydzień ma się stawiać na komendzie.

Niepotrzebnie mu mówiłam.

✱

Dwie godziny po naszej rozmowie Ewelina oddzwania: – Błagam pana, niech pan się do niego odezwie. Powiedziałam mu o naszej rozmowie i wściekł się, że opowiadam o nim komuś obcemu. Jak pana usłyszy, na pewno się uspokoi. Proszę.

✱

Jest pogodny i trochę nieśmiały. Kiedy się uśmiecha, dłonią próbuje zasłonić liczne ubytki. Za stołem siedzi prosto, ze splecionymi palcami

na wysokości pępka. Podkreślam, że sporo już o nim wiem, ale chciałbym, żeby sam wszystko opowiedział.

Mówi chętnie.

O rodzinie:

– Tabliczkę mnożenia ojciec wbijał mi do głowy drewnianą linijką. Jak nie umiałem, przypinał mnie łańcuchem do kaloryfera. Siedziałem tak cały dzień, z książką na podłodze.

Młodszej siostry nigdy nie uderzył. Nie wiem dlaczego. Na pewno nie z szacunku do kobiet, bo mamę prał jeszcze mocniej niż mnie.

Był spawaczem, przed czterdziestką wyjechał na Śląsk, do pracy w kopalni. Matka pracowała w Stomilu. Na bicie syna nie reagowała. Miałem do niej żal, dzisiaj wiem, że to ze strachu. Najgorzej było za podlotka. Czternaście, piętnaście lat. Przez to bicie zaczęły się uciezki z domu, papierochy, jable. Najpierw, żeby zaimponować kolegom, a potem po prostu, bo życie na trzeźwo było nie do zniesienia.

Przez parę lat mieszkała z nami siostra przyrodnia, z pierwszego małżeństwa mamy. Była dwanaście lat starsza ode mnie. Tej sceny nie zapomnę do końca życia. Miałem pięć, może sześć lat. Wróciłem ze szkoły, ojciec otworzył mi drzwi. Siostra, już nastolatka, odrabiała lekcje. Byliśmy w jednym pokoju. Nawet nie kazał mi wyjść. „Odwróć się” – powiedział tylko. Nie wiem, ile to trwało, przez cały czas patrzyłem w ścianę. W końcu wstał. Słyszałem, jak podciąga spodnie i zapina rozporek. Siostra leżała na kanapie na brzuchu.

Moczyłem się. Z tego powodu matka zabrała mnie do psychiatry. Lekarz stwierdził nerwicę. Nikt mu nie powiedział, co dzieje się w domu.

Wyrośnięty już byłem, nie wiem, może z szesnaście lat, kiedy matka wróciła z pracy. On był wypity, zaczął ją bić. Uderzył w szybę, skaleczył się i podbiegł do mnie. Wymazał mnie całego we krwi. Wtedy pierwszy raz się postawiłem. Popchnąłem go, przewrócił się, przydusiłem do ziemi. Mogłem go tak trzymać, aż bym go udusił, ale matka mnie odciągnęła. Od tamtej pory jak wracałem do domu, nie awanturował się, kładł się spać albo wychodził do kolegów.

Wyprowadziłem się dwa lata później, najpierw do meliny z kumplami, a potem do więzienia. Po wyjściu próbowałem nawiązać kontakt z młodszą siostrą. Mieszkała z konkubentem na sąsiednim osiedlu, mieli dwuletnią córkę. Siostra nie była w dobrej formie. Już po porodzie wpadła w alkoholowy ciąg. Podczas którejś z imprez wyskoczyła z okna. Mieszkali na trzecim piętrze, złamała kręgosłup, pochowaliśmy ją tydzień później.

Mama zmarła w 1987 roku. Byłem wtedy w zakładzie w Łławie. Nawet na pogrzeb mnie nie puścili. Ojciec dwanaście lat później, kiedy siedziałem w Łowiczu. Przepustkę dostałem, ale zamiast jechać na pogrzeb, poszedłem się nachlać. Z siostrą przyrodnią kontaktu nie miałem już wcale.

O przestępstwach:

– Dokładnie pamiętam tylko pierwszy raz. Wsiedliśmy w taksówkę. Najpierw do monopolowego, potem na imprezę. Kumplowi odbiło, zarzucił kierowcy krawatkę i wyszedł napad z niebezpiecznym narzędziem. Był 1984 rok, miałem osiemnaście lat. Za współudział dostałem dwanaście. Ciężkie więzienie w Łławie, spałem z nożem pod poduszką, jak na filmach. Każde wyjście z celi groziło kalectwem. Widziałem, jak jeden drugiemu więźniowi wypruwa flaki widelcem. Nie wiem, jak udało mi się tam przetrwać. Może przez to, że w domu się napatrzyłem, miałem gruby pancerz.

Sąd widział dla mnie szansę, odsiedziałem połowę, zwolnili mnie warunkowo. Wróciłem do Łodzi, znalazłem dorywczą pracę w przedzalni. Myślałem, że dam radę, jakoś się to życie poukłada, ale dwa lata później znów mnie wsadzili. Bzdura. Szliśmy z kumplem w nocy. Nawaleni, nie wiem, co nam przyszło do głowy. Rzuciliśmy koszem na śmieci w szybę sklepu. No i wyszło włamanie. Wiosną 1990 roku przewieźli mnie do Łowicza, ośrodek półotwarty. Cele po dwanaście osób. Dochodziło do awantur, ale unikałem problemów.

Spieprzyłem po paru miesiącach. Posiedziałem w Łodzi, trochę pojeździłem po Polsce. Do pracy nie było jak. W zakładzie trzymali dokumenty. Kombinowało się. Drobne kradzieże, takie tam. Złapali mnie, to znów nie wróciłem z przepustki. I tak się żyło, trochę na wolności,

trochę za kratami. Dzisiaj sam nie wiem, kiedy byłem w więzieniu, a kiedy nie. Na dłużej wyszedłem w 2001 roku. Jakoś tam żyłem aż do marca 2011. Za pożar dostałem następne pięć. Tym razem zakład w Koronowie. Wyszedłem w 2017, no i jestem tu, gdzie jestem.

O kobietach:

– Pierwszą żonę, Grażynę z Żyrardowa, poznałem na wolności. Zaraz potem mnie zamknęli, z zakładu napisałem list. Przyjechała. Dobra dziewczyna, myślałem. Nie było na co czekać, ślub był podczas odsiadki. Opowiadaliśmy o tym w znanym programie w telewizji. Po paru miesiącach dowiedziałem się, że w jej rodzinie jest źle. Wszyscy pili, ona też. A ja chciałem z tego picia się jak najszybciej wyrwać. Po moim wyjściu w 2001 roku mieszkaliśmy razem pół roku. I rozwód. Wróciłem do przeklętej Łodzi. Mieszkanie przy Gałczyńskiego było puste, ale nie mogłem tam wrócić. Zamieniłem je na inne komunalne, na Włókienniczej. To ulica z najgorszą reputacją w całym mieście.

Znalazłem pracę w prywatnej firmie kamieniarskiej. W transporcie i magazynie. Zwolniłem się, bo szef nie chciał mi płacić. Potem w zakładzie szlifierek. Ale to już jak poznałem Monikę. Wie pan o Monice? Nie wiem, czy pan uwierzy, ale poznaliśmy się w zakładzie psychiatrycznym. Co jakiś czas muszę poleżeć w szpitalu podreperować głowę.

Do kolegi na sali przyjechała dziewczyna z koleżanką. Zaczęliśmy rozmawiać, zrobiłem kawę. Potem przyszły jeszcze raz, odprowadziliśmy je do bramy. Raz buziaka, raz to, raz tamto, i tak się zaczęło, aż zaszliśmy w ciążę. Ja jestem staromodny. Jak ma być dziecko, to musi być ślub. Zamieszkaliśmy na Włókienniczej, urodziła w wieku dwudziestu lat. Wyglądałem przy niej jak ojciec. Cieszyłem się z dziecka, na początku było ciężko, ale zaczęliśmy się do tego przyzwyczajać. Kiedy syn miał dwa latka, nakryłem Monikę z naszym przyjacielem w łóżku. Wyszedłem bez słowa, poszedłem się nachlać. Wyprowadziła się z dzieckiem do matki i zaczęło się robienie pod górkę. Po pożarze złożyła wniosek o pozbawienie mnie praw rodzicielskich.

Syna ostatni raz widziałem, kiedy miał cztery lata.

Od tej pory nie brałem się za złodziejstwo, miałem dość więzienia. Pracowałem dorywczo. Raz górka, raz dołek, ale jakoś było.

O mężczyznach:

– Kiedy to było... Może z rok temu. Wpadli do mnie w sześciu. Godzina dwudziesta, ja w trakcie kolacji. Mówili, że są z Archiwum X i przyjechali w sprawie serii zabójstw sprzed dwudziestu lat. I że ja miałem coś z tym wspólnego. W całym mieszkaniu kipisz, pootwierane szuflady, ściągnięty dywan... Nie wiem, czego szukali, nic nie znaleźli. Nieoznakowanym radiowozem przewieźli mnie do Łodzi. Przesłuchanie, wariograf. Pokazywali zdjęcia trupów w mieszkaniach. Że to niby ja ich zabiłem. I że byłem homoseksualistą. Sypiałem z nimi i zabijałem. Wyobraża pan sobie? Myślałem, że zwariuję.

Ja nie jestem żadnym homoseksualistą. Nie mam nic przeciwko, niech sobie każdy robi, co chce, byleby się do mnie nie dobierał. Tak im powiedziałem. Wypuścili mnie. Ale do Katowic musiałem wracać sam. Wsiadłem w pociąg, na gapę.

O Bogu:

– Podczas ostatniej odsiadki napisałem do wydawnictwa, które wydaje Biblię. Poprosiłem o egzemplarz. Czytałem i myślałem. Najbardziej spodobał mi się Hiob. Tak jak ja stracił w życiu wszystko, ale co zrobić? Nie załamał się. Wierzył do końca i to mu dawało siłę. Wtedy zrozumiałem, że tylko Bóg może mnie uratować. Znalazłem kontakt do fundacji, która pomaga takim jak ja. Odpisał Irek. Korespondowaliśmy długo, w końcu przyjechał. Porządny człowiek, wiele mu zawdzięczam. Z prezesem fundacji na początku też miałem dobry kontakt. Potem obrósł w piórka, z fundacji zrobił biznes i nie chciał mnie tam widzieć.

A z Bogiem? Z Bogiem to jest różnie.

Ile razy ja już się przewróciłem? Pięć? Dziesięć? Za każdym razem się podnoszę. Jakby ktoś stał na górze i ciągnął mnie sznurkami do pionu. Ale żeby latać do kościoła co niedzielę i klepać zdrowaśki, to nie.

Jeszcze o kobietach:

– Z Ewelina poznaliśmy się w fundacji. Przywiozła byłego konkubenta, bo nie miał gdzie mieszkać. Spodobała mi się. Rozmowa się kleiła, pomyślałem, że może coś z tego będzie. Od znajomej pożyczyłem na kwiaty i przyjechałem do niej do domu. Chciała mi zwrócić te trzydzieści złotych, ale duma mi nie pozwoliła. Na drugi dzień odrobiłem u znajomej na działce.

Ewelina potem zaprosiła mnie do dobrej restauracji. Byłem zawstydzony, bo to facet powinien wyjść z inicjatywą. Ale jakoś poszło. Przygarnęła mnie tu i żyjemy sobie, raz lepiej, raz gorzej. Nie powiem, że to jest taka miłość tryskająca jak wtedy, kiedy człowiek był młody, ale tak, kocham ją.

O najgorszej rzeczy, jaką zrobił:

– To ten śmiertelny pożar. Myślałem, że oszaleję. Te dzieci. Znałem je przecież. Latały po podwórku.

O marzeniach:

– Żeby mój syn nie był taki jak ja.

O chorobie:

– Pierwszy raz do psychologa zaprowadziła mnie matka. Byłem jeszcze w szkole. Od tej pory w szpitalach lądowałem raz na dwa lata. Mam zaburzenia afektywne, stany lękowe, depresję. Jestem impulsywny, nie umiem utrzymać nerwów. Z tą sąsiadką na przykład. Stara się wpieprzała we wszystko, nie było prywatności. Powiedziałem jej, że jak to się nie skończy, to inaczej porozmawiamy. To mnie podała, pizda, przepraszam, za groźby karalne. Człowiek się tu stara, próbuje wyjść na prostą, a tu kurwa taka, kłoda pod nogi.

Prób samobójczych miałem kilka. Czasem mam takie lęki, że myślę tylko o śmierci. Nawet ostatnio, miesiąc temu. Nałykałem się tabletek, zostawiłem list do Eweliny i myślałem, że to koniec. Odratowali mnie. Znowu.

Jestem piwosz. Kiedyś wódkę lubiłem, ale organizm się zbuntował i już nie przyjmuje. Są momenty, że nad tym panuję. Dzielnicowy ostatnio był, sprawdzał, czy wszystko w porządku. Od wyjścia ze szpitala jestem

trzeźwy. Ale jak długo to potrwa? Sam nie wiem. Alkohol nie jest wyjściem z problemów, ale przynosi ulgę, czyści głowę.

O zabiciu człowieka:

– Kiedyś robiło się głupie rzeczy. I dobre, wie pan, i złe. Jestem wybuchowy, nie panuję nad nerwami, głupieję po alkoholu. Ale żeby zabić? Nie, zabić to nie.

Serią niewyjaśnionych zabójstw homoseksualnych mężczyzn w Łodzi zainteresowaliśmy się na początku 2020 roku. Analizując dostępne informacje o sprawie, zastanawialiśmy się, jak to możliwe, że sprawca zabójstw do dziś nie został ustalony. Ani śledczy w latach 1988-1993, ani policjanci z Archiwum X, którzy wrócili do sprawy w 2008 roku, nie zdołali nawet wytypować podejrzanego. Środowisko homoseksualne w Łodzi w czasach PRL było hermetyczne. Kim był więc zabójca, któremu udało się tam przeniknąć, mordować, a następnie zniknąć bez śladu? Nie znajdując odpowiedzi na te pytania, postanowiliśmy sami bliżej się temu przyjrzeć.

Zlokalizowaliśmy akta wszystkich spraw w archiwach pięciu prokuratur rejonowych w Łodzi i w Zgierzu. Dotarliśmy do nieoficjalnych policyjnych notatek, zdjęć z miejsc zbrodni, rozmawialiśmy z funkcjonariuszami zaangażowanymi w poszukiwanie zabójcy oraz ze świadkami, którzy przewijali się w śledztwach. Informacje o zabójstwach i akcji poszukiwania sprawcy znaleźliśmy m.in. w archiwalnych numerach „Dziennika Łódzkiego” i „Gazety Wyborczej”, a także w archiwum TVP.

Dzięki kompletowi akt mogliśmy wiarygodnie odtworzyć wydarzenia z tamtych czasów. Znając dokładne dane i adresy, odwiedziliśmy miejsca zbrodni. Zobaczyliśmy, jak wyglądają osiedla i kamienice, w których mieszkały ofiary. Nie wszyscy zamordowani mężczyźni dzielili się informacjami o swojej orientacji z najbliższymi, dlatego, z uwagi na dobro ich rodzin, wszystkim zmieniliśmy nazwiska.

Przemierzyliśmy trasę między mieszkaniem ostatniej ofiary a domem jego znajomej, którą Kamiński wraz z Romanem przebyli w noc zabójstwa.

Wszystkie dialogi i rozmowy odtworzyliśmy na podstawie wspomnień uczestników zdarzeń, w tym także rozmów spisanych w aktach i notatkach policyjnych. By umilić czytelnikom lekturę oraz by odtworzyć atmosferę tamtych lat, dopisaliśmy kilka scen, tworząc spójną linię fabularną.

Aby uniknąć identyfikacji osób, którym na tym zależało, zmieniliśmy ich nazwiska i niektóre szczegóły z ich relacji.

Na podstawie dostępnych w bibliotekach i w internecie źródeł znaleźliśmy także m.in. wnętrza i plany architektoniczne Zakładów „Eskimo”, w których policja zorganizowała zasadzkę na podejrzanego, a także takich miejsc jak dworzec Łódź Fabryczna czy park Na Zdrowiu. W publikowanych w „Dzienniku Łódzkim” nekrologach znaleźliśmy informacje np. o tym, gdzie i kiedy pochowano ofiary.

W tym czasie dowiedzieliśmy się o nowym tropie w śledztwie, który podjął kolejny zespół Archiwum X. W 2018 roku na komendę zgłosił się mężczyzna, który stwierdził, że zabójcą gejów z przeszłości jest Roman Pawluk (jego nazwisko i szczegóły pozwalające na identyfikację zostały zmienione). Dotarliśmy do policjantów, którzy przez kolejne dwa lata od nowa rozpracowywali serię zabójstw i próbowali połączyć ją z Pawlukiem.

Spotkaliśmy się z prokuratorką, która przesłuchała Romana Pawluka. Dotarliśmy do wyników badania wariografem i akt z jego przesłuchania. Widzieliśmy rysunki Romana, które powstały podczas jego pobytu w zakładzie karnym. Jeden z nich wyglądał dokładnie tak jak miejsce zbrodni w mieszkaniu Andrzeja Staraka.

Rozmawialiśmy ze znajomymi i najbliższymi Romana Pawluka, m.in. z kolegą z celi z jednego z zakładów karnych i pracownikami fundacji, która pomogła mu po wyjściu z więzienia. Skontaktowaliśmy się też z obecną partnerką Romana. Zmieniliśmy jej imię i niektóre szczegóły z jej życia, które pomogłyby ją zidentyfikować.

U Romana Pawluka byliśmy 21 sierpnia 2021 roku. Tę wizytę szczegółowo opisaliśmy w prologu i epilogu książki. Od tego czasu nie kontaktowaliśmy się z nim. Wiemy, że Roman Pawluk wciąż mieszka z Eweliną w Katowicach.